

Freed Jan

Lustro

Lindley szykuje się do ślubu, jednak cały czas dręczą ją wątpliwości. Czy sprawdzi się w roli żony znanego i bogatego lekarza? Czy jej nastoletnia córka zaakceptuje ojczyzna? Czy apodyktyczna matka przestanie wreszcie wtrącać się w jej życie?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niecały miesiąc przed ślubem, w trakcie układania świeżo upranych rzeczy, Lindsey Howard stwierdziła nagle, że stan jej bielizny pozostawia wiele do życzenia. Co gorsza, Adam również wkrótce to zobaczy, najprawdopodobniej na jej ciele, a nie w równo poukładanym stosiku na kanapie.

Dziesięć minut później wskoczyła do mini-vana i popędziła w kierunku najbliższego centrum handlowego.

Na widok przepelnionego parkingu chciała z miejsca zawrócić. Każdy mieszkaniec Houston, a już zwłaszcza jego wschodnich obrzeży, wie doskonale, że robienie zakupów w piątek graniczy z szaleństwem.

Na dodatek Lindsey za dwie godziny miała wizytę u dentysty, gdzie czekała na nią porcelanowa licówka.

Uparła się jednak i przez piętnaście minut

10

szukała wolnego miejsca, aż dobry los podesłał jej wycofującego się przed, a nie tuż za jej vanem, mercedesa.

Szła w cieniutkich sandałkach po płycie gotującego się asfaltu ku oazie wewnętrznego spokoju i prawdziwej ostoji, które może zapewnić dobra bielizna. Ostatnio obsesyjnie czepiała się drobiazgów i konkretów, które odrywały jej myśli od nieobliczalnych następstw podjętej przed pięcioma tygodniami decyzji, jaką było przyjęcie oświadczyn doktora Adama Sullivana, ambitnego kardiochirurga, aspirującego do stanowiska szefa oddziału szpitala Holcombe.

Mężczyzny, który według niektórych zabił jej męża.

Sklep z luksusową bielizną Lily's Lingerie 14:00, 16 dni do ślubu

Lindsey dała nura do pachnącej suszem kwiatowym przymierzalni, gdzie powiesiła na drzwiach pięć obszytych ałtarem wieszaków.

- Udało się, uff! - odetchnęła z ulgą, bowiem w gromadzie dziewcząt, które wtargnęły do sklepu, rozpoznała kilka koleżanek córki.

Wolała się nie zastanawiać nad tym, czego mogą szukać trzynastolatki w sklepie z seksowną bielizną, natomiast bez trudu wyobraziła sobie reakcję Megan na ironiczne uwagi swoich

Lustro 11

koleżanek o jej mamie przymierzającej frymuśne dessous.

- Hej, witam! - zaszcebiotał dziewczęcy głos. - Wydawało mi się, że umknęła pani do przymierzalni, no i nie pomyliłam się.

Lindsey zeszywniała, odwróciła się... i po raz drugi w ciągu krótkiego czasu odetchnęła z ulgą. Blondynka, która tak bezceremonialnie stanęła na progu kabiny, była drobna i młodziutka, ale nie był to nikt, kogo Lindsey częstowała ciasteczkami w swojej kuchni.

- Mam na imię Monika. Od razu chciałam się panią zająć, ale te dzieciaki odwróciły moją uwagę. - Sprzedawczyni, która mogła mieć najwyżej osiemnaście lat, przewróciła oczami z wysokości swojego poważnego wieku. - A zaraz potem pomknęła pani w stronę kabin.

- No cóż, jeszcze się nieźle ruszam... jak na starszą panią. - Lindsey postawiła torebkę na miękkiej wykładzinie dywanowej.

- Starsza pani4- No, właściwie tak. Ale przyjemniaczka, pomyślała Lindsey.

- Cóż, może jeszcze nie taka stara, ale trzydzieści osiem lat w porównaniu z wiekiem obecnych tu klientek to jednak sporo.

- Trzydzieści osiem!'- - nie kryła zdziwienia Monika. - To znaczy, chciałam powiedzieć, że to nie jest jeszcze aż tak poważny wiek - ponieważ naprawiała gafę. - Uważam, że wygląda

12 *Jan Freed*

pani o wiele młodziej. Bo na przykład moja mama nie by tu nigdy nie kupiła, nawet gdyby chciała, a jest młodsza od pani o dwa lata. - Rozbiegane i coraz bardziej niespokojne oczy Moniki zdawały się szukać jakiegoś oparcia, aż wreszcie zatrzymały się na atłasie, koronce i zatrzaskach dyndających na drzwiach.

Lindsey postanowiła, że się nie zaczerwieni.

- Och, świetnie, widzę, że odkryła pani nasze urocze stoisko „Specjalnie dla niego”, które jest bardzo seksy.

Dotąd Lindsey czuła się niewiele bardziej seksowna niż Yoda z „Gwiezdnych wojen”, a ponieważ w tej chwili jej jedyną Mocą był pulsujący ucisk w lewym oku, zmuszona była wybrać zniknięcie jako jedyny skuteczny manewr obronny.

Spojrzała na zegarek i udała zdumienie.

- O rany, jak ten czas leci! Jeżeli nie wyjdę stąd natychmiast, spóźnię się do dentysty.

Sądząc po minie, Monika chyba nie kupiła tego wytłumaczenia.

- Mówię poważnie. Widzisz? - Lindsey obnażyła zęby i przycisnęła palec do wyszczerbionego wiele lat temu przedtrzonowca. - Ma mi go powlec.

Monika przechyliła głowę i poczęstowała klientkę dobrotliwym uśmiechem, odpowiednim dla mijających się z prawdą małuchów.

- Założę się, że to pani pierwsza wizyta w na-

Lustro 13

szym sklepie. Zgadłam?- Ależ nie ma się czego wstydzic! - Pomachała uspokajająco ręką. - To fajnie, że chce pani wyglądać szalowo dla swojego faceta.

Oto w co się wkopałaś, gardząc klasyką bielizny oferowaną przez sieć sklepów JC Penney, udzieliła sobie reprimendy Lindsey.

- Więc jaka to okazja? - nie dawała za wygraną Monika. - Nowy przyjaciel? Nowy mąż? Ważna rocznica? A może drugi miesiąc miodowy¹?

Godząc się z faktem, że wpadła w pułapkę, Lindsey ukucnęła i zaczęła grzebać w torebce.

- Nowy mąż. Nie... powtórny miesiąc miodowy. A właściwie jedno i drugie. To znaczy dla mnie, nie dla Adama. Razem nie mieliśmy jeszcze miesiąca miodowego. - Biorąc głęboki, uspokajający oddech, zlokalizowała buteleczkę z aspiryną i wytrząsnęła na rękę dwie tabletki. Jej sporadyczne dotąd bóle głowy nasiliły się, odkąd Adam poprosił ją o rękę. - Jestem wdową i za niecały miesiąc wychodzę ponownie za mąż - dokończyła z godnością, na jaką pozwalał wybór bielizny w stoisku „Specjalnie dla niego”.

- Super! Gratuluję. Ja też wyszłam w tym miesiącu za mąż.

Jaka szczęśliwa, jaka naiwna i jaka cholernie młoda, pomyślała Lindsey.

- To dobrze - skłamała i wrzuciła do ust

aspirynę, którą w nagłych wypadkach połykała bez popijania.

- Jeszcze jak! A na podróż poślubną kupiłam sobie wystrzałowe łąszki w naszym sklepie.

Och, zaraz! Czy pani wie, że mamy właśnie promocję fig bez kroku *i* - Głos Moniki rozbrzmiewał co najmniej w promieniu dziesięciu metrów, natomiast Lindsey była w trakcie połykania tabletek, więc chwilowo nie mogła wydobyć głosu, by przerwać tę przemowę.

- Kupując dwie pary, trzecią dostaje się za darmo. Przynieść pani jedną

- Nie - warknęła Lindsey, studząc nadgorliwość ekspedientki. Podniosła się, odwróciła i sięgnęła po pierwszy wieszak, z którego zdjęła dwa miniaturowe skrawki atłasu.

- Och, ten biustonosz wspaniale uwydatni pani piersi, a idealnym uzupełnieniem będą majteczki bikini, paseczek z podwiązkami i kabaretki. Chciałaby pani...

- Nie! - Ręka Lindsey z obciążającym ją dowodem opadła błyskawicznie, a niespokojny wzrok powędrował ponad ramieniem Moniki. Nie była zainteresowana jej propozycją, ale młody człowiek, towarzyszący przyjaciółce i czekający na nią w pobliżu drzwi do przymierzalni, był wyraźnie zaintrygowany. - Posłuchaj, Monika, jestem ci wdzięczna za pomoc, ale w tej chwili niczego nie potrzebuję. - Poza odrobiną prywatności. - Mogłabyś zamknąć drzwi?

- Ależ oczywiście. - Sprzedawczyni przyhamowała swój zapal. - Bardzo przepraszam. Chyba powinnam dać pani spokój. - Zamykając drzwi, dodała jeszcze: - Prosiłabym... byłabym wdzięczna, gdyby nadmieniła pani kasjerce, że pani pomogłam.

Rozdrażnienie Lindsey ustąpiło miejsca czysto ludzkiemu zrozumieniu. Sprzedawanie bielizny to ciężki kawał chleba.

- Nie omieszkam - obiecała, za co została wynagrodzona pełnym wdzięczności, promiennym spojrzeniem niebieskich oczu Moniki.

Drzwi się zamknęły, a w Lindsey ożyła pamięć innych czasów, innej młodej mężatki, zdanej na łaskę kapryśnych klientów. Jako osoba bez wyższego wykształcenia - w domu nie było warunków na posłanie jej do college'u - miała ograniczone możliwości znalezienia intratnego zatrudnienia. Prowizję, jaką otrzymywała za pośrednictwo w sprzedaży aż trzech różnych grup towarów na całym wielkim obszarze Houston, oddawała do wspólnej kasy, pomagając Pete'owi i jego bratu, Larry'emu, rozkręcić budowlany interes. To była walka o przetrwanie. Spaghetti z klopsikami... albo bez. W pierwszych latach małżeństwa jadała wiele wegetariańskich potraw.

Ale kiedy z tym skończyła po urodzeniu Megan, stek pojawiał się już regularnie na ich stole, a Lindsey sprawdzała się na wszystkich frontach

i we wszystkich rolach. Okazała się świetną organizatorką, osobą spostrzegawczą i niezwykle komunikatywną. Cenne zalety, które przydały się trzy lata temu, kiedy jako wdowa starała się o pracę w szpitalu Holcombe w dziale marketingu.

Czy jednak masz dość ogłady, by zostać żoną ambitnego chirurga -podzegał wewnętrzny głos.

Przestań, jesteś, jaka jesteś! - zbesztala się w myślach. Chyba nie powinna zaszkodzić Adamowi w karierze zawodowej. Zauważyła nawet, że ich zaręczyny przywróciły zaufanie zarządu szpitala do stosowanej przez Adama inwazyjnej metody leczenia niewydolności serca. Zaraz, zaraz, chyba Adam nie żeni się z nią dlatego, że po śmierci Pete'a została samotną wdową

Ze też Larry zasiał w jej głowie te wątpliwości! Musi być w niej coś jeszcze, co urzekło trzydziestodwuletniego atrakcyjnego chirurga i skłoniło do porzucenia stanu kawalerskiego!

Szybko, póki jeszcze nie opuściła jej odwaga, zdjęła resztę ubrania i stawiała czoło największemu koszmarowi każdej kobiety - odbiciu własnej nagości w lustrze przymierzalni.

Jednak w ostatniej chwili trochę stchórzyła i skupiła się na tym, co było powyżej szyi.

Okej, oczy nie są najgorsze. Duże, ciemnobrązowe, w oprawie gęstych i długich rzęs, nie potrzebują mascary. Oliwkową cerę i kręjące się czarne włosy odziedziczyła po włoskim ojcu, niech spoczywa w pokoju. Twarz w kształcie serca i delikatny zgrabny nos po-

mieszanej matce, niechby już dała spokój z tym zrzędzeniem.

Natomiast szerokie, wydatne usta to jakiś przerysowany relikw po niezidentyfikowanym przodku; prawdopodobnie po zwariowanej stryjecznej babce babci Edny, która podobno dołączyła do objazdowego cyrku z Węgier i została mistrzynią w połykaniu sztyletów.

Przypominając sobie jedno z porzekadeł bafeci Edny, głoszące, że lustra pogrubiają o pięć kilo^Wciągnęła brzuch i spuściła wzrok.

O rany, same niedoskonałości! Dobrze robi, że gasi światło w intymnych sytuacjach z Adamem, ale po ślubie nie uniknie jarzących się wieczorem lamp i ostrego światła o świcie. Z ponurą miną odnotowywała rozstępy i lekki tłuszcz, defekty, które zostały po ciąży i porodzie. Chociaż ważyła prawie tyle samo co wtedy, kiedy miała dwadzieścia lat, to jednak wszystko jej... opadło. No, może nie aż tak strasznie, ale daleko jej do tych, które dzięki zabiegowi chirurgicznemu poprawiły sylwetkę, a teraz epatują płaskim brzuchem. Zamknęła oczy i spodem dłoni fachowo obmacywała ciało: gładka skóra i raczej wąska talia ujdą w tłoku, ale biodra i brzuch... Zatrzymała dłużej ręce na paskudnej wypukłości i nagle, gdy

oczyma duszy wyobrazila sobie w tym miejscu wprawne dłonie Adama, zrobiło się jej gorąco i słodko. Otworzyła oczy i spojrzała na swoje rozszerzone źrenice. Zawstydzona, jak oparzona oderwała palce od ciała. Na Boga, przecież to publiczna przymierzalnia! Dlaczego na samą myśl o Adamie dzieje się z nią coś, czego nigdy nie doświadczyła z Pete'em - dobrym, zabawnym, kochanym Pete'em - który uwielbiał każdy skra-weczek jej niedoskonałego ciała i duszyć Rzecz w tym, że niebywały urok i zmysłowość Adama rozpraszały ją i peszyły, a zarazem fascynowały. To właśnie dlatego w ciągu trzech przyprawiających o zawrót głowy miesięcy Adamowi udało się pokonać jej zahamowania i zbliżyć się do niej. Tempo, w jakim najpierw zaprzyjaźnił się z nią, a następnie został jej kochankiem i wreszcie narzeczonym, było zawrotne.

Udało mu się nawet wymóc na niej obietnicę, że sprzeda swój skromny domek i przeprowadzi się z córką do jego dużego domu w eleganckiej dzielnicy przy placu West University. Jeszcze nawet nie odważyła się powiedzieć o tym Megan.

Ilekcć Lindsey próbowała trochę zwolnić tempo, porozmawiać o swoich obawach dotyczących ich związku i wspólnej przyszłości, Adam tak mącił jej w głowie i rozbrajał upajającymi pocałunkami, że w końcu nigdy nie zadała mu zasadniczego pytania.

Lustro 19

Puk, puk.

Przycisnęła rękę do serca i odwróciła się do drzwi, modląc się, żeby nikt nie przekreślił gałki.

- Tak4- - pisnęła.

- To ja, Monika. Czy mogłaby pani otworzyć?-Chciałabym pani coś pokazać.

Lindsey ściągnęła z wieszaków nietknięte rzeczy - fikuśny biustonosz i figi.

- Chwileczkę! - zawołała, skacząc na jednej nodze i wbijając drugą - o cholera! - w niewłaściwy otwór. Naprawiła błąd i wciągnęła figi, a następnie wsunęła na ramiona czarne ramiączka, a piersi w atlasowe miseczki. Ładniejsze to niż zgrzebna bawełna, ale nic nadzwyczajnego.

Dopiero po zaciągnięciu zameczka z przodu zmieniła zdanie. Rzeczywiście, staniczek uniósł jej piersi i zamienił je w cudowne, sięgające aż pod brodę wzgórki. Nie mogła się oprzeć, żeby nie przejrzeć się w lustrze. O rany! Rzeczywiście wyglądają na wielkie!

Oglądała się ze wszystkich stron, zachwycona tym cudem techniki bardziej niż ostatnimi pięcioma misjami promu kosmicznego naraz.

Puk, puk.

- Dobrze się pani czujek

Prawdę mówiąc, czuła się w tej chwili znakomicie. Podeszła do drzwi, uchyliła szparkę i zerknęła jednym okiem. Monika łypnęła na nią zaniepokojona.

- Wiem, że zależy pani na prywatności, ale koniecznie muszę pokazać pani ten stroik na podróż poślubną. Oficjalnie będzie przeceniony jutro, ale namówiłam kierowniczkę, żeby już dzisiaj udzieliła pani trzydziestoprocentowego rabatu, o ile oczywiście spodoba się pani ten uroczy ciuszek. - W szparze pojawił się kawałeczek przezroczystego szyfonu.

Zaintrygowana Lindsey otworzyła szerzej drzwi i zaraz usłyszała dalszy ciąg handlowej zachwalanki: - Widzi pani tę brabancką koronkę¹? A te ręcznie przyszywane różyczki na staniczku i perełki¹? Czy to nie cudo¹?

Pokiwała głową. Przynajmniej, raz sprzedawczyni nie przesadziła. Stroik, a właściwie peniuar, stanowił połączenie zmysłowego wyrafinowania i dziewiczej niewinności. W czymś takim ma szansę wzbudzić w Adamie takie same niekontrolowane pożądanie, jakie on bez wysiłku rozniecał w niej jednym głębszym spojrzeniem.

- Zechce pani przymierzyć¹? - niepewnym głosem zapytała Monika.

- Z przyjemnością. - Lindsey otworzyła drzwi na oścież. - Dziękuję za interwencję u kierowniczkii.

Sprzedawczyni wkroczyła do kabiny z szerokim uśmiechem i z mgiełką śnieżnobiałego szyfonu na ręku. Strząsnęła długą do ziemi szatę, powiesiła ją na wolnym haku i cofnęła się, żeby podziwiać efekt.

Lustro 21

Kiedy zahipnotyzowana pokazem Lindsey zorientowała się, że ma widownię - za plecami dały się słyszeć stłumione okrzyki - było już za późno, żeby zniknąć za drzwiami. Grupa dziewcząt wtargnęła do poczekalni, a Lindsey poczuła, jak żołądek gwałtownie przesuwają się aż po palce jej stóp. Jej gołych stóp, a właściwie całej połaci golizny, jeśli nie liczyć skąpych kawałków czarnego atłasu.

Bardzo powoli, stawiając czoło temu, co nieuniknione, jak pewna baby-sitter w filmie grozy, która wspina się po schodach w kierunku nieuchronnego fatum, Lindsey odwróciła głowę. Gromadka trzynastolatek, przyciskając wieszaki usztywnionych biustonoszy do prawie nieistniejących piersi, wybałuszała oczy na widok jej biustu. Najśmielsza spośród nich, rudowłosa chochlik, chwalała sobie bardzo przepis babci Edny na owsiane ciasteczka, powiodła wzrokiem niżej... wyżej... i uśmiechnęła się znacząco.

- Witam panią, pani Howard - powiedziała śpiewnym głosem. - Czy Megan przyjechała z panią do centrum-

Od napiętego wzroku Lindsey zaczęły szczypać oczy, więc zamrugowała.

- Uhm, nie, Catherine. Megan została w domu - odpowiedziała wymijająco, zbierając się w sobie i wypychając w końcu natrętne pannice za drzwi, żeby je jak najszybciej zamknąć.

22 *Jan Freed*

- Mogłaby jej pani powiedzieć... - Catherine wyciągnęła szyję, żeby pozostać na widoku - że później do niej zadzwonię w sprawie dekoracji na moje przyjęcie¹? Obiecała mi pomóc.

- Jasne - rzuciła Lindsey, zatrzasnąwszy drzwi. Dumna ze swojej zimnej krwi, odwróciła się i napotkała współczujący wzrok Moniki.

- Megan to pani córka¹?

- Tak.

- A czy nie zachodzi obawa, że koleżanka nie będzie z nią rozmawiać wyłącznie o dekoracjach¹?

- Tego się boję.

- No to coś pani podpowiem! - Wyraźnie się ożywiła. - Jak tylko córka zacznie szemrać, niech pani zagrozi, że ją pani odetnie od telefonu. To naprawdę zdaje egzamin i szybko stawia do pionu większość dzieciaków.

- Dzięki, zapamiętam to sobie. - Dobra rada, musiała przyznać Lindsey. Tylko że Megan nie jest - i nigdy nie była - jak „większość dzieciaków”.

Sklep dla nastolatków Cool Clothes 12:30, 25 dni do ślubu

Lindsey odchyliła się w porę, by nie oberwać w twarz końskim ogonem od miotającej się córki, która za nic nie dała się zaciągnąć do przymierzalni.

Lustro 23

- Maamo, sama potrafię się ubrać - oznajmiła totalnie zniesmaczona Megan, której blond ogon przestał się kołysać, a szczupłe ramiona dźwigały plon półgodzinnego szperania pośród wieszaków.

Pełne urazy spojrzenie zielonych oczu córki zabołało Lindsey. I pomyśleć, że jeszcze niedawno Megan prosiłaby „mamusię”, żeby weszła z nią do przymierzalni, podczas gdy teraz traktuje ją jak jakiś ulubiony, przytulny kocyk, który jednak zrobił się już za mały, lecz jeszcze szkoda go wyrzucić.

- Mamo - syknęła dziewczyna.

- Już sobie idę, już idę. - Oddalając się, Lindsey stłumiła żal i uzbrajając się w cierpliwość, nie udzieliła córce reprimendy. - Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała, kochanie. Odpowiedziało jej milczenie. Dojrzewanie i ślub matki wyzwoliły w Megan niezależność, która zakrawała na bunt.

Lindsey zarzuciła torbę na ramię i dołączyła do dwóch innych matek, odesłanych przez córki do podpierania ściany. Brunetka z lewej powitała ją pełnym udręki uśmiechem, natomiast blondynka z prawej pokiwała współczująco głową.

Dodała od siebie spojrzenie „ach, te dziewczyniska”, które wzmocniła krótkim stęknieniem, wyrażającym bezsilność, i usadowiła się, żeby przetrwać bijącą po uszach piosenkę disco - gatunek muzyki, której nie lubiła tak samo jak

wówczas, kiedy była nowością, a ona nastolatką. „Wszystko, co nowe, już kiedyś było” - to kolejne porzekadło babci Edny, które właśnie się potwierdziło. Zadumała się nad kolejnym - „Do dziecka bez kija nie podchodź” - które właśnie przyszło jej do głowy, a które zawsze uważała za przestarzałe i okrutne. Dziwne, że teraz brzmiało bardziej ludzko i cywilizowanie!

Dlaczego zatem odwołała lunch z Adamem i zamiast tego udała się na zakupy do najbardziej trendy sklepu z ubraniami dla nastolatków, którego tak nie lubiłaś? Dlaczego tak żałośnie i wręcz na siłę wkupuje się w łaski nadąsanej pannicy?

Bo jeszcze bardziej od muzyki disco nienawidzi konfrontacji, przyznała uczciwie. I dlatego, że przez jedną krótką chwilę - zaraz po tym, jak napomknęła, że warto by kupić jakiś nowy ciuszek na przyjęcie u Catherine - naburmuszona Megan uśmiechnęła się do niej.

Prawdziwy cud, zważywszy na scenę, którą jej urządziła wczoraj wieczorem po alarmującym telefonie od Catherine.

- Mamo?

Wszystkie pochylone kobiety wyprostowały się i zamieniły w słuch.

Zza rozsuniętych podwójnych żaluzjowych drzwi wychynęła czarna głowa, młodsza replika udręczonej brunetki, i gniewnym wzrokiem popatrzyła na swoją matkę.

- Proszę bardzo, przymierzyłam to, co chciałaś, i zapewniam cię, że wyglądam w tym jak idiotka. Czy teraz już mogę włożyć to żółte?

Podrywając się i pędząc ile sił w nogach, mama numer 1 wdarła się do strefy wojennej, jaką była prywatna przestrzeń jej córki, skąd po chwili zaczęły docierać stłumione odgłosy słownych przepychanek.

Natomiast Lindsey wróciła myślami do własnych problemów. Nie ulegało wątpliwości, że złamała niepisaną umowę obowiązującą matki trzynastolatek: mamusie*powinny być czułe i kochające, ale bezpłciowe. Na pewno nie powinny chcieć wyglądać seksownie.

W oczach Megan jej poczciwa staruszka postąpiła niewłaściwie, wręcz niegodnie, kupując sobie w Lily's Lingerie coś, co w żadnym wypadku nie przystoi matronie. Trudno się dziwić dziewczynie i mieć do niej pretensje, jeśli dotychczas uosabiało się Matkę Amerykankę, usprawiedliwiała córkę.

- Mamo?

Lindsey i blondynka wyprostowały się jednocześnie, po czym ta ostatnia pośpieszyła w stronę wejścia do trzeciej kabiny, zostawiając koleżankę w niedoli sam na sam z basową gitarą wygrywającą muzykę dance.

Ni stąd, ni zowąd Lindsey poczuła szczypanie w oczach i w nosie. Jakiś absurd! Nigdy nie była

skora do płaczu i roztkliwiania się nad sobą, nawet w tamtych pierwszych strasznych miesiącach po śmierci Pete'a. Płacz niczego nie zmienia. Na Boga, gdyby tak było, jej matka przemieniłaby jej tatę w prosperującego biznesmena!

Wpatrując się intensywnie w dolną krawędź drzwi, za którymi ukryła się Megan, Lindsey udało się połknąć łzy, a nawet wykrzywić usta w coś na kształt pobłażliwego uśmiechu. Jej córka jest taką fleją.

Szorty khaki i biały T-shirt - ofiary nonszalanckiego rzucenia na ściankę kabiny - spadły i leżały zmięte przy listwie podłogowej. Obok, również na podłodze, walały się dwie bluzki z promocji, których cen, wybitych na metkach, Lindsey celowo nie oglądała.

W tej chwili szczupłe kostki Megan były spętane błyszczącym czarnym materiałem - skrzyżowaniem rowerowych szortów i kusych majteczek, na widok których Lindsey aż się wzdrygnęła. Obserwowała, jak polakierowane na czerwono paznokcie córki wpijają się w tkaninę i ciągną ją do góry. Charakterystyczny łoskot wieszaków poinformował ją, że kolejna bluzka poszła w ruch. Czekwała, podczas gdy jaskrawoczerwone paznokcie poruszały się wte i wewte przed niewidocznym lustrem.

- Mamo?

Żałośnie gorliwa, Lindsey stłumiła w sobie chęć wyrwania się do przodu.

Lustro 27

- Tak, kochanie*?

Ballada Toni Braxton zagłuszyła dyskusję na temat „tego żółtego”. Zachrypnięty głos wokalistki i debata matka-córka zlały się w jeden szum i zeszły na drugi plan.

- Mogłabyś wejść i powiedzieć, co o tym sądzisz¹?

Gula w gardle, której jeszcze przed chwilą nie było, uniemożliwiła Lindsey wszelką odpowiedź, ale promienny uśmiech pozostał. Przestała podpierać ścianę, pchnęła ramieniem podwójne drzwi i... stanęła jak wryta.

Mamma mia!

ROZDZIAŁ DRUGI

Uśmiechnęła się z dezaprobatą.

- Wiedziałam, że ci się nie spodoba! - krzyknęła Megan.

To mało powiedziane, pomyślała Lindsey.

- Nie o to chodzi, czy mnie się podoba, ale to jest...

Och, te znieawidzone przez nią, budzące odrazę kuse szorty zaczynające się poniżej pępka i topik odsłaniający pół brzucha, odpowiednio w dzielnicy czerwonych latarni.

- Nie uważasz, że obie te rzeczy są odrobinę... gołe... przymałe? - zakończyła taktycznie.

- Nie uważam. A właściwie po cośmy tujechały, skoro nie pozwalasz mi kupić tego, na co mam ochotę?

Widząc nadętą buzię córki, Lindsey zatęskniła za czasami, kiedy najsurowszą rodzicielską decyzją był zakaz zjedzenia drugiej porcji lodów na patyku.

Lustro 29

- Nie powiedziałam, że nie możesz tego kupić, kochanie, ale jeszcze wszystkiego nie zmierzyłaś. Może znajdziesz coś, co ci się bardziej spodoba.

- Nie potrzebuję. To jest idealne.

- Nie wydaje ci się, że jest zbyt... gołe... zwyczajne? W końcu wybierasz się w tym na przyjęcie.

- O rany, mamó. Didżej zainstaluje się na dziedzińcu. Catherine ma ogromny, idealny parkiet do tańca. Powiedziała, że pewnie będzie gorąco i że będą z nas spływać siódme poty, i że mamy się nie ubierać zbyt sztywnie.

- Okej. To ma sens. Ale... nie wolałabyś czegoś zwykłego, no wiesz, czegoś... mniej gołego... co nadawałoby się zarówno do szkoły, jak i na przyjęcie?

- Do końca szkoły zostały tylko dwa tygodnie. A poza tym mam ochotę na to.

Kropka. Koniec dyskusji.

Megan zakręciła się parę razy, po czym zatrzymała się przed lustrem, zachwycona tym, co lycra może zrobić z małymi twardymi piersiami i gibkim, sprężystym ciałem, wzmocnionym ośmioma latami lekcji baletu. Triumfalny pisk z kabiny po lewej stronie nie przyszedł Lindsey z pomocą. Mama numer 1 poddała się i powiedziała „tak” na „tę żółtą”. Po prawej toczył się jeszcze zaciekły spór, choć sądząc po odgłosach, mama numer 3 szybko traciła pozycję.

- Obejrzałaś metkę ze wskazówkami, jak prać? - zapytała Lindsey, chwytając się tej wątlej i ostatniej deski ratunku. Uznając milczenie córki za odpowiedź przeczącą, podeszła do niej i wywinęła dekolt topu, a potem pasek szortów. - Megan, tu jest powiedziane „prac tylko na sucho”. Rozumiem, żeby to było wyjściowe ubranie, ale zwyczajne szorty...

- Nie zabrudzę ich - zapewniła bezmyślnie Megan. - A jeśli nawet, to zapłacę za pralnię z własnych pieniędzy. Przecież zarabiam, opiekuję się dziećmi. Proszę, mamó. Już i tak wybrałaś za mnie wszystkie ubrania na ślub, których przecież drugi raz nigdy nie włożę. - Napotkawszy w lustrze wzrok matki, dochodziła swego, dobijając ją do reszty. - Czy nie mogę dostać czegoś, co będzie tylko dla mnie?

Au, to zabolalo.

- Megan...

- Proszę. - Teraz dla odmiany zielone oczy, takie same jak Pete'a, błagały i mizdrzyły się do matki.

Aha, nie ma mowy.

- Kochanie, dziewczynka, która nosi ciasne i wydekoltowane ciuchy, wysyła wyraźny sygnał chłopcom. Nie mogę cię puścić na przyjęcie w takim ubraniu, bo wiem, że nie poradzisz sobie z reakcją, z jaką możesz się spotkać.

- Och, przestań. - Ile pogardy w tych zielo-

Lustro 31

nych oczach. - A niby co według ciebie może się wydarzyć? Przecież rodzice Catherine zostają w domu.

- O to chodzi, że, niestety, nic nie musi się wydarzyć. Plotka, niezależnie od tego, czy jest prawdziwa, czy nie, rozchodzi się bardzo szybko i może bardzo zranić. Naprawdę boję się, żeby przez ten strój nie przyłgnęła do ciebie etykieta... no... wiesz...

- Zdziry?

Lindsey zamrugła i westchnęła.

- No cóż, tak, jeśli mamy być ze sobą szczerze. W twoim wieku nie trzeba wiele, żeby narazić się na ohydne plotki. - W pojednawczym geście położyła rękę na sztywnym ramieniu córki. Megan wyrwała się, odwróciła i przeszła matkę szyderczym wzrokiem.

- A jak to jest w twoim wieku? Uważasz, że paradując prawie na golasa przed moimi koleżankami, nie narażasz się na plotki? Uważasz, że nie domyślają się, po co przymierzasz zdirowatą bieliznę?

- Megan - ostrzegła Lindsey, świadoma nienaturalnej ciszy w sąsiednich kabinach.

- Wprawiam cię w zakłopotanie? Stawiam w żenującej sytuacji? No i dobrze! A pomyślałaś, jak ja się czuję, wiedząc, że będziesz to nosić dla niego¹? Robi mi się niedobrze, ot co! Niedobrze, niedobrze...

- Dość tego!

Megan buńczucznie zadarła brodę.

- Myślałam, że kochałaś tatusia, tak jak on kochał ciebie. - Jej oczy zaszkliły się. - Jak mogłaś tak szybko o nim zapomnieć? Jak to możliwe, że chcesz wyjść za mąż za jego mordercę?

O Boże, dziecko.

A więc to stąd bierze się wrogość Megan do człowieka, którego jeszcze niedawno adorowała. Drżąc w środku, Lindsey wzięła głęboki oddech, który zakończyła krótkim histerycznym śmiechem - to był jej sposób na uniknięcie konfrontacji.

Szelest papierów i ponaglące szepty w przylegających kabinach zapowiadały rychłe wyjście matek i córek. Lindsey i Megan porozumiały się wzrokiem i odczekały chwilę, żeby już bez świadków kontynuować przykrą rozmowę.

Od czego zacząć, gorączkowo zastanawiała się Lindsey.

- Tamtego wieczoru specjalnie nastawiłam głośno stereo, żebyś nie słyszała mojej rozmowy ze stryjem Larrym.

- Musiałabym być głucha, żeby nie słyszeć waszych krzyków.

Lindsey skrzywiła się.

- Bardzo mi przykro, że musiałaś tego wysłuchać.

- Później stryj Larry powiedział mi, że Adam

Lustro 33

potrzebował królika doświadczalnego do swoich badań. Że namówił tatusia na niepotrzebną operację, kiedy tatuś był słaby i wystraszony.

- To nie tak...

- Powiedział, że Adam zaprzyjaźnił się z nami tylko, ale tylko do czasu, dopóki nie obejmie go coś, co wybawi go z opresji.

- Czy chodziło mu o przepisy o przedawnieniu? - upewniła się Lindsey, którą zalała złość na Larry'ego. Nie dość, że próbował podważyć jej wiarę w Adama, to jeszcze wciągnął w to niewinne dziecko!

- Śmierć twojego ojca była poważnym ciosem dla stryja Larry'ego, Megan. Nie tylko stracił brata, ale także współnika, i musiał za to obarczyć kogoś winą. Adam był pod ręką. Kiedy firma zaczęła mieć kłopoty finansowe, Larry kazał mi wnieść pozew i zażądać odszkodowania za błąd w sztuce lekarskiej. Odmówiłam, ale stryj nękał mnie aż do czasu wygaśnięcia dwuletniego przepisu o przedawnieniu. Potem dał mi spokój. Sądziłam, że po tak długim czasie przeszła mu złość, ale kiedy mu powiedziałam o zaręczynach z Adamem, on...

- Wściekł się? - podpowiedziała Megan.

- Tak. - Celne sformułowanie, pomyślała Lindsey. - A ja zamiotłam tę sprawę pod dywan, jak to mam w zwyczaju.

Megan dotknęła zawsze obecnej na jej ręku

złotej bransoletki, którą dostała od Pete'a na dziewiąte urodziny.

- Nie lubisz konfrontacji - mruknęła.

- Nienawidzę, bardziej nawet niż tej muzyki disco - przyznała Lindsey i uśmiechnęła się do kobiety-dziecka, które było jej największym wyzwaniem i zarazem radością. - Ale ty musisz się skonfrontować z innym problemem, skarbie.

- Podniosła porzuconą na podłodze bluzkę i zaczęła ją nerwowo wywracać na prawą stronę.

- Kiedy twój ojciec musiał zrezygnować z pracy, byłeś jeszcze taka młodziutka, że nie mogłaś sobie zdawać sprawy z ogromu jego poczucia winy.

- Winy? Ależ to nie ma sensu.

- Nie dla kogoś, kto przywykł sprawować nadzór nawet nad sześcioma placami budowy naraz. Praca papierkowa go mierziła. Poza tym to była działka Larry'ego. A ponieważ stan serca ojca nie był na tyle zły, żeby zakwalifikować go do transplantacji, czuł się uziemiony. Był tym... wkurzony.

- Pamiętam, że nie znosił bezczynności. „Nie znosił” to mało powiedziane, pomyślała Lindsey, odkładając pomiętą bluzkę na wieszak. Z powodu słabej kondycji fizycznej Pete nie czuł się już stuprocentowym mężczyzną, i żadne słowa czy gesty Lindsey nie były w stanie zmniejszyć jego frustracji i ulżyć jego niedoli. Dopiero

Lustro 35

kiedy usłyszał o stosowanej przez Adama metodzie częściowej resekcji lewej komory serca, odzyskał nadzieję i wiarę w siebie.

- Więc stryj Larry miał rację? Tatuś nie musiał być operowany?

- Nie, ale musiałyby radykalnie zmienić tryb życia i bardzo się oszczędzać - przyznała Lindsey. - Wręcz błagał Adama o tę operację, choć zdawał sobie sprawę, że to kontrowersyjna metoda. Wiedział, że dokonuje wyboru między niedającą się wykluczyć śmiercią i pewnym życiem z nami. Wiem coś o tym, bo i mnie ubłagał, żebym podpisała zgodę na tę operację... - Ona też go błagała i zaklinała, zapewniając, że go kocha i że jest z nim szczęśliwa, z takim, jaki jest teraz.

Ale nic nie wskórała. Pete chciał za wszelką cenę poprawić jakość swojego życia - i umarł dwa dni po operacji w wyniku zatoru, pozostawiając Lindsey z poczuciem winy, nie mówiąc o bezgranicznym smutku.

Zwracając się do Megan, przybrała surowy wyraz twarzy.

- Nazywanie Adama mordercą jest nikczemne i nieodpowiedzialne, i nie życzę sobie, żebyś jak papuga powtarzała słowa stryja Larry'ego.

- Zrozumiałam. - Zaczerwienione policzki Megan spotęgowały zieleń jej oczy. - Ale nie żądaj, żebym kochała Adama tak jak tatusia - dodała pośpiesznie.

- Przejdźmy do dużego lustra i przekonajmy się, czy nadal podoba ci się to ubranie.

Lindsey poszła przodem na koniec poczekalni i stanęła z boku trzyskrzydłowego lustra.

Przeglądając się w nim, Megan nie kryła rozczarowania.

- Jakież takie opięte.

Nagły przypływ miłości rozsadzał klatkę piersiową Lindsey i domagał się ujścia. Chcąc spuścić zasłonę milczenia na to, co je poróżniło, obróciła córkę i złożyła leciutki pocałunek na pięknych ustach pomalowanych okropnie jaskrawą szminką.

- Kocham cię ponad życie, Megan. I tak samo kochałam twojego tatę. Nic i nikt nie zajmie waszego miejsca w moim sercu, rozumiesz? Nie była to odpowiednia chwila na wyjaśnianie zdumiewającej pojemności ludzkiego serca; Adam również zajmował w nim niezwykle ważne miejsce.

Zanim jeszcze wzrok Megan powędrował ponad ramieniem matki, Lindsey już wiedziała.

Przyśpieszony puls, leciutki zapach drzewa sandałowego, uczucie podskórnego drżenia - to były nieomyślne znaki. Jedno spojrzenie w lustro, a jej serce zabiło jak oszalałe.

- Witaj, Adamie.

Wystarczyło jedno spojrzenie działających jak zastrzyk adrenaliny ciemnych, migdałowych

Lustro 37

oczu Lindsey, żeby krew w żyłach zaczęła szybko krążyć.

Kiedy matka i córka odwróciły się od lustra, na twarzach obu malowały się jednakowe zdumienie i poczucie winy. Jedynie ciepłe spojrzenie Lindsey pozwalało mieć nadzieję, że nie wszystko stracone, że to, co usłyszał, to tylko wyjęty z kontekstu urywek innej, dłuższej rozmowy.

- Aż trudno uwierzyć, że aby nas tutaj wytropić, zrezygnowałeś z lektury sobotniej gazety
- odezwała się Lindsey. - Jak nas znalazłeś?

- Sprzedawczyni -powiedziała, że w sklepie nie ma nikogo poza matką i córką, a opis pasował do was. - O tyle o ile, a to z powodu skąpego stroju Megan.

Chryste Panie, kiedy to się stało? Adam poczuł się nagle podwójnie odpowiedzialny za przyszłą pasierbicę. Dotąd martwił się głównie jej wrogim

- od pewnego czasu - stosunkiem do siebie i nie dostrzegał innych problemów. A konkretnie kręcących się koło niej równolatków - klonów Eddiego Haskela z kultowego filmu „Wiercipięta”, ściskających rękę Adama w drzwiach wejściowych, i zmienioną nie do poznania wersję Megan w samochodzie. Gdyby któryś z nich ośmielił się ją tknąć, musiałby...

- Adam?

Zamrugnął, oprzytomniał na widok przyglądającej mu się ze zdziwieniem Lindsey.

- Zamierzasz walnąć kogoś pięścią?

- Słucham? Eee... och, rzeczywiście. - Rozwarł zaciśnięte pięści i wsunął dłonie do kieszeni dżinsów, jednym uderzeniem lewego łokcia otworzył drzwi obrotowe, odskoczył w drugą stronę i walnął się prawym w czułe miejsce. I to jak! Ból rezonował w całym ciele.

- O Boże, nic ci nie jest? - zapytała Lindsey, powstrzymując śmiech.

Pewnie przez najbliższe dni nie będę mógł grać w squasha, pomyślał. Roztarł łokieć, odwrócił się i napotkał rozbawiony wzrok brązowych oczu Lindsey.

- Nie krępuj się i śmieję! - Gdy przygryzła dolną wargę, dodał: - No, przecież widzę, że masz na to ochotę.

- Chcę się śmiać z tobą, ale nie z ciebie

- sprostowała.

Pomyślał, że jako znanemu chirurgowi i członkowi znaczącej rodziny Sullivanów należy mu się szacunek, i że nawet czasami powinien budzić trwogę. Tymczasem Lindsey uśmiechała się tak, jakby był słodkim niezdarnym szczeniakiem

- i niech go kule biją, jeśli nie czuł się jak turlający się, podkładający brzuch do podrapania piesek!

Megan parsknęła, a wyraz jej twarzy mówił wyraźnie, że powinien jeszcze podnieść łapę przy krawężniku.

- Przyjechałeś na zakupy? - zapytała Lindsey,

Lustro 39

która знаła jego chorobliwą niechęć do robienia sprawunków.

- Umierałem z głodu i pomyślałem, że moje panie zdążyły do tej pory zgłodnieć - blefowałem. -

Nie zrobiłybyście przerwy na lunch?

Lindsey zbliżyła się do Megan, wyciągnęła rękę i rozbijała jej koński ogon.

- Co ty na to, kochanie? Jesteś głodna?

- Nie - oświadczyła dziewczyna z kwaśną miną.

Krzywiąc się, Lindsey objęła córkę w pasie i przechyliła głowę.

- A mówiąc serio, Adamie, skąd akurat wiedziałeś, że znajdziesz nas w Cool Clothes?

Siląc się na powagę, wzruszył ramionami.

- Od Megan, która mi powiedziała, że to jej ulubiony sklep.

- Niczego takiego nie mówiłam! - oburzyła się dziewczyna.

- Ależ tak, tyle że nie wprost. To było wtedy, kiedy graliśmy w pokera, a ciebie poniosła fantazja, nie pamiętasz? Stawką w grze była nowa bluzka z Cool Clothes, którą miałem ci kupić, gdybyś wygrała. - Głośno postękując, strząsnął wyimaginowany paproch z T-shirta firmy Harley Davidson, który mu kupiła, po czym oparł się bokiem o ścianę.

Wargi Megan drgnęły w uśmiechu.

- Przegrałeś pięć rozdań z rzędu. Kto mógł

przypuszczać, że w kolejnym trafi ci się kolor?

- Powiodła wzrokiem po sitodruku na jego klatce piersiowej i z politowaniem pokiwała głową.

- Nie mówiłam ci, że to trzeba prac na lewej stronie i w letniej wodzie?

- Dokładnie tak robię.

- E tam, coś za bardzo spłowiał po dwóch miesiącach.

- To mój ulubiony podkoszulek, więc często go piorę. Właściwie to przydałoby mi się coś na zmianę, szkrabie. Jak będziesz miała ochotę na pokerka, daj znać.

Przez chwilę miał wrażenie, że jej także brakuje ich cotygodniowej partii kart. Ze może brakowało jej jego entuzjazmu i oklasków na ostatnim popisie szkoły baletowej, których nie szczędził jej wcześniej - w pełni na nie zasłużyła - kiedy całą trójką wybrali się na występ i podziwiali ją z Lindsey z pierwszego rzędu. Wzrok Megan rozjaśnił się na chwilę, ale już po chwili odwróciła się ostentacyjnie. Lindsey natychmiast wyciągnęła rękę i przyciągnęła córkę do siebie.

Adama zalała fala czułości. Niedługo stworzą rodzinę, prawdziwą rodzinę, w której najważniejsza będzie miłość. Jeszcze trzy lata temu - zanim zarekomendował wdowę po Peterze Howardzie do pracy w dziale marketingu - wyśmiałyby każdego, kto by mu powiedział, że zakocha się w niej bez pamięci i że zamarzy mu się

Lustro 41

prawdziwy dom. Żeby mu się odwdziżyć, Lindsey zaprosiła go do domu na kolację, a on wracał i wracał do tej oazy wesołości i ciepła rodzinnego.

- Doceniam twoje poświęcenie - powiedziała Lindsey, a Adam uznał, że dla uroczego, ciepłego spojrzenia tej kobiety warto przejechać nawet całą Saharę. - Z przyjemnością wybierzemy się na lunch, prawda, Megan?

Dziewczyna, która już sobie przypomniała, że jest naburmuszona, skierowała całe niezadowolenie na matkę:

- Nie jestem głodna. Poza tym to miał być czas przeznaczony dla rodziny i miałyśmy go spędzić razem.

- Megan!

- To są twoje słowa, nie pamiętasz? Rumieniąc się, Lindsey zerknęła na Adama.

- Ale to nie znaczy, że masz być niegrzeczna. Przepróż Adama za...

- Nie - wtrącił się. Zdawał sobie przecież sprawę, że odgrywanie rozkapryszonego bachora jest swego rodzaju manifestem, próbą obrony pamięci ojca. - Megan ma rację. To ja przepraszam, że przeszkadzam w waszych panieńskich sprawach. Zachowałem się jak intruz. Ale...

- Nie jesteś intruzem, naprawdę. - Lindsey odsunęła się od córki i skrzyżowała ręce na piersiach. - Czyż nie tak, kochanie?

Uwagę Adama przyciągnął czerwony baweł-

niany podkoszulek, uwydatniający piersi Lindsey. Za dwadzieścia sześć dni spędzą cudowny tydzień w San Francisco. Najlepiej w ogóle nie opuszczając łóżka.

- Chyba nie - mruknęła wreszcie Megan.

Jeszcze raz, na wszelki wypadek, Lindsey skarciła córkę wzrokiem, odwróciła się do Adama i założyła za ucho niesforny kosmyk włosów.

- Za parę minut będziemy gotowe, więc jeśli chcesz, zaczekaj na nas na zewnątrz. Tyle że w tym stroju wolałabym zjeść coś na miejscu, w jednej z tutejszych restauracji. - Czarne loczki znowu wysunęły się zza ucha, a Adam pomyślał, że gdyby głębiej zanurzył palce, opłotłyby się wokół jego palców. Potem niespiesznie przeniósł wzrok na pełne usta Lindsey, które mógłby całować bez końca. - Albo gdzie indziej...

Widząc niepewność w oczach narzeczonej, Adam sklął w duchu własną matkę. Ann Sullivan wystraszyła mamę Lindsey, mówiąc a propos ślubu, że w tej rodzinie żadne faux pas nie wchodzi w grę. Z kolei pani DeMitre krytykowała córkę za to, że nie dba o pozory. - Gdzie tylko zechcesz - zapewnił ją Adam. - Ale postanowiłem wrócić do domu do swojej gazety. Nie - podniósł rękę, żeby powstrzymać protest Lindsey - nie powinienem był wparowy-wać bez uprzedzenia. Nie śpieszcie się i załatwiajcie swoje sprawy.

Lustro 43

- Na pewno?- Oczywiście. Ale wiesz co, Lindsey? - Przytrzymał jej wzrok, dopóki nie skupiła się na nim. - Dla mnie zawsze i we wszystkim wyglądasz świetnie. Wziąłbym cię... - Tutaj. Teraz.

- Wziąłbym cię wszędzie i byłbym z ciebie dumny. - Jej oczy pociemniały, a policzki przybrały kolor dojrzałej w słońcu brzoskwini. Adam z trudem odpędzał od siebie coraz bardziej zdrożne myśli. - Ponieważ odpadł nam lunch, może poszlibyśmy wieczorem na kolację. Dasz radę?

- Mamo! Powiedziałaś, że wypożyczymy sobie jakiś film i zamówimy pizzę - odezwała się Megan z kamiennym wyrazem twarzy.

- Pojedziemy do Luigiego - nalegał Adam.

- Byliśmy tam... dawno temu.

Rozchylone usta Lindsey wskazywały wyraźnie, że pamięta tę kameralną kolację we włoskiej restauracji, a także to, co było później. Tamtego wieczoru po raz pierwszy się kochali. Spojrzała udreńczonym wzrokiem na Megan, a potem przeniosła błagalne spojrzenie na niego.

Powiedz tak, rozkazał bez słów. Powiedz tak, a zostawię cię w spokoju.

- Zgoda - wybąkała Lindsey.

Chociaż zwycięstwo było połowiczne, miał nadzieję, że z czasem będzie ich łączyć nie tylko pożądanie. Miał też nadzieję, że ona także w końcu go pokocha. Jest taka wyjątkowa, pomyślał,

przypominając sobie różne debutantki i rozwódki, które podsuwała mu matka, a które przy tej wspaniałej kobiecie robiły wrażenie drętwych manekinów. Lindsey uwielbiała się śmiać, droczyła się z nim z wdziękiem, podejmowała jego zwariowane pomysły, jednym słowem potrafiła sprawić, że przy niej naprawdę czuł, że żyje. A do tego jest taka prostolinijna. Ile musiał ją namawiać i przekonywać, żeby zgodziła się przenieść po ślubie do jego luksusowego domu. Wzruszała też go jej miłość do zmarłego męża.

- Fantastycznie - rozległ się głos za jego plecami.

Kiedy się obejrzał, napotkał zawadiacki uśmiech i wesołe niebieskie oczy rudowłosej nastolatki, która go tu skierowała.

- Pomyślałam, że może zmyślił pan jakąś bajeczkę, żeby tu wejść. Ale widzę, że wszystko w porządku. - Spojrzała na Lindsey i Megan, a potem znowu na niego. - To pańska żona i córka?

- Mój ojciec nie żyje - uprzedziła odpowiedź Adama Megan.

- O rety! Przepraszam - usprawiedliwiła się ekspedientka i nieświadoma układów i napięć obeszła wkoło Megan, której brzuszek zaróżowił się równie uroczo jak buzia. - No nie, ale w tym fajnie wyglądasz. Nie uważasz, że to świetny strój?

Lustro 45

- Uważam, ale mama twierdzi, że wyglądam w tym jak zdzira - z satysfakcją oznajmiła Megan.

Lindsey zaniemówiła, szybko jednak ochłonęła i wycedziła:

- I co w tym wyjątkowego, że uważam te ciuchy za zbyt opinające?

- Dobrze, dobrze, już się rozmyślałam.

- Ale ja nie, i mam nadzieję, że coś kupisz. Przymierz coś innego albo przebierz się w swoje rzeczy i chodźmy stąd.

- Ale...

- Wybór należy do ciebie.

Nie dając jeszcze za wygraną, Megan zwróciła się do swojej sojuszniczki:

- Dużo sprzedajecie takich szortów i krótkich topików?

- Och tak. Już nam się prawie kończą zapasy.

- Widzisz, mamó? Teraz wszystkie dziewczyny ubierają się jak zdziry. Wyglądałabym głupio, gdybym się ubrała inaczej.

Adam wzdrygnął się na taką bzdurę.

- Głupio? Uważasz, że będziesz wyglądała głupio, jeśli nie będziesz ubrana jak zdzira? Czy ty słyszysz, co mówisz? - wyrzuciła z siebie Lindsey. Odeszła parę kroków, po czym obróciła się gwałtownie do ekspedientki. - A teraz odpowiedz na moje pytanie. Czy dużo masz zwrotów od dziewczyn, które kupiły to ubranie bez

matek, które nie zgodziły się na to, żeby ich córki wyglądały rozwiązłe?

- No cóż, eee... tak, proszę pani - wydukała rudowłosa. - To znaczy prawdziwa jest ta część o zwrotach, a co do reszty nie będę się wypowiadała. Powiem tylko, że dziewczyny naprawdę chcą fajnie wyglądać. I nie chodzi im o to, żeby wyglądać na takie, które sypiają z każdym, kto tylko się nawinie. Zresztą w tej sprawie musiałaby pani zasięgnąć opinii chłopaków.

Zaległa kłopotliwa cisza, a każda z uczestniczek tej batalii rozważała problem na własną rękę.

Czując, że wiatr zmienia kierunek, Adam dał mu się ponieść aż do drzwi wyjściowych przymierzalni.

ROZDZIAŁ TRZECI

Firma Weselne Dzwony 15:00, 22 dni do ślabu

- O Boże, powiedz, że go o to nie pytałaś - jęknęła Judith DeMitri, drażniąc Lindsey bardziej niż rząd szpilek wpiętych w jej atłasową suknię ślubną.

- Przecież właśnie ci to powiedziała, Judy, więc przestań marudzić, bo to jest nie do wytrzymania. Wiesz, że tego nie cierpię.

- A za to ty dobrze wiesz, że nie cierpię, kiedy mówi się do mnie Judy, mammo.

Usadowione na fotelach w stylu królowej Anny po dwóch stronach dużej przymierzalni, matka i babka Lindsey znów się kłóciły. Pieniądze z polisy na życie Joeya, wypłacone jego żonie pięć lat temu, kiedy to owdowiała, wystarczyły na kupno domu, w następstwie czego Judith niezwłocznie zaproponowała babci Ednie, żeby

sprowadziła się do niej. W ten sposób babcia Edna, mieszkająca dotąd nieprzerwanie, czyli do siedemdziesiątego ósmego roku życia, na farmie, osiedliła się w mieście. Matka i córka zamieszkały razem na dobre i na złe.

- Nie rozumiem, co ci się nie podoba w tym, że Lindsey poradziła się Adama w sprawie stroju Meggie na przyjęcie.

- Megan, mamó. Ona ma na imię Megan. A nie podoba mi się to, że Lindsey postawiła go w niezręcznej sytuacji, bo cokolwiek by powiedział, musiałby zmartwić jedną albo drugą. Biedak pewnie najchętniej dałby stamtąd nogę.

- Jeśli za każdym razem, jak tylko coś się dzieje, ma chować ogon pod siebie jak jakiś wystraszony pies, to lepiej w ogóle niech nie wsadza nosa w prywatne sprawy Lindsey.

- Mamó! - oburzyła się Judith

W odpowiedzi rozległ się triumfalny rechot babci Edny.

Lindsey obracała się posłusznie w miarę, jak krawcowa fastrygowała dół sukni ślubnej. Czy matka nie nauczy się nigdy, że babcia Edna tylko czyha na okazję, żeby wygłosić jakąś kontrowersyjną opinię? A święte oburzenie i poprawność w każdym calu, tak charakterystyczne dla matki, działały na babcię jak płachta na byka. Lindsey pojęła to już w wieku pięciu lat, a jako dwunastolatka ściagała się z Edną w opowiadaniu nie-

Lustro 49

stworzonych, barwnych historyjek, dzięki czemu przestała być obiektem jej szyderstwi i prowokacji.

Zerkając teraz na tę niepoprawną żartowniszę, uśmiechnęła się z czułością.

Trinh Nguyen - wietnamska współwłaścicielka rodzinnej firmy o nazwie Weselne Dzwony - zakończyła swoją pracę, więc Lindsey cofnęła się parę kroków, żeby przejrzeć się w lustrze i sprawdzić długość sukni.

- Przepraszam, że znów zapomniałam pantofli na wysokich obcasach - sumitowała się, patrząc, jak dół atłasowej sukni opiera się na wiązaniu adidasów. - A wczoraj specjalnie je wyjęłam i postawiłam w kuchni, żeby rano na pewno o nich pamiętać! - Jej śmiech w rodzaju „ależ ze mnie idiotka” spotkał się ze spojrzeniem, które wskazywało na to, że Trinh Nguyen jest tego samego zdania. - Na następną miarę już na pewno je przyniosę.

- Bez pantofli na obcasach mieć kłopot wycyrklować dół sukni - powiedziała Trinh swoją specyficzną angielszczyzną, szukając czegoś w pudełku z przyborami.

- Wiem. Biję się w piersi. No, ale to i tak postępek, że wyjęłam je z szafy, prawda? - Niestety nie według standardów wietnamskich, o czym wymownie świadczyło milczenie Trinh. - Obiecuję, że przed następną miarą zawczasu włożę do nich kluczyki samochodowe.

- Przyniesie pani wtorek?

- Na pewno.

- To Trinh nie mieć już zmartwienie. - Weszła na podwyższenie i zaczęła majstrować przy długim rzędzie guziczków na plecach.

Trinh nie mieć zmartwienie, pomyślała z ironią Lindsey. Ale ja mieć! Bo dlaczego wciąż czuję się tak niepewnie i wracam myślami do ślubu z nieżyjącym mężem? Tym razem nie będzie to potajemna ceremonia, jak z Pete'em. Niestety, obecnie czeka ją wielka uroczystość, której nie złagodzi fakt, że Adam wynajął w tym celu oddalone od Houston o czterdzieści pięć kilometrów miejsce na terenie parku narodowego Brazos Bend - fantastycznego rezerwatu przyrody. Za to rozczarowana przyszłą synową pani Sullivan zdawała się w pełni usatysfakcjonowana tą ekskluzywną i dobrze widzianą w jej sferach oprawą wesela swojego syna. A radosne podniecenie Judith DeMitri z powodu nadarzającej się okazji otarcia o elitę społeczną sięgało zenitu.

Matka, kierowniczka jednego z działów filii Barnes & Noble w Houston, największego potentata na rynku księgarskim, zamówiła wszystkie dostępne książki traktujące o ceremoniale weselnym i studiowała je przy każdej okazji.

- Nie możemy się skompromitować, Lindsey - powtarzała jak refren.

Lustro 51

Z daleka do świadomości Lindsey dotarła kolejna sprzeczka między matką i babcią. Podniosła lekko drżącą rękę i zdjęła z wilgotnego czoła przyklejone kosmyki włosów. Pot? Wykluczone, nie wolno jej się pocić! Nie w pamiątkowej atlasowej ślubnej sukni matki, której przeróbka kosztuje połowę jej miesięcznej pensji. Nie teraz, kiedy za dwadzieścia dwa dni blisko trzysta zaproszonych osób zgromadzi się u stóp reprezentacyjnych schodów przykrytych czerwonym dywanem w oczekiwaniu na godnie i dostojnie zstępującą nieskalaną pannę młodą...

Albo spadającą i zjeżdżającą ze schodów na pupie.

- Ooo - jęknęła żałośnie i zachwiała się. Nagle przed jej nosem wyrósł kosz na śmieci, a pochylone czoło podtrzymały chłodne palce. Kojące, wspierające. Delikatny zapach nawilżającego płynu marki Jergens był genetycznym znamieniem, które zidentyfikowałyby zawsze i wszędzie. Matka.

- Oddychaj głęboko, skarbie. Zuch dziewczyna. Dobrze. Jeszcze raz. Już lepiej?

- Troszeczkę.

- Celuj do kosza! - zawołała babcia Edna.

- Przyniosę wodę - odezwała się z tyłu Trinh.

Zamroczenie ustępowało. Lindsey wyprostowała się i popatrzyła na pulchniejszą, ładniejszą wersję twarzy babci. W trudnych sytuacjach

zawsze mogła liczyć na matkę. Jak Bóg da, Megan też będzie mogła szukać oparcia u swojej mamy.

- Dziękuję, mamó. - Czule ścisnęła jej dłoń. - Kocham cię.

W zwykle zachmurzonych oczach Judith pojawiło się nieklamane zadowolenie.

- Ja też cię kocham, skarbie. Przez chwilę bałam się o ciebie.

- Skąd wiedziałaś, że zrobiło mi się niedobrze? Judith roześmiała się i przez krótką chwilę znów była tą piękną dziewczyną, w której tak szaleńczo zakochał się Joey DeMitri, kiedy pewnego lata zgłosił się do pracy na farmie dziadka Spencera i pakował słomę w ścisłe sześciany.

- Poznałam to po twojej nieszczęśliwej minie. Niejeden raz sprzątałam po tym, kiedy wydawałaś to charakterystyczne „Ooo”, żeby nie zorientować się, co się święci. To mi wygląda na niestrawność. Może coś zjadłaś?

Uwagę Lindsey przyciągnęło miarowe stukanie laseczką o nogę fotela.

- Czy przypadkiem ten pies, o którym niedawno rozmawialiśmy, nie zrobił ci dziecka, Lindsey?

- Mamó!

Babcia Edna znowu oparła laseczkę o poręcz fotela.

- Co chcesz, przecież to wszystko układa się w sensowną całość. Dziewczyna omal nie zwróciła śniadania, wzięła nas wszystkich do galopu i na gwałt wyprawia to wytworne wesele. Przyjrzyj się lepiej temu jej narzeczonemu i powiedz z ręką na sercu, że on nie lata za nią jak pies za suczką i nie wślizguje się do jej budy, gdy nadarza mu się okazja. Też bym merdała ogonkiem, gdybym miała dwadzieścia lat...

- Mamo, doprawdy, tak nie można! - Zniknęła promienna dziewczyna, a na jej miejsce powróciła rozgniewana blond matrona.

- Co „doprawdy”, Judy? Powiedziałabym, że noszenie dziecka w brzuchu, zanim mężczyzna narzuci ci jarzmo, jest czymś tak oczywistym, że nie warto nad tym rozdzierać szat. A poza tym czy to nie jest dobry powód do tego, żeby wziąć ślub? Tak było kiedyś i tak jest teraz.

Przez dłuższą chwilę mierzyły się wzrokiem; młodsza czerwieniała na twarzy, a wzrok starszej wypogadzał się i łagodniał.

Lindsey zbierała siły. Biedna mama, zawsze dążąca do tego, żeby było lepiej, niż jest.

Biedny tata, nigdy niemogący sprostać jej oczekiwaniom; jego warsztat samochodowy zarabiał tylko na opłacanie bieżących rachunków. Lindsey zapytała go kiedyś, zanim rak nie odebrał mu mowy, dlaczego znosi wieczne utyskiwania matki, podczas gdy w takiej sytuacji najbardziej logicznym rozwiązaniem byłby rozwód. Jego ciemne oczy wypełniły się pełną rezygnacji czułością.

Serce nie sługa; a gdybyśmy mogli wybierać

osobę, w której się zakochujemy, nie byłoby czego szukać w raju.

- Nie jestem w ciąży - wtrąciła Lindsey, zwracając się do przystrojonego perełkami i koronką manekina, stojącego po jej prawej stronie.

- To nie jest powód, dla którego się pobieramy. Reakcja babci Edny była natychmiastowa:

- To dobrze, skarbie. Naprawdę dobrze. A dlaczego się pobieracie?

- Rany boskie, mamó, co za głupie pytanie!

- Nieświadoma prowokacji Judith znów wdała się w dyskusję. - Adam, poza tym, że jest bogaty i przystojny, szaleje na punkcie Lindsey i Megan. Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć.

Odwracając się przed zbyt dociekliwym wzrokiem babci, Lindsey zaplątała się w fałdach grubego atlasu pętającego jej nogi. Z wdzięcznością uśmiechnęła się do Trinh, która nie tylko ją podtrzymała, ale też przyniosła obiecaną wodę.

- Proszę wypić. - Włożyła jej szklankę do ręki.

- To pomóc.

- Dziękuję. - Oczy Lindsey napotkały wzrok matki. - Mogłabyś mi dać trzy aspiryny z mojej torebki?

- Trzy?

- No dobrze, niech będą dwie. - Weźmie trzecią później, ukradkiem. Kiedy łykała tabletki, czuła, że przenikliwy wzrok wszystkich zacnych pań skupia się na niej. Ból głowy narastał.

Oddała

Lustro

55

szklanę, siląc się na promienny uśmiech. - Dziękuję, Trinh. Od razu poczułam się lepiej. Judith miała nadal zatroskaną minę.

- Poprosiłaś Larry'ego, żeby zastępował ci ojca podczas ceremonii ślubnej?

- Nie, mammo. Już ci powiedziałam, że będę sama schodzić po schodach.

- Prawda, mówiłaś, ale takie rozwiązanie byłoby jak najbardziej stosowne. Tak jest napisane we wszystkich książkach...

- Mammo, Larry i ja nie przepadamy za sobą w ostatnim czasie. Już ci to mówiłam. Pozostaje ci zatem mieć nadzieję, że cię nie skompromituję i, choć pozbawiona wsparcia męskiego ramienia, to jednak nie spadnę ze schodów.

- Już dobrze, dobrze. Nie musisz się na mnie wściekać. Chcę tylko twojego dobra. - Judith podeszła do fotela i sięgnęła po swoją torebkę od Gucciego. - Chodźmy, mammo. Jeśli podrzucę cię teraz do domu, akurat zdążę na umówioną wizytę u fryzjera.

- Ale ja chcę zobaczyć Lindsey w welonie

- zaprotestowała babcia Edna.

- Mammo, uprzedzałam cię, że pobędziemy tu tylko godzinę...

- Z przyjemnością odwiozę babcię do domu.

- Lindsey usłyszała swój głos i złożoną propozycję. To była pokuta za wcześniejsze powarkiwania na matkę.

- Och, mogłabyś, skarbie? Byłoby wspaniale. André nie lubi, kiedy się spóźniam.

- Mistrz André - parsknęła babcia Edna. - Nie zapomnij o wieczornym bingo w kościele. To jedyna rzecz w tym cholernym mieście, którą naprawdę lubię i na którą warto ładnie się ubrać - zrzędziła. - A właśnie, Lindsey, jeszcze się nie dowiedziałam, co Adam powiedział na temat ubrania Meggie na przyjęcie u Catherine.

W rzeczy samej. Przypominając sobie teraz jego wyważoną wypowiedź, Lindsey zrobiło się lżej na sercu.

- Powiedział, że na Megan zawsze będzie zwracać uwagę mnóstwo facetów i to niezależnie od tego, w co się ubierze, ale że od niej zależy, jakiego rodzaju zainteresowanie będzie wzbudzać. Powiedział jeszcze, że może ubierać się w rzeczy, które skupią uwagę facetów na jej ciele, ale że jego zdaniem Megan może zdobyć tytuł miss świata dzięki swojej inteligencji.

Ta wypowiedź zaskoczyła je obie i sprawiła im wielką przyjemność. Natomiast fakt, że Adam w ostatniej chwili odwołał kolację, by zająć się nagle jakimś pacjentem, dotknął ją do żywego.

- No i co, to już wszystko? - ponaglała babcia Edna.

- Eee... no niezupełnie. Powiedział jeszcze, że gdyby któremuś chłopakowi przyszła ochota na

Lustro 57

obmacywanie jej na przyjęciu, to niech się liczy z tym, że dostanie w dziób.

- O choroba, podoba mi się ten typek! Nic dziwnego, że tak ci spieszno do ołtarza.

Nic dziwnego, przyznała Lindsey. Problem jednak nie w tym, że wychodzi za niego za męża, ale w tym, że taki mężczyzna jak on rezygnuje z „ujarzmienia” jakiejś panienki z towarzystwa dla kogoś takiego jak ona.

B. A. King, Wytworne Ubrania dla Panów 12:35, 19 dni do ślubu

Lindsey zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zamrugła z wrażenia. Eleganckie foyer nie przypominało żadnego ze znanych jej wejść do sklepów z męską odzieżą. Ideałem mody Pete'a były spodnie khaki i zapinane na guziczki koszule z kołnierzykiem firmy Gap. Czy w tym całym rozgardiaszu i nawale spraw do załatwienia w godzinie lunchu nie pomyliła adresu?

Posmutniała. Adam pracuje jak szalony, bierze nadliczbowe godziny, żeby wcześniej wziąć urlop, niż przewidywała administracja szpitala. Ich sporadyczne wspólnie spędzane chwile są zbyt cenne, żeby je tracić na... Och, w porządku!

Schowała okulary, kiedy do foyer bezszelestnie wsunął się mężczyzna w czarnym garniturze.

Gustowny identyfikator przedstawiał go jako kierownika regionalnego.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał z brytyjskim akcentem.

Zesztywniała pod jego badawczym wzrokiem -dyskretnie i błyskawicznie zlustrował ją od stóp do głów - po czym uznała, że wynik jest dla niej niekorzystny.

- Pani zablądziła - oświadczył, zanim zdążyła wyartykułować odpowiedź. - Jeśli potrzebuje pani pomocy, proszę udać się na stację benzynową za rogiem, tam pani kupi plan miasta.

Ten dygnitarz od męskich ciuchów ma mentalność kamerdynera, odganiającego motłoch od głównych drzwi do wejścia dla służby, stwierdziła Lindsey i w jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przestała być niedużą, niczym niewyróżniającą się brunetką w granatowym sweterku i czerwonych balerinach - i weszła w rolę wysokiej olśniewającej blondynki w czarnej zwiewnej szacie i w pantoflach na wysokich obcasach.

- To przecież jest B. A. King, nieprawda?

- W rzeczy samej, madame.

- Pan Adam Sullivan czeka tu na mnie z przymiarką smokingu. Jestem Lindsey Howard.

- Uniosła brew, idealnie naśladowując Grace Kelly.

- Narzeczona doktora Sullivana.

Kierownik sali zaczerwienił się aż po cebulki

Lustro 59

siwych włosów, nadających mu dystyngowany wygląd.

- Ach, oczywiście, panno Howard. Doktor Sullivan przybył dziesięć minut temu. Bardzo proszę udać się za mną. Zaprowadzę panią do niego.

Lindsey pokryła satysfakcję iście królewskim skinieniem głowy. O rany, taka postawa przynosi wcale niezłe efekty!

Jak przystało na przyszłą panią doktorową Sullivan, ruszyła za kierownikiem dostojnym krokiem. Po przejściu sporego kawałka, kiedy to przeżywała wzloty i upadki, wychodząc co jakiś czas z narzuconej sobie roli Grace Kelly,, postanowiła wreszcie rzucić okiem na ekskluzywny sklep, a to, co zobaczyła, wprowadziło ją w osłupienie i było prawdziwą ucztą dla zmysłów. Jarzące się oświetlenie, stylowe półki i szafy, zapach szlachetnej skóry i drewna, olejne pejzaże prezentujące się niezwykle korzystnie na tle ścian w kolorze butelkowej zieleni, płynąca z ukrytego źródła klasyczna muzyka... To wszystko działało kojąco.

Wyobraziła sobie, że okrągłe niskie stojaki z wytwornymi kreacjami, obok których przechodziła, zamieniają się w stoliki pełne ludzi w modnej restauracji. Wydawało jej się, że w każdej chwili sportowa marynarka mogła stuknąć łokciem sąsiadujący z nią płaszcz i szepnąć:

- Biednej kobiecie się pomyliło, wydało jej się, że przeczytała Burger King, a nie B. A. King.

Tutaj wszystko podkreślało przepaść między światowym Adamem a jej wrażliwością i odbiorem świata, charakterystycznymi dla ludzi z klasy średniej.

Zaczęły ją nachodzić niespokojne myśli i wątplenia, a wraz z nimi pojawiły się pierwsze, jeszcze słabe oznaki kolejnej migreny. Co będzie, jeżeli po ślubie popełni jakieś faux pas i nie spodoba się grupie naukowców nieufnie nastawionych do badań Adama, ale którzy w innej sytuacji, mimo wszelkich merytorycznych zastrzeżeń, mogliby sponsorować jego prace? A jeśli okaże się zbędnym ciężarem, nudziarą, kimś z najkoszmarniejszego snu?

Powracając nieświadomie do swojego normalnego sposobu poruszania się, Lindsey postanowiła przestać cokolwiek udawać i oszukiwać siebie samą, że jest kimś innym, kimś lepszym.

- Jesteśmy na miejscu, panno Howard - powiedział kierownik, podchodząc do otwartych panelowych drzwi i ruchem ręki zapraszając ją do środka. - Doktor Sullivan jest w głębi z panem Broadmore'em, mistrzem krawieckim, który pracuje w naszym amerykańskim oddziale od dwudziestu lat.

Wchodząc do niedużej poczekalni wyposażonej w skórzaną kanapę w kolorze burgunda i stanowiący z nią całość fotel, Lindsey rzuciła okiem na korytarz po przeciwnej stronie.

Pusty.

Lustro 61

Echo niezliczonych matczyńskich napomnień zmobilizowało ją do konfrontacji ze swoim przewodnikiem.

- Dziękuję za przyprowadzenie mnie tutaj, panie...? - Uśmiechnęła się ku jego wyraźnemu zdumieniu.

- Jones, proszę pani.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się szeroko.

- Czy to możliwe? W mojej rodzinie ze strony matki też są Jonesowie, głównie w Bostonie. Nie utrzymujemy z nimi zażyłych kontaktów. Zdaje się, że nie jesteśmy dla nich dostatecznie wytworni i światowi. Chyba nie ma pan krewnych w Bostonie, panie Jones? Pan Jones wydawał się bardziej speszony niż obrażony.

Lindsey zaśmiała się.

- Nie, to na pewno nie pańska rodzina. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Kierownik odchrząknął,

- Jest pani zawsze u nas mile widziana. - Gdy zaczęła się odwracać, zaproponował uprzejmie:

- Może przynieść pani jakiś napój chłodzący?

Hurra! Daliśmy nauczkę snobom!

- To miło, że pan o tym pomyślał, ale nie, dziękuję panu.

- Na pewno? Na dworze panuje nieznośny upał. Okazuje się, że pan Jones nie jest aż tak złym facetem.

- Na pewno... ale niech pan mówi dalej. Podoba mi się pańska brytyjska wymowa. W pańskich ustach wszystko brzmi tak... cywilizowanie.

- Tak pani uważa? - Jones poprawił swój nudny ciemnogrnatowy krawat i pochylił się konspiracyjnie w stronę Lindsey. - A ja osobiście wolę pani teksański akcent. W naszej firmie macierzystej mówią nawet, że podłapałem go trochę.

- To wszystko jest niezmiernie interesujące - przerwał im niski głos, na dźwięk którego serce Lindsey zabiło gwałtownie. - Ale na wszelki wypadek proponuję, żebyś przestał flirtować z moją narzeczoną.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lindsey odwróciła się błyskawicznie.

W drzwiach, oparty nonszalancko o futrynę, z rękami skrzyżowanymi na gołej klatce piersiowej, stał Adam - wysoki, smagły i diabelnie seksowny w czarnych spodniach od smokingu i w zaznaczającym talię czarnym szerokim jedwabnym pasie smokingowym.

- Ależ doktorze Sullivan, jakżebyś śmiał. Adam spoważniał.

- Wyluzuj, Harry, wyluzuj, to przecież żart. A teraz zamknij, proszę, drzwi i zostaw nas samych.

- Oczywiście, panie doktorze. Już się robi.

Lindsey prawie nie odnotowała odejścia Jonesa, tak bardzo zachwyciło ją prawie nieznanne wcielenie Adama. Zawsze, ilekroć się kochali, przyćmione światło chroniło ją przed jego wzrokiem, ale jednocześnie pozbawiało ją jego widoku. Teraz bezwstydnie pożerała oczami ciało

mężczyzny, z którym już wkrótce będzie dzielić życie i, dzięki Bogu, łóżko.

Czarne gabardynowe spodnie dopasowane do jego mocnej, okazałej postury wyraźnie wskazywały na to, że odbywa więcej spotkań biznesowych na korcie do squasha niż w modnych knajpkach. Długie nogi, szczupła talia, twardy, płaski brzuch, no i ten tors! Tyle pokus! Lindsey świerzbiły palce, żeby sobie trochę pobuszować.

Po tygodniach szybkich wspólnych lunchów i odbywanych w pośpiechu kolacjorandek miała nieodparte pragnienie, aby go dotknąć i być dotykana przez niego. Za dziewiętnaście dni otworzą się przed nią wrota rajów...

Najpierw jednak muszą porozmawiać.

- Adam? - Podniosła wzrok i zapomniała języka w gębie.

Błyszczące złociste oczy patrzyły na nią bacznie i namiętnie. Były hipnotyzujące. „Jestem najlepszy”, mówiły znad maski chirurgicznej przed operacją jej męża. Teraz obiecywały biegłość, która nie ograniczała się do technik chirurgicznych.

Czegoś takiego nigdy z nikim nie odczuwała; to było niebywałe połączenie braku pewności siebie i lęku oraz pociągu fizycznego. Tak bardzo starała się w nim nie zakochać, że nawet udawało jej się to przez jakiś czas. Ale kiedy sztuka pod tytułem „Jestem wcieleniem samego Boga” upad-

Lustro 65

ła, a Adam polubił nad życie jej małą dziewczynkę, Lindsey poddała się.

- Może chodźmy lepiej na zaplecze i razem z Broadmore'em wybierzmy pasy do smokingu. Chyba ją diabeł podkusił, żeby powędrować wzrokiem na mięśnie brzucha Adama, które naprężyły się pod jej spojrzeniem. Jego pas wzbudził w niej przelotne zainteresowanie, natomiast nieomylny znak jego narastającego pożądania rozbudził w niej erotyczne tęsknoty.

- Podoba mi się ten, który masz na sobie

- powiedziała zdławionym głosem.

Potężne, mocne ramiona Adama porwały ją i przyciągnęły tak blisko, że mogła słyszeć walenie jego serca. Przysunęła się jeszcze bliżej, objęła go w pasie, pragnąc trwać z nim tak przez następnych czterdzieści lat, albo i dłużej. Kiedy ją trzymał, nie czuła się samotna ani niepewna. Przystawała się bać, że spotka ją los jej ojca albo, co gorsza, rozwód i wygaśnięcie uczuć. Albo, jak po śmierci Pete'a, całkowita niechęć do życia.

Gdyby z jakiegoś powodu została jeszcze raz sama, chyba by tego nie przeżyła.

- Lindsey, Lindsey - półzartem mruczał jej Adam do ucha. - Aleś sobie wybrała miejsce i czas! Chcesz, żebym cię wziął tutaj, pod drzwiami?

- Tak. - Mrowienie w jej już i tak rozbudzonym ciele było reakcją na jego pulsującą męskość.

- Ale zadowolę się pocałunkiem.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział zbolalym głosem, nie przestając jej pieścić. - Albert czeka.

- Ale ja lepiej od niego całuję. Zachichotał i złożył szybki pocałunek na jej czole.

- Zadowolona? Wystarczy? A teraz naprawdę już chodźmy.

Lindsey wspięła się na palce i wsunęła nos pod jego brodę. Mmm, gorący, słonawy papier ścierny pachniał delikatnie płynem po goleniu. Musiała to skosztować, więc przejechała po tym językiem, jeszcze bardziej podniecając Adama.

- Lindsey, proszę... Na Boga, kobieto... Nie wytrzymam.

Odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała wyzywająco.

- To mnie pocałuj na pożegnanie. Tylko tym razem zrób to jak należy.

Świeciły mu się oczy, kiedy, trzymając ją w pasie, sterował nią do drzwi. Gdy wreszcie ją do nich przyparł i pochylał się nad nią, nie posiadała się ze szczęścia. Tak! Udowodnij, że sobie tego nie uroiłam. Przekonaj mnie, że to uczucie nie jest jednostronne.

Już po chwili, kiedy ją całował, jej trzeźwe myślenie uleciało, dosłownie wzięło w łeb. Rozpłynęła się cała, kolana zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Gdyby jej nie podtrzymawał, pewnie by upadła.

Lustro 67

Szerokie dłonie Adama ujęły jej plecy i uniosły ją bez wysiłku. Wpiła się palcami w jego ramiona i rozsunęła nogi. Boże, jak dobrze... Poddawała się jego coraz śmielszym pocałunkom, sama też nie szczędziła pieszczot. Zatracała się w graniczącej z szaleństwem namiętności i stopniowo zapominała o bożym świecie.

Tak, tak! To jest magia. Pragniesz mnie tak bardzo, jak ja ciebie, podszeptowała jej podświadomość.

Jeszcze tylko jak przez mgłę usłyszała wypowiedziane przez siebie^Słowa:

- Ojej, jak cudownie - i skoncentrowała całą uwagę na przesuwających się ku jej udom rozpalonych palcach Adama.

- Opamiętajcie się, proszę!

Adam i Lindsey zastygli w bezruchu, po czym szybko otworzyli oczy. Po dłuższej chwili, jak przez mgłę, Lindsey dostrzegła ponad ramieniem Adama stojącego w wejściu tysego człowieczka z kilkoma pasami do smokingu na ręku. Zgorszony mikrus zatrzymał pożądlivy wzrok na obnażonym udzie Lindsey.

Zwinęła się jak robak nadziany na haczyk.

- Adam! - jęknęła, a on cofnął się pośpiesznie. Kiedy jej stopy dotknęły podłogi, wydając głuchy odgłos, gwałtownym szarpnięciem opuściła spódnicę, gdy tymczasem Adam zaklął pod nosem.

Z tego, co jej opowiadał, wynikało, że wszyscy mężczyźni, a zapewne też kobiety z rodu Sullivanow - podobnie jak większość teksańskiej elity - ubierali się w tym magazynie od pokoleń. Oby tylko nie potwierdziła się inna prawda babci Edny, że mężczyźni potrafią furkotać jęzorem głośniej i bardziej bez sensu niż flaga na maszcie podczas wichury.

Jej narzeczony odwrócił się w taki sposób, jakby był właścicielem tego magazynu, i lodowatym, karcącym wzrokiem przeszył na wylot krawca, który ośmielił się go skarcić.

- Czy coś ci nie pasuje, czy może się śpieszysz i nie masz dla mnie czasu, Albercie? Jeśli tak, chętnie przeniosę się z moim smokingiem do innej firmy.

Zaróżowiona twarz mistrza igły bladła w zastraszającym tempie.

- Nn... nie, doktorze Sullivan. Nie chciałem pana ponaglać. Proszę się nie śpieszyć i zajrzeć do mnie, kiedy pan będzie gotów... to znaczy, kiedy pan skończy. Chciałem powiedzieć, że... - Rzucił zranione spojrzenie Lindsey. - Z radością dopasuję pański smoking w dogodnym dla pana czasie.

Cofając się, pan Broadmore uderzył o ścianę, poczerwieniał, a następnie odwrócił się i zniknął.

Adam zachichotał niczym usatysfakcjonowany samiec, który nie naraził na szwank swojej reputacji, a nawet ją umocnił.

Lustro 69

Ale Lindsey wiedziała, że, pomimo zaciętej i trwającej pokolenia walki sufrażystek i feministek, co zaowocowało emancypacją nadobnej płci, właśnie wpasowała się w obraz kobiety bez żadnych skrupułów lecącej na majątek.

Dział „After Five”, dom towarowy Dillard's 11:10, 15 dni do ślubu

Judith DeMitre, obładowana strojami, które wybrała sobie babka panny młodej, skrzywiła się na widok zamkniętych drzwi do przymierzalni. Czy nie prosiła, żeby matka zostawiła szparkę?

- Mamo, otwórz, to ja.

- Co za „ja”?

Zgrzytając zębami, Judith policzyła do pięciu. Przyrzekła sobie, że nie da się wyprowadzić z równowagi.

- Mogłabyś otworzyć? Mam zajęte ręce. Przekręcenie gałki drzwi poprzedziło stękanie, kiedy Edna podnosiła się z fotela, a następnie gderanie:

- No wiesz, Judy, dlaczego nie powiedziałaś, że to ty? - Seniorka rodu otworzyła drzwi, cofnęła się i ponownie usadowiła na foteliku, o który oparła laseczkę. - W tak dużym mieście nadmiar przezorności nie zawadzi. Pamiętasz, co było z moimi oszczędnościami. Akurat dasz mi o tym zapomnieć!

Dwadzieścia dwa lata temu, podczas jednej z nielicznych wizyt matki w Houston, Edna, w drodze do banku, gdzie chciała zdeponować pieniądze, zatrzymała się w sklepie spożywczym. Kiedy wkładała do bagażnika swojego oldsmobile'a składniki na ulubione owsiane ciasteczka Lindsey, podszedł do niej mężczyzna z nożem i zażądał oddania torebki. Pięćdziesięciosześcioletnia podówczas Edna dała mu, i to jak - waląc go rzezoną torebką prosto między oczy z nadzwyczajną wprost siłą. Cios zadany piętnastoma zwitkami banknotów o różnym nominale odniósł pożądany skutek.

Judith skończyła wieszać przytaszczone ubrania i zamknęła drzwi.

- Długo zamierzasz wytaczać to działo przeciw całemu miastu, mamó? Houston jest absolutnie bezpieczne, o ile się ma trochę zdrowego rozsądku, żeby nie prowokować losu.

- Czy my przypadkiem nie oglądamy dwóch różnych wiadomości wieczornych?

Judith jak zawsze dała się złapać na haczyk.

- To pomyśl o tutejszych sklepach, restauracjach i rozrywkach, których nie ma na wsi. Pomyśl o kulturze.

- Kultura kulturą, powiedz lepiej, czy posłałaś do zbadania próbkę ziemi z warzywnika?

Zwlekasz z tym od tygodnia - zniecierpliwiła się Edna. - Już i tak jestem spóźniona z sadzeniem pomidorów.

Lustro 71

Od czterech lat Judith bezskutecznie przekonywała matkę, że powinna dać sobie spokój z uprawą warzyw na tyłach domu.

- Mamo, ile razy mam powtarzać, jak bardzo mi zależy na tym, żebyś odpoczywała i relaksowała się w domu, kiedy ja jestem w pracy. Żebyś poczytała jedną z tych książek, które specjalnie dla ciebie przynoszę. Pooglądała telewizję. Nie powinnaś przeciążać kręgosłupa, a do tego pracować w najgorszym upale. Już swoje w życiu zrobiłaś. Przecież w sąsiedztwie jest tyle sklepów.

- Powiedz to komuś, kto nie został napadnięty.

Judith musiała znowu policzyć w myślach do pięciu, zanim przejrzała wieszaki i wyciągnęła jeden z nich.

- Co powiesz na to, mamo? - zapytała, prezentując jasnoróżową jedwabną suknię. - Jak według ciebie ten kolor będzie wyglądał przy moim żółtym kostiumiku podczas ceremonii powitania gości?

- Jak splukany przez deszcz pomidor przy zwiędłej sałacie, innymi słowy jak te warzywa, które sprzedają w sklepach spożywczych. - Edna spojrzała na córkę wyzywającym wzrokiem i fuknęła pod nosem. - Cóż, skoro nie chcesz, żebym włożyła własną odświętną suknię, ostatecznie mogę zmierzyć tę.

- I kto tu mówi o splukanym kolorze. - Judith pośpieszyła z pomocą, gdy matka podnosiła się z fotelika. - Twoja suknia liczy już co najmniej piętnaście lat i nigdy nie miała stylu. Co by sobie pomyślała Ann Sullivan, gdybyś wyglądała na ślubie jak... no... jak jakiś burak.
- Cholera, Judy, że też mi to do głowy nie przyszło. No cóż, może za długo mieszkałam na farmie?

Unikając sekującego wzroku matki, Judith pomogła Ednie wyłuskać się z mocno spranej niebieskiej bawełnianej bluzy i z luźnych trykotowych spodni, ściągniętych w pasie gumką. Fakt, że Niezależna Edna w ogóle przyjęła pomoc, dał Judith do myślenia. Spojrzała uważniej na matkę i po raz pierwszy, ku własnemu zaskoczeniu, dostrzegła, jak bardzo pomarszczone, zniszczone i stare stało się jej niegdyś jędrne i silne ciało.

Naraz dotarło do niej coś, czego od lat nie dopuszczała do świadomości. Tak,, wszystko to marność nad marnościami, a utrata bliskiej istoty jest nieunikniona. Ona też nie będzie żyła wiecznie. Jak bolesna może być pustka po stracie bliskiej osoby, odczuła już po śmierci Joeya. Nie wątpiła w miłość Lindsey do siebie, jednakże wcześniej popełnione błędy odcisnęły piętno na tym uczuciu. Ujrzała w całej jaskrawości ogrom pustki, jaka zapanuje po śmierci matki.

Lustro 73

Kto ją będzie kochał tak bezwarunkowo i bez zastrzeżeń?

- Może już wystarczy rozczulać się nad sobą, co, Judy? - zapytała z ironią Edna.

Przyłapana na tym, że wytrzeszcza oczy, Judith odwróciła się i zaczęła gmerać przy zamku sukni.

- O co ci chodzi?

- Inni ludzie też się starzeją. Nie myśl sobie, że jesteś podlotkiem, nawet jeśli w środku masz osiemnaście lat. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj miałaś zaledwie trzydzieści. No i zobacz! Ani się spostrzegłaś, jak latka przeleciały, a ty nie jesteś na to przygotowana.

Judith z wybałuszonymi oczami popatrzyła na matkę, a ta obdarzyła ją wiecznie młodym uśmiechem, który rozgrzewał serce i dodawał otuchy.

- Pięćdziesiąt pięć lat to żaden wiek - usłyszała na pocieszenie. - Właśnie tyle miałam lat, kiedy rozłożyłam bandytę na obie łopatki. Mnie też nie kładź jeszcze do trumny, bo na razie za dobrze bawię się twoim kosztem, żeby odchodzić z tego świata.

Ucisk w klatce piersiowej Judith stawał się bolesny.

- Lepiej tego nie rób.

- Ani mi się śni. No to dawaj tę suknię i zakryj ten nieszczęsny worek kości. Nie chciałabym zasmucić Annie i jej snobistycznych znajomych, wyglądając jak strach na wróble.

Judith znowu połknęła haczyk.

- Ann, mamó. Ona nazywa się Ann... - Odwróciła się i na podniesione ramiona matki opuściła luźną szatę z różowego jedwabiu. - Lepiej, żebyś się inaczej do niej nie zwracała.

- Nawet nie Wasza Wysokość? - Stłumiony chichot zabrzmiał głośniejszy, kiedy głowa Edny z upiętymi w koronę siwymi warkoczami wynurzyła się z dekoltu.

Judith nie mogła pojąć, skąd u matki ta granicząca z gburowatością niechęć wobec pani Sullivan.

- Nawet nie mów do niej Ann, dopóki sama nie zaproponuje ci przejścia na „ty”. To samo dotyczy Toma i Daniela, czyli ojca i dziadka Adama. Są o wiele bardziej oficjalni niż ludzie na wsi.

- Wywyższają się jak klan Jonesów z Bostonu.

- Należą do wyższych sfer, to wszystko. Zrozumiesz to, kiedy ich poznasz na przedślubnej kolacji. Wyprostuj się. - Judith poprawiła dekolt, obciągnęła dół sukni, obróciła matkę i podciągnęła zamek na plecach. - No i jak ci się podoba?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Judith z przyjemnością spoglądała na odbicie matki w długim luźnym.

Poszerzana w ramionach suknia z połyskującego pastelowego jedwabiu zwężała się tuż poniżej kolan, maskując przesadną chudość. Straszne guziczki w mankietach długich rękawów przydawały elegancji. Nagle staroświecka fryzura matki wydała się królewska, a ostre i kościste rysy twarzy klasycznie szlachetne.

Edna napotkała wzrok córki.

- Ten Daniel... ile on ma lat? - zapytała z figlarnym błyskiem w oczach.

- Nawet o tym nie myśl, mamo - oburzyła się Judith. - Siedź spokojnie przy stole i rób to co ja. Prawdopodobnie nie będę miała drugiej okazji spożywania kolacji w tak wytwornym miejscu, jakim jest restauracja w hotelu „Capri”, więc tym bardziej nie chciałabym drzeć z obawy, że wypijesz coś, co nie jest wodą, albo użyjesz

niewłaściwego widelca. Albo oświadczysz się dziadkowi Adama. - Już na samą taką myśl przeszły ją ciarki.

- Hm! Postaram się nie wysmarkać nosa w serwetkę.

- Kiedy ja mówię zupełnie poważnie. Nie możemy się ośmieszyć, ze względu na Lindsey.

- Lindsey lubi mnie taką, jaka jestem. Podaj mi laskę.

Judith zachnęła się, gdy matka dosłownie wyrwała jej z rąk mahoniowy kijek.

- Jesteś zła?

- Nie, nie jestem zła, jestem wściekła. Jeżeli aż tak się mnie wstydzisz, to dlaczego nie zostawiłaś mnie na farmie, gdzie mogłabym hodować piękne czerwone pomidory i soczyście zieloną sałatę, i jeść każdym pieprzonym widelcem, który byłby pod ręką? George Henderson nieźle sobie radzi na swoich hektarach, ale bardzo chętnie skorzystałby i z moich rad. I nie myśl, że tak nie jest.

Znów to samo.

- Przykro mi, że cię nakłoniłam do opuszczenia farmy, mamó. Wierzę, że było ci tam dobrze, ale nie zapominaj, że ja też tam mieszkałam i wiem, jakie wypadki, a nawet nieszczęścia zdarzają się na wsi.

- Ze niby można zostać obrabowanym?

- Nie, nie to - jęknęła Judith. - Ale można złamać rękę, spadając z drabiny w stodole, albo

Lustro 77

prawie stracić oko, pomagając tatusiowi przy zakładaniu drutu kolczastego. - Kiedy Judith skończyła osiemnaście lat, niezwłocznie zrealizowała swoje marzenie i uciekła ze wsi do miasta.

- Namówiłam cię do oddania farmy w dzierżawę i sprowadziłam cię tutaj dla twojego dobra, mamó. Dalsze mieszkanie w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze mogło już być niebezpieczne dla ciebie.

- Świetnie sobie radziłam, zanim odwiedziłaś ziemię Spencerów, naszą ziemię, po ośmiu latach nieobecności. A Bóg"b niej nie zapomniał, Judy.

- To ty zapomniałaś, mówiło oskarżycielskie spojrzenie Edny. - Gdyby nie On - a także przyjeżdżająca do mnie regularnie Lindsey, niech jej to będzie wynagrodzone - nie wiem, co by się ze mną stało po śmierci Gartha.

Dotknięta do żywego Judith, z nagle obudzonym poczuciem winy, odwróciła się błyskawicznie i zaczęła obmacywać bluzkę wiszącą na wieszaku.

- Naturalnie, przecież ja nie mam żadnych zasług poza tym, że namówiłam cię do przeprowadzki. Wszystko inne zawdzięczasz Lindsey, bo ona jest ta święta. Nigdy nie narzeka i zawsze się uśmiecha. To ona pielęgnowała swojego ojca dniami i nocami, to ona odwiedzała cię na farmie. - Judith wygładziła materiał bluzki, którą machinalnie zmięła w dłoni. - To ona

podtrzymywała na duchu i nie odstępowała Pe-te'a po atakach serca. A teraz owinęła sobie wokół palca najatrakcyjniejszego kawalera w Houston. Oczywiście! Jest zupełnie inna niż ja. No bo kim ja jestem? Zrządzającym babsztylem, a może...

- Judith Lynn!

Wypowiedziane ostrym tonem pełne imię córki ucięło w jednej chwili jej zrzędzenie.

Jeszcze kiedy mieszkała na farmie, na hasło „Judith Lynn” stawała na baczność.

Oparta ciężko na lasce Edna Spencer wyglądała na swoich siedemdziesiąt osiem lat.

- Mam nadzieję, że to, co usłyszałam w twoim głosie, nie było zazdrością, bo to by mnie bardzo zabolalo.

- Mamo... - Judith zrobiło się gorąco ze wstydu. Chryste Panie, jest znacznie gorsza niż zrzędzący wiecznie babsztyl...

- Znasz smak mojej specjalnej krzyżówki pomidorów, prawda? I nie powiesz, że nie są znacznie lepsze od tych kupowanych w sklepie, prawda?

- Taak, ale... - Co jest, na Boga! Znów te pomidory?

- Są cholernie kapryśne, zawsze czegoś potrzebują, a to więcej wody albo słońca, a to więcej wapna w glebie czy też chłodniejszych wieczorów. A kiedy dostaną już wszystko, co trzeba, to zaraz albo jest im czegoś za dużo, albo za gorąco, albo jeszcze coś, czego nigdy nie przewidzisz.

Lustro 79

- Wzrok matki zdawał się pytać: „Nadażasz za mną?”.

Nadażała, a to bolało.

Edna postąpiła krok naprzód i sękatym kłykciem lekko stuknęła Judith w brodę.

- Nie mówię, córko, że nie trzeba się namęczyć, żeby mieć rezultaty. Chodzi o to, że nasza Lindsey jest niczym hibiskus. Ukorzenia się i rośnie w każdej glebie i w najgorszych warunkach, ale gdy ją trochę dopieścisz...

- Tak jak będzie ją dopieszczał Adam? - zapytała Judith, czując, ku własnemu zdziwieniu, zabłąkaną łzę na policzku.

Kiedy po chwili oczy matki pojaśniały, Judith znów poczuła opromieniający ją blask bezwarunkowej miłości.

- Tylko pomyśl, Judy, jak ona rozkwitnie.

- Och, mamó, ja jej nie zazdroszczę cudownego, nowego życia. Jest moim ukochanym dzieckiem i sama nie wiem, co mnie nachodzi, że czasami robię się taka podła i złośliwa.

- Ja też nie wiem... dziecinko. - Matka i córka wymieniły krótki, ale czuły uśmiech. - Wiem natomiast na pewno, że zawiść i noszenie w sobie urazy mogą zatruć życie. Jak powiedziałam, jesteś jeszcze młoda. Przed tobą wiele dobrych lat życia, zwłaszcza jeśli zechcesz i potrafisz dostrzec jego dobre strony.

Lindsey stała przed trzyskrzydłowym tremo i oglądała się ze wszystkich stron, starając się spojrzeć na siebie oczami przyszłych teściów.

Czy również dostrzegą ponadczasowe piękno sukni? A może pomyślą: „Afiszuje się swoim ciałem. Nie ma w niej krztyny umiaru”.

Jak można było przewidzieć, pan Broadmore, krawiec Adama, nie grzeszył dyskrecją, i wiadomość o jej wyuzdanym zachowaniu dotarła do Ann Sullivan, która zadzwoniła do Lindsey i w bardzo ułudzony sposób napomknęła o krążących plotkach, dając Lindsey szansę na wyparcie się wszystkiego. W sumie przyszła teściowa postąpiła uczciwie i Lindsey musiała przyznać jej za to punkty dodatnie. Niestety - również z powodu uczciwości - musiała potwierdzić te opowieści. Był to zdecydowanie najbardziej żalony i upokarzający moment w jej życiu, w którym przecież zdarzały się różne wpadki.

Trinh, robiąca ostatnie poprawki, podniosła oczy i napotkała w lustrze wzrok Lindsey.

- Nie podobać się? - spytała ze smutkiem. Lindsey obróciła się błyskawicznie, zamknęła dłonie Trinh w swoich i uścisnęła je.

- Jestem zachwycona, Trinh! I wszyscy będą

Lustro 81

zachwyceni. Genialnie ją przerobiłaś. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Trinh sprawiła, że suknia ślubna osiemnastoletniej panny młodej zamieniła się w strój jak najbardziej odpowiedni dla dojrzałej kobiety. A jeśli Sullivanowie nie poznają się na sukni i nie docenią dojrzałej urody oblubienicy, to niech się wypchają! - zdenerwowała się Lindsey. Podniosła rękę i zakręciła się przed lustrem parę razy, patrząc, jak spod wirującej sukni, której szelest i mieniący się odcieniami bieli piękny materiał wprawiły ją w zachwyt, wyłaniają się w ruchu śliczne atłasowe szpileczki w kolorze kości słoniowej.

- Ty być bardzo szczęśliwa, prawda? - zapytała Trinh.

Lindsey stanęła w miejscu.

Czy jest szczęśliwa? To zbyt skomplikowane pytanie. Czuła się trochę jak dziecko, któremu kupiono wymarzoną zabawkę, a która nieoczekiwanie skaleczyła ją w palec.

- Suknia jest piękna - odpowiedziała wymijająco. - Czy mogę ją zabrać do domu? A może trzeba jeszcze coś przy niej zrobić?

- Ty szczęśliwa, ja szczęśliwa. Weź do domu i zrób piękne foto.

Ach, prawda. Jeszcze portret ślubny. Kolejne marnotrawstwo czasu i pieniędzy, tylko po to, żeby stało się zadość tradycji Sullivanów.

- Zrobię - zapewniła bez przekonania. Czarne oczy Trinh wypogodziły się.

- Nie martwi się. Wygląda jak księżniczka.

Lindsey uśmiechnęła się do swojej dobrej wróżki, a następnie przeszła za parawan, żeby się przebrać. Jak tu się nie martwić? Tyle myśli zaprzęta jej głowę i nie daje spokoju nawet w nocy. Na przykład to, że obiecała Adamowi przeprowadzić się do jego okazałego domu przy placu West University przed rozpoczęciem roku szkolnego Megan, a nawet nie zdążyła jeszcze powiadomić córki o tak ważnej decyzji!

No cóż, miała inne niecierpiące zwłoki sprawy na głowie. Na przykład dzisiaj spotkała się z florys-tą, który zażądał zapłaty z góry, jutro ma się widzieć z cateringowcem, który upiera się, żeby zamiast niskotłuszczowych dipów, za którymi optowała, podać „pyszny pasztet z wątróbek”. A jakby jeszcze tego było mało, obiecała matce, że przeczyta i przerobi z babcią Edną rozdział z książki zatytułowany „Przedślubna kolacja”!

- Trinh? - zawołała. - Czy mogłabym prosić... - Za parawan wsunęła się tacka ze szklanką wody i czterema aspirynami. - Dziękuję, Trinh, naprawdę ratujesz mi życie - uśmiechnęła się Lindsey, obiecując sobie, że nie weźmie wszystkich pigułek. Tylko w ten sposób, nie nadszarpując zbytnio zdrowia, może dotrwa do ślubu.

Lustro 83

Garderoba Lindsey 17:05, 4 dni do ślubu

Siedząc w niedużym pomieszczeniu, wygospodarowanym między sypialnią i łazienką, a służącym za garderobę, Lindsey zapięła szeroką klamrą włosy i odjęła ręce. Czy ten kok wreszcie będzie się trzymał? Cholerstwo już trzy razy się przekrzywiało albo rozsypywało. Wszystko szło dobrze do momentu, dopóki wstrzymywała oddech. Potem jednak najpierw wysmyknął się jeden loczek, następny i... fryzurę diabli wzięli.

- Nieee - jęknęła, spoglądając na swoje odbicie w lustrze toaletki.

Przed domem fotograf przygotowywał się już do sesji. Powinna znaleźć się na dworze, ubrana w suknię ślubną, a nie w szlafrok, kiedy na treliaż, tę piękną, ażurową kratę oplecioną kwiatami, będzie padało najlepsze światło. Nieważne, jak się będzie czuła i wyglądała, i że w tej chwili najchętniej schowałaby się w tych różach, nie zaś pozowała na ich tle.

- Nie pomóż ci w czymś, dziecinko? - zapytała Judith, wsuwając głowę przez drzwi.

- Na gwałt potrzebuję André. Mam straszne włosy. - Gdy Judith wtargnęła do pokoiku i okiem fachowca zaczęła badać faktyczny stan rzeczy, dodała z rozpaczą: - Powiedziałam ci, że są straszne.

- Zaraz, zaraz, nie wyglądają aż tak tragicznie. Wystarczy je tylko trochę uczesać.
- Mamo, od dwadziestu minut nie robię nic innego, tylko je czeszę, lakieruję, zapinam i rozpinam. Każdy miewa taki dzień, kiedy nawet włosy odmawiają posłuszeństwa, i nie ma na to rady.
- Przydałoby się więcej różu.
- Jeśli go jeszcze trochę dodam, będę wyglądała, jakbym miała gorączkę.
- Nie sądzę, ale skoro tak uważasz, to...

Lindsey chwyciła pędzel do makijażu i zakręciła nim w pudełeczku z różowym pudrem, który nałożyła na oba policzki. Proszę bardzo. Wyglądam jak kłown Bozo z czterdziestoma stopniami gorączki. Za to matka na pewno jest uradowana, zżymała się w duchu Lindsey.

- Hm... A jaki kolor szminki zamierzasz nałożyć?

Lindsey aż skurczyła się w sobie.

- Już nałożyłam. " Ojej.

Teraz dopiero się zaczniesz.

- A tak ci ładnie w tej szmince, którą dostałaś ode mnie na urodziny. Masz przy niej takie białe zęby.

Lindsey otworzyła szufladkę komody i zaczęła grzebać wśród porozrzucanych kosmetyków. Gdzie jest to paskudztwo? O, jest, w kosmetycz-

Lustro 85

ce z próbkami, których nigdy nie użyła. Otworzyła pomadkę, pochyliła się do przodu i pociągnęła usta krwistoczerwoną pomadką copa cabana.

Rewelacja. Po prostu hołd złożony Stephenowi Kingowi, mistrzowi horroru, autorowi słynnej książki „To”. Jego kłown w ryszotku to przy niej pryszcz. Nawet matka to przyzna, stwierdziła Lindsey i obnażyła zęby w głupkowskim uśmiechu.

- A nie mówiłam, że będą bielsze? - rozanieli-ła się Judith. - Mogłabyś jeszcze raz pociągnąć rzęsy mascarą.

Niewiarygodne.

- I trochę przypudrować nos, żeby się nie świecił.

- Maamoo! Judith zamrugła.

- No co? Chcę tylko, żebyś wyglądała jak najlepiej. Powinnaś czuć się zaszczycona, że twój portret zawiśnie obok podobizn innych panien młodych Sullivan, gromadzonych w galerii od pokoleń. Twoje prapraprawnuki spojrzą któregoś dnia na ten portret i zapamiętają cię taką, jaka jesteś.

- Akurat. - Lindsey ukryła twarz w dłoniach. - Oto widzisz pierwszą panną młodą Sullivan, która będzie postrachem dzieciaków - wymamrotała. - Będą miały koszmary nocne, w których ja, dysząc ciężko, pochylałam nad ich łóżeczkami

albo zniecka wyskakuję z szafy, a może wyzieram z każdego ścieku, który będą mijaly na rowerach.

- Och, naprawdę, nie bądź śmieszna! - Judith wyjęła klamrę, która zsunęła się córce na ucho, i wygładziła niesforne loki szczotką.

Lindsey nachyliła głowę i zamknęła oczy. Tak, jestem śmieszna i nic na to nie poradzę, skonstatowała i omal nie wpadła w panikę. Miała gonitwę myśli i dopiero po chwili rytmiczne i pewne ruchy matki przy jej fryzurze trochę ją uspokoiły.

Z odrętwienia wyrwało ją pukanie do drzwi.

- Przepraszam, panno Howard, dzwoniłem dwa razy, ale nikt nie odpowiadał.

Pan Thompson, fotograf biorący sto docłów za godzinę, którego poleciła matka Adama, stał w drzwiach sypialni. Sądząc po wyrazie jego pociągłej twarzy, targaly nim dwa sprzeczne uczucia - zakłopotanie i gniew.

- Za jakieś pięć minut chcę zacząć naszą sesję. Najdogodniejsza chwila na zrobienie dobrych zdjęć potrwa nie dłużej niż piętnaście minut. Czy mogę prosić, żeby zechciała pani włożyć suknię ślubną i wyjść przed dom?

Suknia ślubna? Lindsey ze zdumieniem spojrzała na biały frotowy szlafrok, który miała na sobie, i obróciła powoli głowę, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu w lustrze.

Lustro 87

- Córka zaraz będzie gotowa, panie Thompson - zapewniła Judith w imieniu Lindsey, która sprawiała wrażenie nieobecnej.

- Dobrze - padła powątpiewająca odpowiedź.

- Czekam na dworze.

- Dziękujemy panu.

- Piętnaście minut to bardzo niewiele - dodał na odchodnym.

- Będziemy się śpieszyć - zawołała za nim Judith. - Primadonna - mruknęła pod nosem i dała Lindsey lekkiego kuksańca w ramię, sygnalizując, że trzeba Wstać i zacząć się ubierać, po czym skierowała kroki do szafy.

Gdzieś daleko stąd rozsunęły się drzwi, a Lindsey siedziała nieruchomo i niewidzącymi oczami wpatrywała się w swoje odbicie. Jakby wszystko działo się poza nią. Nagle...

- Adam? - wykrztusiła Judith. - Nie spodziewaliśmy się ciebie. Jak to miło, że przyszedłeś

- dodała z wymuszoną radością w głosie.

- Skończyłem wcześniej zebranie naukowe. Pukałem, ale nikt nie odpowiadał. Lindsey, jak się masz?

Nie mogę myśleć. Nie mogę oddychać. Nie mogę... nie mogę...

- Ma trochę spowolnione ruchy, Adamie. Czy mógłbyś zejść do pana Thompsona i poprosić go, żeby dał nam jeszcze pięć minut?

- Lindsey - powtórzył. - Dobrze się czujesz?

Jak to możliwe, zastanowiła się, że Adam w piętnaście sekund dostrzegł to, czego nie dostrzegła jej matka, a także Megan, która wpadła tu wcześniej i nie zwracając na nic uwagi, zrobiła awanturę o to, że nikt nie konsultuje, z nią najważniejszych dla niej spraw. Chodziło oczywiście ó przeprowadzkę do domu Adama, której Megan kategorycznie odmówiła, grożąc, że przeniesie się do koleżanki. Znużona Lindsey prawie tego nie skomentowała, zostawiając to matce, która z pełnym przekonaniem, choć bezskutecznie, tłumaczyła Megan, jak wiele skorzysta, uczęszczając do ekskluzywnej szkoły w wytwornej dzielnicy przy West University. Teraz troska Adama tylko pogorszyła sytuację. Wszystkie obawy i całe napięcie z ostatnich tygodni, a także nieoczekiwany bunt Megan skumulowały się i szukały ujścia. Lindsey odwróciła się i spojrzała narzeczonemu w oczy.

- Nie mogę tego zrobić - wyszeptała z nadludzkim wysiłkiem.

- Ależ możesz - zapewniła matka. - Nawet się nie obejrzysz, jak pozapinam ci te wszystkie guziczki i...

- Ty mnie nie słuchasz, mamo! Ja nie mogę tego zrobić! - wrzasnęła Lindsey, tracąc panowanie, czym wprowadziła w osłupienie najbliższe jej osoby.

- Już dobrze, skarbie. Porozmawiam z foto-

Lustro 89

grafem - zmitygowała się Judith - żeby przełożył sesję na jutro.

- Nie, mam. Nie będzie żadnego portretu ślubnego, ponieważ nie będzie panny młodej. Na coś wreszcie przydały się te wszystkie pokupowane przez ciebie książki o ślubnym ceremoniale. Trzeba będzie przeprosić i odwołać gości, zwrócić prezenty. Bo przecież nie chciałybyś, żebyśmy się skompromitowały nieznajomością protokołu? - Och, nie sądziła, że, raniąc matkę, zada sobie tyle bólu, ale zamiast przeprosić, zaatakowała kolejną ofiarę, która właśnie się nawinęła. - Nie martw się, Megan. Nie będziesz zmieniać szkoły, bo zostajemy tutaj.

Zamiast triumfować, dziewczynka spoglądała na nią z przerażeniem.

- Mam, ja nie chciałam... To znaczy, nie zamierzałam...

- Powstrzymać tę niedorzeczną uroczyść? Daj spokój, mnie nie oszukasz. Odkąd ci powiedziałam o zaręczynach, nic, tylko narzekasz i starasz się być niegrzeczna.

- Ale ja nie sądziłam, że odwołasz ślub. Ja tylko... no wiesz...

- Co, chcesz powiedzieć, że narzekasz i jesteś niegrzeczna, ot, tak sobie, bez powodu?

Wargi Megan zaczęły drżeć.

- Tak, właśnie tak, mam...

- A czy choć raz pomyślałaś, co ja czuję? Otóż,

wyobraź sobie, że ja to też przeżywam. Och, proszę, tylko nie płacz! Dobry Boże, a ja myślałam, że będziesz szczęśliwa. Cholera, tak trudno cię zadowolić.

- Przepraszam, mamó - wydukała Megan przez łzy.

Udręczona Lindsey nie mogła się opanować. Nieznośny ból domagał się ujścia.

- Okej, wszystko w porządku. Masz rację. Nie powinniśmy się byli zaręczać z Adamem.

Dziękuję ci, Megan. Uchroniłaś mnie przed popełnieniem największego błędu. Małżeństwa między kłownami i arystokratami są skazane na niepowodzenie.

Megan ze zboląłą miną spojrzała na Judith, szukając w niej ratunku, po czym rzuciła się do drzwi. Prośba dziecka o dodanie otuchy i pocieszenie nie znalazła zrozumienia wśród dorosłych, pozostała bez odpowiedzi...

Adam zareagował natychmiast. W jednej chwili podbiegł do Megan i zdecydowanym, pełnym czułości ruchem objął ją i przyciągnął do siebie. To był ich pierwszy uścisk od miesięcy. Stali przez chwilę z zamkniętymi oczami i wykrzywionymi ze wzruszenia twarzami.

Patrząc na nich, Lindsey poczuła pierwsze spływające po policzkach gorące łzy, których część zatrzymała się w kącikach drżących warg.

Adam pocałował Megan w czubek głowy,

Lustro 91

cofnął się i zdjął z jej wilgotnych policzków kilka kosmyków blond włosów.

- Twoja mama jest wyczerpana. Ostatnio żyje w wiecznym stresie. Ale przecież wiesz, że nie chciała nikogo zranić.

Megan pokiwała głową i rozplakała się na całego. Tak samo jak Lindsey.

- I musisz wiedzieć, dzieciaku, że nie zamierzam mieszkać sam z twoją matką. Musisz mnie przed nią chronić - zażartował, ale zaraz spoważniał. - Nie zastąpię ci ojca, Megan. -

Kciukami otarł jej łzy. - Nie będę próbował. Ale bardzo was kocham, was i waszą mamę.

Chciałbym, żebyśmy stworzyli rodzinę, jakiej nigdy nie miałem.

Pociągając głośno nosem, Megan pokiwała głową i rozbeczała się na nowo.

- Okej, przemyśl to sobie. - Ręką wyrzuconej na wierzch koszuli ocierał zapłakaną buzię dziewczynki. - A teraz zasuwaj. Jeszcze sobie pogadamy.

Lindsey prawie nie zauważyła zniknięcia córki. Nie spodobało jej się, że mówi się o niej tak, jakby jej nie było w pokoju, ale to, co Adam powiedział... Och, czy to możliwe, żeby była aż tak głucha i ślepa przez cały czas? Zastanawiała się nad tym i przepowiadała w myślach wszystkie słowa, które właśnie dotarły do niej, początkowo jakby z innej rzeczywistości, a chodziło o polecenia wydawane matce przez Adama:

- Powiedz, proszę, fotografowi, że jutro do niego zadzwonię i ustalę z nim nowy termin. Oczywiście wynagrodzę mu jego fatygę. A czy potem mogłabyś zabrać Megan na hamburgera?

Wyciągnęła z pudełka trzy chusteczki higieniczne, dwie z nich podała córce, a trzecią osuszyła własne oczy. Kiedy skończyła, posłała przyszłemu zięciowi pełen uwielbienia uśmiech i wyszła, zostawiając ich samych.

- A teraz, Lindsey, powiedz, o co chodziło z tymi skazanymi na niepowodzenie małżeństwami kłownów z arystokratami?

Wytarła nos, wyrzuciła chusteczki do kosza i na chwiejnych nogach podniosła się z miejsca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Widząc, jak Lindsey prostuje ramiona, pomyślał, że jego ukochana podjęła decyzję, i że nigdy nie zostanie jego żoną.

- Chodzi o oczekiwania, Adamie, i o partnerów, którzy nie mogą im sprostać.

A więc tak, podjęła decyzję. Nikt nie zastąpi jej Pete'a. Uczucie porażki, jakiej nigdy nie doznał, przyćmiło radość z pogodzenia się z Megan.

- Rozumiem - odpowiedział.

- To dobrze, bo wiem, że rozczarowanie może mieć destrukcyjny wpływ na małżeństwo.

Lepiej więc uporajmy się z drobnymi kłopotami teraz, zamiast do końca życia żałować...

- Złego wyboru?

Jej jaskrawoczerwone wargi zadrżały, potem się ściągnęły.

- Widzę, że naprawdę zrozumiałeś. Przepraszam, że do tego doszło. Zrobię wszystko, żeby

nie storpedować twoich zakusów na stanowisko ordynatora chirurgii. Co takiego...?

- Nadal możemy od czasu do czasu jadać razem w kafeterii, nadal też możemy... no... chodzi o to, żebyśmy przekonali wszystkich o tym, że rozstaliśmy się pokojowo...

- Stop, stop, cofnij się. Co zrobisz?

- Zrobię wszystko, żeby kierownictwo szpitala nie miało wątpliwości, że między śmiercią Pete'a a naszym zerwaniem nie ma absolutnie żadnego związku. Mam tylko nadzieję, że nadal będziesz spotykał się z Megan. Widziałam jej twarz, kiedy...

Gdyby wzrok zabijał, pewnie by już nie żył. Tymczasem jedna niekontrolowana chwila kontaktu wzrokowego pozwoliła mu zobaczyć, jak bardzo zraniona i jednocześnie zagniewana jest Lindsey. Niewiarygodne.

A może to dobry znak?

- Gwiżdżę na to, co sobie pomyśli kierownictwo szpitala, Lindsey. Gdyby uważali, że śmierć Pete'a nastąpiła z mojej winy, już dawno by mnie wykopali. A wszystko, co powiedziałem Megan, jest najszczerzą prawdą. - Kiedy łypnęła oczami, zatrzymała na nim wzrok, potwierdził z mocą: - Każde jedno słowo, Lindsey.

- To dlaczego... tak szybko zgodziłeś się na

Lustro 95

odwołanie ślubu... pomyślałam... sama nie wiem, co pomyślałam. Ani co mam myśleć teraz.

- Aha, nie wiesz. - Wstąpiła w niego otucha.

- Adamie, kochasz mnie czy... Zaczekaj! - Jej podniesiona ręka sprawiła, że zatrzymał się metr od niej. - Nie podchodź bliżej. Nie potrafię myśleć jasno, kiedy mnie dotykasz.

Coraz lepiej.

Szarpnęła klapy szlafroka i dociągnęła je do siebie.

- Nie pozwolę ci się dotknąć, dopóki nie porozmawiamy. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że ilekroć poruszałam kwestię naszego wspólnego życia po ślubie, zawsze kończyło się na całowaniu?

- Naprawdę?

- Nie udawaj niewiniątka. Musimy porozmawiać o tym, co nas różni, a także uczciwie powiedzieć sobie, czego od siebie oczekujemy. Wspaniały seks to nie wszystko... Nie podchodź!

Cholera, a już był prawie u celu!

Miała czerwony nos, rozmazany makijaż i loki w nieładzie. Wyglądała zachwycająco. Do zacałowania. Chryste, uwielbia jej zapach. Mógłby przysiąc, że jest goła pod szlafrokiem. Świerzbili go ręce, żeby dotknąć jej cudownie kobiecego ciała.

- Wcale mnie nie słuchasz, a dla mnie jest to bardzo ważna rozmowa! Nie chcę powtarzać

błędów moich rodziców. Całymi latami nie mogłam wybaczyć matce tego, że wstydziła się ojca, że nie kochała go tak, jak ja go kochałam, aż wreszcie zdałam sobie sprawę, że ona była równie nieszczęśliwa jak on. Słusznie czy nie, obwiniała go za to, że nie zapewnił jej takiego życia, jakiego pragnęła. Och, Adamie... - Oczy Lindsey błagały o zrozumienie.

Z zamarłym sercem czekał na najgorsze.

- Nie mogę znieść myśli, że cię rozczaruję, tak jak tatuś rozczarował moją matkę.

Niewiarygodne!

- Ty mnie... rozczarujesz? Pokiwała żałośnie głową.

Uśmiech, który powoli rozjaśniał mu twarz, przerodził się w euforyczny grymas od ucha do ucha.

Lindsey pobladła, odwróciła się gwałtownie i pobiegła do sypialni.

- Lindsey! Źle mnie zrozumiałaś! - Rzucił się za nią, dopadł trzema susami, zablokował i odwrócił do siebie.

Obłożyła go pięściami i odskoczyła w stronę toaletki.

- Otworzyłam przed tobą duszę - cisnęła w niego szczotką - zwierzyłam się - rzuciła trzema plastikowymi wałkami do włosów - a ty się uśmiechasz?! - Przymierzała się do pudełka z chusteczkami.

Lustro 97

Rzucił się do przodu, złapał ją za nadgarstek, drugą ręką przytrzymał ją w pasie.

- Pamiętasz ten dzień w Cool Clothes, kiedy powiedziałaś, że kochasz Megan i Pete'a ponad życie? Otóż wiem dokładnie, co miałaś na myśli, Lindsey, ponieważ takie samo uczucie żywię do ciebie.

Choć się wyrywała i odpychała go, dostrzegł w jej oczach zainteresowanie.

- A co miałam na myśli? - spytała po chwili. Uśmiechnął się lekko. Do diabła, należą jej się szczegółowe wyjaśnienia. Musiał być ślepy i głuchy, a także pewnie miał pietra, że unikał szczerzej rozmowy, choć go o to prosiła.

- Kiedy patrzyłem na ciebie, Lindsey Howard, moje serce szybowało aż do nieba.

Zapominałem

o wszystkich kolacjach z udziałem sponsorów

1 o kadrowej polityce szpitala. Nie pamiętałem ani o obawach, ani o nadziei malujących się na twarzach pacjentów, a także o własnych koszmarnych snach, w których zawodziłem ich i ich rodziny. - Przyglądał się jej dłuższą chwilę. - Patrzę na twoją twarz i jestem...

szczęśliwy. Naprawdę szczęśliwy - powtórzył zdumiony i pełen pokory wobec tak oczywistej prawdy. - Wystarczy, że jesteś blisko. Wystarczy, że po prostu jesteś. Nie ma na świecie kobiety, przy której tak bym się czuł. - Gdy poruszona, a nawet zachwycona Lindsey westchnęła przeciągle, dodał:

- Głupie, nie? Zrobiłaś z doktora Sullivana pocziwego durnia. Faceta, który przeżyje bez ciebie, ale który prawdziwie nie może żyć bez ciebie.

- Mówił coraz ciszej, aż jego głos przeszedł w szept i stał się pieszczotą. - Nie każ mi żyć bez siebie, Lindsey.

- I to wszystko dotyczy mojej osoby? - wy-dukała.

- Najdroższa, to zaledwie połowa tego, co miałbym ci do powiedzenia - wyznał wzruszony niemniej niż Lindsey. Przywarł do niej, a ona wypuściła z bezwładnych palców pudełko z chusteczkami.

Niesiona na fali pożądania uśmiechnęła się w same usta Adama. Kocha ją! Mówiły o tym jego oczy i czuły ton głosu. Kocha ją! Wykrzyknęła coś radośnie bez ładu i składu.

Kiedy uniósł nieco jej głowę, zobaczyła jego intensywne i ponaglące spojrzenie.

- Jest mi wszystko jedno, jaki ślub weźmiemy, byle byśmy go wzięli. Pal sześć, możemy odwołać uroczystość i wziąć ślub w ratuszu, jeśli tak wolisz. Wiem, że wciąż kochasz Pete'a, ale przysięgam, że uczynię cię szczęśliwą. Zabiorę cię do Włoch, bo zawsze chciałaś zobaczyć Rzym i Wenecję. Zatrudnimy najlepszego w mieście nauczyciela tańca dla Megan. Ma wielki talent, szkoda byłoby go zmarnować.

Rozmarzona i oszołomiona Lindsey przywarła

Lustro 99

do silnych ramion Adama. Czy naprawdę ten najbardziej godny zaufania mężczyzna szepcze jej do ucha czułe słówka, jakby to było potrzebne do zdobycia jej serca?

- Twojej babci przydałby się ogrodnik, ktoś do ciężkich prac, żeby mogła czerpać z ogródka tylko samą radość. Wiem, że jest uparta jak ty, jeśli chodzi o przyjmowanie pomocy, ale, do cholery, w końcu pieniądze służą do wydawania i do uszczęśliwiania ciebie...

Na widok jej rozchylonych warg przestał trąkotać. Tak wiele emocji kosztowała ją rozmowa z gadającym jak katarzynka Adamem, że teraz oboje z trudem łapali powietrze.

Uśmiechając się czule, przytknęła dłoń do jego brody.

- Zawsze będę kochała Pete'a. Co do tego masz rację. Ale jestem zakochana w tobie, Adamie. Od ponad roku. Całkowicie i bezgranicznie. Sercem i duszą.

Zabawne, że teraz on miał taką niepewną minę, jaką ona miała wcześniej.

- Potrzebujesz więcej czułych słówek czy wolisz, żebym zademonstrowała, co czuję? -

Zmrużyła zmysłowo oczy. - Może potrafię jedno i drugie...

- Wiesz, że jestem człowiekiem czynu - wyszeptał tuż przy jej uchu. - Zależy, co cię kręci.

- Wszystko, co ma związek z tobą - od-

100 *Jan Freed*

powiedziała z uśmiechem kobiety, która wie, czego chce, i nie wstydzi się tego okazać.

Kiedy wziął ją na ręce i położył na łóżku, sama rozwiązała pasek frotowego szlafroka.

- Och, Lindsey - jęknął na widok jej ciała. - Zawsze marzyłem o tym, żeby się kochać z tobą w pełnym świetle.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Park Narodowy Brazos Bend, garderoba dla pań 15:00, godzina do śtttu

- Co ma być, to będzie - oświadczyła Lindsey do własnego odbicia w lustrze i odsunęła ostrożnie dłonie od kapelusika, na którym trzymał się jej długi welon. No, trzyma się i nawet równo, ucieszyła się. Wysilek André, który robił, co mógł, żeby upiąć jej loki w koczek, nie poszedł na marne.

Podnosząc się, Lindsey odwróciła się od lustra ciągnącego się od ściany do ściany nad różowym marmurowym blatem.

- Tada - zapiała z zachwytem.

- Przejdź parę kroków - poradziła Megan. Lindsey posłuchała, po czym zwróciła się do córki:

- No i jak?

- Mam być szczerą?

- Wal!

- Wyglądasz trochę tak, jakbyś połknęła kij. Jakbyś miała na głowie koszyk z owocami. Poluzuj szyję.

Lindsey pokręciła głową na wszystkie strony. Jak dotąd, nie najgorzej. Prawie całkiem uspokojona, że welon pozostanie na swym miejscu, przemierzyła duże pomieszczenie, po czym ruchem modelki zawróciła w stronę córki.

- I jak? - zapytała.

- Wyglądasz pięknie, mamó. Naprawdę. Po prostu jak księżniczka. Adam ma fart, że cię zdobył.

- Ma podwójny fart, bo zdobył nas obie, Megan.

- Chwila się przedłużała. Boże, tylko nie wracajmy do tej przeprowadzki, modliła się Lindsey.

- Eee... masz rację. Rzeczywiście ma fart.

- W oczach Megan pojawiły się figlarne ogniki.

- Co wieczór pokerek. Kiedy przyjdzie czas na robienie prawa jazdy, będę miała masę zaoszczędzonej forsy, za którą kupię sobie samochód.

- Nie liczyłabym na to - roześmiała się Lindsey. - Zapomniałaś, kto komu kupił bluzę firmy Harley Davidson?

- Och, to była tylko zwykła chwila słabości. Poklepała córkę po ramieniu.

- Nie byłabym tego taka pewna. A skoro już jesteśmy przy księżniczce, to właśnie pomyślałam o Kopciuszku.

Lustro 103

- Och, mamó - jęknęła dziewczyna, choć wyglądała na zadowoloną.

- Moja córeczka wyrosła na piękną kobietkę.

- Wzruszona Lindsey przycisnęła dłoń do serca.

- Chyba się rozplaczę.

- Jesteś nieźle porąbana - uśmiechnęła się szeroko Megan.

To prawda. Adam właśnie taką mnie kocha! I dlatego jestem najszczęśliwszą panną młodą na świecie! - radowała się Lindsey w duchu, szczerząc coraz bardziej zęby w uśmiechu.

- Zaufaj matce, jesteś olśniewająca. Po co miałabym cię oszukiwać? Zresztą sama zobacz.

- Pociągnęła córkę za rękę i zakreśliła nią, a Megan kontynuowała ruch niczym figurynka na wieczku pozytywki. W rozkloszowanej, sięgającej do ziemi jasnoniebieskiej sukni z szarfą była tak śliczna, że aż dech zapierało. Z rozpuszczonymi blond włosami wyglądała poważnie jak na swoich trzynaście lat.

Właśnie Megan kończyła piruet, kiedy otworzyły się drzwi i szeleszcząc różowym jedwabiem, do garderoby wkroczyła babcia Edna. Ona również wyglądała zachwycająco.

Przeszła kilka kroczków, zatrzymała się i oparła dłonie na nieodłącznej laseczce.

Judith, która wsunęła się za matką, stanęła jak wryta.

- O rany! Mamó, popatrz no na nie! Czy

kiedykolwiek w życiu widziałaś coś równie pięknego? Prawdziwe księżniczki! - Z malutkiej torebki wyjęła chusteczkę. - Chyba się rozpłaczę.

W tym momencie Lindsey napotkała wzrok córki i obie wybuchnęły śmiechem.

- Wygląda na to, że zawczasu strzeliły sobie drinka - poważnym tonem skomentowała babcia Edna.

- O rany! Megan, popatrz no na nie - naśladowała matkę Lindsey. - Czy kiedykolwiek w życiu widziałeś coś równie pięknego?

Wczuwając się w rolę, Megan uśmiechnęła się łzawo, podniosła rąbek spódnicy i zaczęła osuszać nieistniejące łzy.

- Ach, wyglądają jak, jak...

- Jak splukany pomidor i zwiędła sałata - dopowiedziała babcia Edna. - Nie pytaj, dlaczego - rzuciła zbitej z tropu wnuczce.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, w których po chwili pojawił się pan Thompson.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale skończyłem właśnie sesję z panem młodym i mógłbym wykonać zdjęcie czterech pokoleń, o które pani prosiła.

- Cudownie! Proszę wejść. Bardzo proszę. Gdzie, pana zdaniem, będzie najlepiej? - gorączkowała się Lindsey.

Fotograf wniósł statyw, zamknął drzwi i rozejrzał się fachowo.

Lustro 105

- Myślę, że najlepszy będzie ten fotel z usza-kami. Czy jesteście panie gotowe uwiecznić się dla potomności? Proszę się przygotować, a ja ustawię sprzęt.

Jak na zawołanie wszystkie cztery ruszyły do lustra obiegającego garderobę i po chwili w ruch poszły grzebienie, szminki i różne kosmetyki, mające podkreślić i upiększyć wszystko, co i tak było nieskazitelne.

Zdawało się, że żartom i docinkom nie będzie końca.

- Moje panie, zapraszam. - Głos fotografa dochodził jakby z innego świata.

Wśród śmiechu i droczenia się panu Thompsonowi udało się w końcu posadzić i upozować rozbawioną grupę do wiekopomnego portretu czterech pokoleń. Na jasnofioletowym fotelu zasiadła babcia Edna, na jednym z oparców usadowiła się Lindsey, obok drugiego stanęła i przechyliła do kamery głowę Judith, natomiast Megan rozsiadła się na podłodze, oparłszy głowę na kolanie babci Edny.

- Przepięknie! - powiedział fotograf i cofnął się, żeby zajrzeć w wizjer aparatu. - Doskonale! Będziecie panie przechowywać ten portret jak skarb.

Na pewno, ale ja zachowam w pamięci widok nas czterech, kiedy odbijałyśmy się w lustrze, pomyślała Lindsey.

- A teraz, kiedy doliczę do trzech, proszę powiedzieć „cheeseburger”.

- Do licha! - burknęła babcia Edna na zakończenie dość długo trwającej sesji. - Od tego „cheesburgera” zachciało mi się jeść. Myślicie, że zdążymy coś przekąsić?

Judith spojrzała na zegarek.

- Wielkie nieba! Mamo, musimy już zejść na dół i zająć miejsca! Megan, za pięć minut masz stać obok wielebnego księdza Wheelesa! Lindsey, bierz bukiet!

- Mamo, zrelaksuj się. Weź głęboki oddech...

o tak. Dzięki tobie, twoim radom i staraniom wszystko jest pod kontrolą i w największym porządku.

- Och, dziękuję, córeczko, to, co mówisz, to prawdziwy balsam na moje serce.

Lindsey uśmiechnęła się i wyjęła z pudełka przepiękny bukiet skomponowany z magnolii, gipsówki i brzoskwiniowych róż.

- No to niech się dzieje wola nieba, tylko nie płaczcie, bo zniszczycie sobie makijaż.

Procesja czterech kobiet ruszyła korytarzem i zatrzymała się jakieś dziesięć metrów od reprezentacyjnych schodów.

- Tylko nam teraz nie zemdlej, dziewczyno - powiedziała babcia Edna, pokrzepiająco kładąc rękę na ramieniu wnuczki. - Masz na sobie coś starego?

Lustro 107

Lindsey pokiwała głową, wskazując palcem pamiątkową kameę na szyi.

- Coś nowego?

Dotknęła kolczyka z perłą i brylancikami, śliczny komplet, który dostała od Adama na wczorajszej przedślubnej kolacji wraz z długim toastem na swoją cześć.

- No, no, ty też nie zapominaj o makijażu. Mężczyźni nie lubią, kiedy ich narzeczona bierze swoje jarzmo z płaczem - upomniała wnuczkę Edna.

Lindsey w porę się" opanowała, zapobiegając nieszczęściu.

- Zuch dziewczyna. Masz coś pożyczonego? Och, prawda, suknię Judy. A coś niebieskiego?

Lindsey poklepała się po biodrze i puściła oko.

- Pasek z podwiązkami.

- To rozumiem! No to teraz zejdziesz ze schodów z dumnie poniesionym czołem i z uśmiechem na twarzy, zrozumiałaś?

- Tak jest, babciu. - Lindsey przycisnęła policzek do delikatnej jak pergamin skóry Edny. - Kocham cię - wyszeptała i w odpowiedzi usłyszała to samo.

Nagle zrobiło się tak późno, że panna młoda już w biegu uściskała matkę i córkę, po czym cała trójka ruszyła pędem w kierunku tylnych schodów. Jeszcze tylko Megan odwróciła się do matki, szczerząc zęby w szelmowskim uśmiechu.

- Połam nogi, mamó - zawołała i zniknęła z pola widzenia.

- Okropnie śmieszne - wymamrotała Lindsey, podchodząc na drżących nogach do reprezentacyjnych schodów. Przystanęła i położyła rękę na sercu, które biło jak oszalałe. Zamknęła oczy.

Dziękuję Ci, Panie, za błogosławieństwa, którymi mnie obdarzysz.

Muzyka ucichła, a trzysta osób wstrzymało oddech i podniosło głowy, czekając na pierwsze akordy uroczystego marsza weselnego, obwieszczającego zbliżanie się panny młodej.

Już czas.

Stała na szczycie schodów przykrytych czerwonym dywanem. Powitał ją okrzyk podziwu, ale ona widziała w tłumie tylko jedną twarz. Opaloną i nieprzyzwoicie przystojną, o płonących, zaborczych oczach, ale jakże dumnych z przyszłej żony. Takim go zapamięta do końca życia.

Z wysoko uniesioną głową postąpiła krok naprzód, potem drugi i trzeci... Może jednak się nie zbłąźni. A gdyby się nawet potknęła... wielkie mi rzeczy!

W razie czego Adam ją złapie...

Johnson Janice Kay

Matka wie lepiej

Rozalinda realizuje swoje marzenie - otwiera księgarnię. Jej matka boi się, że córkę spotka kolejny zawód. Poleca jej świetnego fachowca od remontów, licząc po cichu, że Craig pomoże Rozalindzie nie tylko na gruncie zawodowym...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zabawa trwała w najlepsze, kiedy Rozalinda przybyła na składkowy piknik Telekomunikacji Waszyngtońskiej, w skrócie zwanej WashTel. Na świeżo skoszonym trawniku, między placem zabaw a zadaszonym miejscem na grill, długie stoły przykryte białym papierem uginały się od jadła. Każdy przyniósł jakąś własną potrawę, więc stoły praktycznie ginęły pod mnóstwem podgrzewaczy, garnuszków i naczyń do zapiekania, a także półmisek z owocami i misek z chipsami. Kłown zabawiał gromadkę zafascynowanych dzieci, wokół nosły się śmiechy zbitych w grupkach dorosłych, a pod daszkiem uwijali się mężczyźni, których Rozalinda знаła z pracy, a którzy teraz w białych fartuchach odwracali na palenisku hamburgery. Stawiając swoją potrawę, dostrzegła z przykrością identyczne, kusząco wyeksponowane danie. Że też nie pomyślała wcześniej i nie zapytała matki, co zamierza przynieść!

- Nie przejmuj się - odezwała się Joan Dermott, znajoma z pracy, wyjmując naczynie z drżących rąk Rozalindy i stawiając je tuż obok dzieła jej matki. - Zapiekaną kurczak z brokułami twojej mamy jest najlepszy. Założę się, że twój jest równie dobry.

- Skorzystałam z jej przepisu - zawstydziała się bez powodu Rozalinda. - Moja zapiekanka jest identyczna.

- No i dobrze - uznała Joan. - Zamiast robić nieszczęśliwą minę, weźmy papierowe talerze i stańmy w kolejce, zanim wszystko wystygnie.

Rozalinda dała się odciągnąć. W końcu jak długo można się przejmować idiotycznym zbiegiem okoliczności Co z tego, że dwie identyczne zapiekanki stoją obok siebie^ Na pewno na stole znajdą się cztery sałatki kartoflane, dziesięć sałatek owocowych i pięć do sześciu glinianych garnków zapiekanej z boczkiem fasolki po bostońsku!

Ale każda potrawa ma indywidualny smak, podszeptował wewnętrzny głos. Każda będzie inna, delikatnie zróżnicowana. A jej nie. Jej będzie taka, jak matki. Będzie klonem.

Nałożyła trochę sałatki kartoflanej na papierowy talerz.

- Na litość boską - mruknęła do siebie. - Robisz z igły widły!

- Słuchami - zapytał stojący za nią w kolejce

Matka wie lepiej 113

Pete DeVries z działu obsługi klienta, którego dotąd nie zauważyła.

- Mówiłam do siebie - wyznała, siląc się na uśmiech. - Nie uważasz, że to wszystko wygląda wspaniale¹?

Jeśli z jego ust padła jakaś odpowiedź, to jej nie usłyszała, bowiem dotarła właśnie do miejsca, gdzie po przeciwnej stronie stołu stały owe nieszczęsne zapiekanki.

- Czy to przypadkiem nie jest słynny kurczak z brokułami Margei Przepyszny. Radzę ci spróbować - ryknął tubalny głośnie mężczyzna, którego znała tylko z widzenia, i nałożył pełną łyżkę jej zapiekanki na talerz stojącej obok niego kobiety.

- Hm, pachnie cudownie - przyznała jego towarzyszka i przesunęła się do przodu.

- Och, Margaret przyniosła swojego kurczaka z brokułami! - zawołał kobiecy głos.

Zgrzytając zębami, Rozalinda zamasyście nałożyła sobie drugą porcję fasolki po bostońsku, przygotowanej przez dwie kucharki. Konsystencja, a nawet kolor różniły się tylko nieznacznie. Chciała spróbować obu.

Nie minęło wiele czasu, jak z Joan wylądowały na końcu jednego z długich piknikowych stołów, na niedużej skarpie górującej nad Perry Creek, podczas gdy jej matka zasiadła naprzeciwko niej z talerzem małych porcyjek co najmniej sześciu różnych potraw, z których żadnej nie tknęła.

114 *Janice Kay Johnson*

Prawie tak samo jak Rozalinda, która popatrzyła z niesmakiem na pełny talerz Joan, na którym arbuz i truskawki taplały się w sałatce ziemniaczanej, a fasolka po bostońsku nurzała się w strogonowie. Matka wpoila swoim córkom pedanterię.

A więc jest jej kopia, papugą?

Nie bądź głupia, ochrzaniła siebie i uśmiechnęła się.

- Cześć, mamó. Jak postępują prace w twojej kuchni?

Cieszyła się, że w końcu matka postanowiła zrobić coś dla siebie.

Margaret Kirk pracowała długo i ciężko, żeby wychować i wykształcić swoje córki. Rozalinda wolałaby, żeby matka spełniła swoje prawdziwe marzenie i odbyła podróż do jakiegoś egzotycznego kraju, zamiast ładować oszczędności w unowocześnianie kuchni. Choć z drugiej strony ich bungalow, pochodzący jeszcze z lat dwudziestych ubiegłego wieku, nie był nigdy modernizowany, oczywiście poza regularnym odświeżaniem farbą, a kuchnia już dawno temu przestała spełniać oczekiwania Margaret Kirk.

- Nie mogę się doczekać, kiedy będę miała wbudowaną kuchnię mikrofalową... - Marge przerwała sobie w pół zdania. - Ty też zrobiłaś kurczaka z brokułami? - Uniosła eleganckie w rysunku brwi. - Tak myślałam. Domyśliłam się też,

Matka wie lepiej

115

że Penny przyniesie to pyszne meksykańskie danie z ryżem. Oczywiście również przepis mamy. Nic w tym dziwnego, że siostra Rozalindy, która także pracuje w WashTel, korzysta z rodzinnych przepisów.

- No to zbierzemy mnóstwo komplementów za tego kurczaka. - Pani Kirk z zadowoleniem pokiwała głową. - Jaka matka, taka córka.

Szczerłość uśmiechu Rozalindy można by porównać do przesadnej życzliwości osoby zajmującej się telemarketingiem. Nie jest taka jak matka! Taka jest Penny, ale nie ona! Ona jest osobą kreatywną, buntowniczką i marzycielką. Nawet nie wygląda jak matka i siostra. Obie są drobnymi blondynkami, gdy tymczasem ona, jak mówi Marge, odziedziczyła ciemne włosy i wzrost - sto siedemdziesiąt centymetrów - po ojcu.

Jednak ta zbieżność potraw nie dawała jej spokoju przez resztę dnia. Wcześniej opuściła piknik, bo jakoś nie miała melodii do ploteczek i gier, nie miała też ochoty na piwo, które zaczęło wyjmować z turystycznych lodówek. Również nic interesującego nie znalazła w programie telewizyjnym, a gdy w końcu wyszukała sobie jakąś książkę, nie mogła się skoncentrować. Dlaczego tak bardzo się przejmuję tą kretyńską zapiekanką? Bo zbliżają się moje trzydzieste urodziny, doszła w końcu do wniosku. Bo to miał być punkt

116 *Janice Kay Johnson*

zwrotny w moim życiu, a na razie nie osiągnęłam nic z tego, co sobie zaplanowałam.

Ale przecież nie przejmuję się tym aż tak bardzo, nie czuje się też taka stara. Broń Boże, nic z tych rzeczy!

Niemniej jednak, kiedy przystąpiła do rutynowych czynności przed udaniem się na spoczynek, nadal się zamartwiała.

Wycisnęła na szczoteczkę dokładnie dwa i pół centymetra pasty, po czym zaczęła czyścić górne prawe trzonowe zęby. Trzydzieści sekund - ani dłużej, ani krócej - i teraz dolne prawe trzonowce.

Podobieństwo do matki nie byłoby niczym strasznym, gdyby nie ta beznadziejna uległość Penny. Choć wydaje się to niewiarygodne, ale jej siostra pozwoliła matce wybrać sobie męża! Tak, zaiste, podobieństwo do matki nie byłoby niczym złym, ale do siostry? Nigdy w życiu!

Po kolejnych trzydziestu sekundach przeniosła się w górną lewą stronę jamy ustnej. Na wspomnienie pewnej kolacji aż przyspieszyła czyszczenie.

- Penny, skarbie - powiedziała wówczas matka - czy znasz Johna McKenziego? Pracuje w dziale sprzedaży. Słyszałam, że jest wolny, a ja czuję, że stanowilibyście idealną parę. John uśmiecha się cudownie, jest błyskotliwy i ambitny. Znasz kogoś, kto by mógł was poznać ze sobą'?

Penny tylko pokiwała potulnie głową, a już po

Matka wie lepiej

117

tygodniu zaczęła się spotykać z Johnem, zaś pół roku później ślubowali sobie wierność przed ołtarzem.

- Jesteś pewna, że go kochasz¹? - Rozalinda, ma się rozumieć, urządziła przesłuchanie siostrze. - A może wychodzisz za niego tylko dlatego, że mama uznała go za świetną partię?-

Wprawdzie Penny ją wyśmiała, ale podejrzenie zostało.

Skrzywiła się do własnego odbicia w lustrze, po czym spojrzała na zegarek. Och, nie! Szorowała teraz przednie "zęby, nie mając absolutnie pojęcia, czy porządnie wyczyściła resztę jamy ustnej. Zawsze patrzy na zegarek! Przeznacza trzydzieści sekund na każdy odcinek. Tego nauczyła je mama.

Jej dłoń znieruchomiała. Czy to możliwe, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat i dziewięciu miesięcy czuje się winna z powodu niedokładnego umycia zębów?

Och, to tylko taki nawyk, próbowała sobie wmówić, a jednak nie mogła się oprzeć, żeby nie popatrzeć za siebie do lustra i nie odnotować z satysfakcją, że ręczniki wiszą w idealnie równej odległości od siebie i że są złożone na trzy. Tak jak u mamy.

Również w jej bieliźniarce panował wzorowy porządek - jak u mamy. Przeniosła się myślami do kuchni. Mogłyby się wymienić z matką

118 *Janice Kay Johnson*

zawartością kredensu i żadna by tego nie zauważyła - te same zupy i miksy w torebkach ułożone alfabetycznie w takich samych białych ażurowych pojemniczkach.

Popatrzyła na siebie ze zgrozą. Czy to źle być osobą zorganizowaną i

Może i nie, tylko jak wytłumaczyć fakt, że od ośmiu lat, to znaczy od ukończenia college'u, pracuje w firmie telekomunikacyjnej, wykonując robotę, którą jej załatwiła matka? Dlaczego nie realizuje swoich marzeń?

Wypłukała szczoteczkę do zębów.

Matka pomogła jej nawet wybrać kanapę do salonu!

O Boże, pomyślała. Nie jestem buntowniczką. Nawet przestałam być twórcza. Jestem klonem! Zamieniłam się we własną matkę.

Jeśli czegoś nie zrobi w tej sprawie - i to już! - to ani się obejrzy, jak dobije do czterdziestki, wyjdzie za mąż za mężczyznę zaakceptowanego przez matkę, będzie się zamartwiać spłatą kredytu hipotecznego za dom, którego kupno matka uzna za świetną okazję, i będzie uczyła swoje dzieci, że bezpieczeństwo i przeczność są ważniejsze od marzeń.

Ale nie są, i przyszedł czas, by tego dowieść.

Z przyjemnością rozglądała się po pustym budynku. Uznała, że odsłonięte belki stropu na-

Matka wie lepiej 119

dają wnętrzu charakter, zachwyciła się galeryjką na półpiętrze od strony ściany frontowej. Idealne miejsce na regały do sufitu wzdłuż ściany i na ciąg niższych wzdłuż balustrady. Tutaj umieści powieści kryminalne i fantastykę naukową, bo zagorzałym czytelnikom nie będzie przeszkadzał fakt, że jeśli chcą do nich dotrzeć, muszą wspiąć się po schodach.

Obeszła wszystko ostatni raz, widząc oczyma duszy magiczny, uroczy kącik we wnęce wykuszowego okna, przytulne miejsce dla dzieci na zapleczu, rzędy gablot z książkami, wygodne fotele, plakaty, muzykę, klientów sięgających ochoczo po jej „towar”.

To prawda, że czynsz jest wyższy niż przewidywała, za to lokalizacja - między cukiernio-delikatesami i galerią sztuki - wprost fantastyczna. W pobliżu znajdowały się jeszcze dwa sklepy ze starociami, a doskonale rozplanowane miejsca do parkowania mogły pomieścić wiele samochodów naraz.

Bardzo dokładnie i wnikliwie zapoznała się z tematem. Jeszcze będąc w college'u, pracowała w księgarni, żeby poduczyć się fachu. Od sześciu lat jest na bieżąco: prenumeruje „Publishers Weekly”, fachowe pismo poświęcone nowościom wydawniczym, śledzi publikacje branżowe, czyta artykuły dotyczące marketingu, metod wystawienniczych, aranżacji wystaw czy też ekspozycji

dodatkowych materiałów, jak czasopisma czy kartki okolicznościowe. Nieustannie też przeprowadzała analizę kosztów i za każdym razem dochodziła do wniosku, że księgarnia w Perry Creek może być opłacalną inwestycją. I za każdym razem, ilekroć próbowała zrobić pierwszy krok, tchórzyła i ulegała matce, która z góry uznawała jej projekt za zbyt „ryzykowny”. Ale teraz...

- Biorę to - postanowiła. Pośrednik uśmiechnął się.

- Z pewnością pani nie pożałuje. Wróćmy zatem do biura i dopełnijmy formalności. Jak już wspomniałem...

Nawijał dalej z zawodowym zapałem, ale Rozalinda prawie go nie słuchała. Była wniebowzięta, a zarazem przerażona. To, co zrobiła, to nie był wielki krok, ale skok ze spadochronem złożonym przez amatora. Matka będzie zaszokowana, kiedy się dowie.

Niech sobie będzie zaszokowana, za to ona będzie miała prawdziwą frajdę! Jej życie się zmieni, pozna nowych ludzi - pisarzy, intelektualistów, artystów - nareszcie będzie mogła wyrzucić te wszystkie kostiumiki i inne drętwe ubrania. Chyba najbardziej pasowałaby jakaś ciekawa kolorystycznie luźna kiecka. A może powinna nosić džinsy i haftowane bawełniane meksykańskie koszulek Sączyć espresso i słuchać

Matka wie lepiej 121

poety czytającego swój wiersz, a potem, kiedy dziesiątki fanów ustawia się w kolejce, żeby kupić jego ostatni tomik, usiąść za staroświecką kasą i wystukiwać na niej zainkasowane pieniądze. Zmiany obejmą też jej mieszkanie. Zimne pastelowe kolory są odbiciem gustu jej matki, a nie jej. Postawi na... barwy podstawowe albo na efektowne ciemne kolory wzięte z perskich dywanów. W porze lunchu będzie zaglądała do galerii i antykwariatów, wybierając to i owo, a wszystko razem w sposób cudowny, wręcz doskonały odzwierciedli jej osobowość. Po załatwieniu formalności w agencji nieruchomości wyszła na ulicę, utwierdzona w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję. Na zrealizowanie marzenia warto wydać ostatni grosz, warto harować, byle tylko mieć satysfakcję z tego, co się robi! Nie przerażała jej nawet perspektywa rozmowy z matką. Żegnaj, Rozalindo klonie! Witaj, Rozalindo buntowniczo!

ROZDZIAŁ DRUGI

- To wszystko wygląda przerażająco - wzdrygnęła się Margaret Kirk, skubiąc widelcem makaronową sałatkę.- Ale powiedziałam sobie, że lepiej się pomęczyć i mieć w końcu kuchnię z prawdziwego zdarzenia.

W piątki i soboty matka i córka często jadły razem lunch. W tym tygodniu Marge zaproponowała, żeby spotkały się u niej w domu.

- Nie uważasz, że przerabianie całej kuchni to trochę zbyt kosztowny pomysł? - kontynuowała.

- Nie bądź niemądra, mamó. Powinnaś była to zrobić już dawno temu. - Rozalinda uśmiechnęła się pomimo skurczu w brzuchu. Powiedziała sobie, że cotygodniowy lunch to doskonała chwila, żeby powiedzieć mamie o nowych planach. Powiedziała sobie również, że łatwiej będzie przekazać matce tę sensacyjną wiadomość w bezpiecznym miejscu, jakim jest dom rodzinny. Dom matki. Tylko dlaczego nie przechodzi jej to przez

Matka wie lepiej

123

gardło?- Bo jesteś tchórzem, odpowiedziała sobie samej.

- Przecież wiesz, że wcześniej nie stać mnie było na taką modernizację. - Grymas uwydatnił kilka zmarszczek na twarzy, która, pomimo pięćdziesięciu czterech lat skończonych przez Margaret, wciąż była zachwycająca. Rozalinda zastanawiała się często, dlaczego tak atrakcyjna kobieta jak jej matka nie wyszła ponownie za mąż. - Pewnie nadal mnie na to nie stać, ale ponieważ już was wychowałam i wykształciłam, a w dodatku macie niezłe posady, pomyślałam sobie, że albo teraz, albo nigdy! Aha, przypomnij mi, żebym ci pokazała próbki kafelków, które mam ochotę zamówić. Lada dzień spotkam się z przedsiębiorcą budowlanym.

- Z przyjemnością je obejrzę. - Rozalinda zagryzła wargę. - Mamo, skoro mówimy o pracy, to ja też mam dla ciebie nowinę.

- Naprawdę? - Nabierając kolejną małą porcję, Margaret uniosła starannie wymodelowane brwi.

Rozalinda wzięła głęboki oddech, który miał jej dodać odwagi.

Niestety, z mizernym skutkiem. Niewygodna prawda nie przechodziła jej przez gardło. Zrób to, po prostu zrób, rozkazała sobie.

- Odchodzę z firmy. Zamierzam otworzyć księgarnię.

- Co takiegoż! - Matka wypuściła widelec, który upadł z brzękiem na podłogę.

- Odchodzę z pracy - powtórzyła. - Wynajęłam lokal i zamierzam otworzyć księgarnię.

- Ale... - Matka otworzyła i zamknęła usta. - Ale... przecież masz taką dobrą posadę!

- Mamo, jestem asystentką kierownika. Zwykłą sekretarką. Nie lubię tej pracy! To miało być tymczasowe zajęcie. - Szukała jakiegoś naprawdę przekonującego argumentu. - Dobiegam trzydziestki i jeżeli natychmiast czegoś nie zmienię, ta praca przestanie być tymczasowa. Zawsze marzyłam o tym, żeby prowadzić księgarnię.

Wyraz twarzy Margaret zastygł gdzieś między szokiem i przerażeniem.

- Przecież wydasz na to całe swoje oszczędności. Dobrze wiesz, że zaczynanie wszystkiego od początku w przypadku niedużej firmy jest beznadziejnym przedsięwzięciem. To jak beczka bez dna.

- Wcale nie, niektórym się udaje. Perry Creek to świetne miejsce, mamo. Antykwariaty, sklepy ze starociami i galerie sztuki prosperują znakomicie. A jakim powodzeniem cieszą się te wszystkie miejsca, gdzie można coś szybko przegryźć?- Teraz mamy lato, ale odkąd zagospodarowano tereny narciarskie, turyści zatrzymują się tu nawet w zimie. Jeśli galeria sztuki wychodzi na swoje, to księgarnia też się utrzyma. Naprawdę w to wierzę.

Oczywiście mama przystąpiła do wynajdywania dziur w całym. A to, że w pobliżu otworzą inną księgarnię, a to, że tej zimy nie będzie śniegu,

Matka wie lepiej 125

więc narciarze nie zawitają do Perry Creek, a to, że jeśli Rozalinda nie trafi w gusty ludzi, ich noga drugi raz u niej nie postanie.

Cierpliwie prostowała wszystkie zastrzeżenia, ale matka pozostała nieprzekonana.

- No dobrze - powiedziała na koniec. - Zrobisz, co zechcesz, ale czynnie byłoby rozsądniej nie odchodzić jeszcze z pracy, dopóki ten interes nie ruszy z miejsca? Upłynie trochę czasu, zanim...

- Zamierzam wystartować pierwszego sierpnia. - Rozalinda podniosła rękę, nie dopuszczając matki do słowa. - Wiem, że to krótki termin, ale chcę jeszcze coś uszczknąć z sezonu letniego. Już się skontaktowałam z hurtownikami i wydawcami, a także założyłam konta. Nie będę miała czasu na kontynuowanie pracy. Kiedy argumenty zostały wyczerpane, mama zapytała ze zboląłą miną:

- Nie rozumiem tylko, dlaczego nie porozmawiałaś ze mną przed podjęciem tej nieodwracalnej decyzji.

- Czyżbyś spróbowała mnie od niej odwieść? - uśmiechnęła się niepewnie Rozalinda. - Daj spokój, mamó. Może oszalałam, ale nie jestem głupia.

Margaret nie odwzajemniła jej uśmiechu.

- Skarbie, rozumiem, że masz prawo czuć się tak, jakby ci w życiu czegoś brakowało. Na pewno widok Penny, która jest szczęśliwa z Johnem

i raduje się macierzyństwem, nie poprawia ci nastroju. Ale... no cóż, i na ciebie przyjdzie kolej. -W głosie matki pojawiła się cierpka nutka. - Chociaż mogłoby się to stać wcześniej, gdybyś się częściej z kimś umawiała. Dokoła jest tylu sympatycznych mężczyzn. Tylko że ty nie chcesz się nawet rozejrzeć.

Aluzja nie należała do najdelikatniejszych. Uznanie jej śmiałego przedsięwzięcia jako substytutu mężczyzny było ze wszech miar obraźliwe. To prawda, że ostatnio zastanawiała się, nawet z odrobiną tęsknoty, czy kiedykolwiek spotka mężczyznę swoich marzeń, ale przecież kariera i małżeństwo to dwie odrębne sprawy. Poza tym doszła do wniosku, że w telekomunikacji nie spotka swojego rycerza w błyszczącej zbroi. Może to będzie jakiś poeta, który zacznie pisać dla niej ody...

- Ten... ten twój pomysł jest bardzo ryzykowny! Jeśli nie wypali, stracisz wszystko! Gdybyś nawet poznała wspaniałego mężczyznę, nie mogłabyś założyć rodziny, bo musiałabyś wrócić do pracy sześć tygodni po urodzeniu dziecka, a i tak połowę twojego zarobku pochłonęłyby opłaty dla baby-sitter. Teraz masz tyle pieniędzy, że możesz wpłacić pierwszą, główną ratę na własny dom. Wiesz, ile bym dała, gdybym po śmierci waszego ojca miała jakieś prawdziwe oszczędności?- Proszę, bardzo cię proszę, nie rezygnuj z tego, co ci gwarantuje bezpieczeństwo.

Matka wie lepiej 127

- Już to zrobiłam, mamó - przyznała się.
- W piątek kończę pracę w WashTel. Przykro mi, że cię rozczarowuję.
- Tu nie chodzi o mnie - zjeżyła się Margaret.
- Chodzi mi o ciebie i o twoją przyszłość.
- I właśnie z myślą o niej dokonałam tego wyboru. - Rozalindzie odechciało się jeść. Poczwała się dziwnie wyobcowana. Nagle dom, w którym się wychowała, jadalnia, w której tysiące razy nakrywała do stołu i sprzątała brudne naczynia, przy którym uczyła się dobrych manier, a jeszcze wcześniej robiła pociąg z krzesełek odziedziczonych po dziadkach, jakby przestał istnieć. Przeciwstawienie się matce okazało , się o wiele bardziej kosztowne, niż sobie wyobrażała. Czy kiedykolwiek ich stosunki będą jeszcze tak bliskie, jak przed tą rozmową?
Wstała od stołu, żeby pomóc posprzątać i zobaczyć próbki kafelków, ale rozmowa już się nie kleiła. Jakby między matką a córką wyrosła bariera.
Duma nie pozwoliła jej błagać o matczyne błogosławieństwo dla pomysłu, którego Margaret nie zaakceptowała. W końcu pożegnała się chłodno i pomaszerowała do samochodu, jakby nic się nie stało. Na wypadek, gdyby matka patrzyła przez okno, natychmiast uruchomiła silnik i odjechała. Trzy przecznice dalej zahamowała i rozplakała się.

128 *Janice Kay Johnson*

Nazajutrz rano w pracy do biurka Rozalindy podeszła Penny i niczym nadzwyczaj zdolna papuga powtórzyła wszystkie zastrzeżenia Margaret, a także dorzuciła parę nowych, co świadczyło o papuziej kreatywności.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo zmartwiłaś mamę - wytoczyła najcięższe działo.

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę uzależniać życiowych decyzji od tego, czy mama je aprobuje, czy nie. - W przeciwieństwie do ciebie, dodała w myśli.

Margaret zadzwoniła nazajutrz rano. Rozmowa przypominała konwersację z nieznaną podczas koktajlu. Pani Kirk kurtuazyjnie zapytała pannę Kirk o postępy w realizacji planów, na co otrzymała równie uprzejmą i zdawkową odpowiedź. Potem wymieniły się spostrzeżeniami na temat zabawnych powiedzonek i wygłupów trzyletniej progenitury Penny, i wtedy, jak zauważyła Rozalinda, głos matki natychmiast się ożywił.

Poczuła się zraniona i opuszczona, zdana tylko na siebie.

Trwała w uporze i samotności przez parę następnych dni. Ani matka, ani siostra nie dawały znaku życia, z żadną nie widywała się w przerwach na lunch. Dopiero teraz poczuła, co to znaczy odrzucenie. Oczywiście, że miała znajo-

Matka wie lepiej 129

mych, ale mama i Penny były jej najbliższe. Wiedziała, że się jej nie wyrzekły, ale... może ich drogi właśnie zaczęły się rozchodzić? Kiedy we wtorek rano usłyszała w słuchawce głos Margaret, ogarnęły ją mieszane uczucia.

- Jesteś wolna jutro wieczorem? - zapytała matka. - O wpół do szóstej zajrzy do mnie przedsiębiorca budowlany, pomyślałam więc, że może chciałabyś z nim porozmawiać. Oczywiście o ile nie zatrudniłaś jeszcze nikogo do adaptacji swojego lokalu.

- Nie, rozmawiałam z kilkoma, ale albo chcieli za dużo pieniędzy, albo... och, sama nie wiem, ale nie zrobili na mnie najlepszego wrażenia. - Tak, wbrew sobie i swoim postanowieniom, była zainteresowana propozycją matki. Czy zatrudnienie poleczonego przez nią przedsiębiorcy będzie krokiem wstecz? Z drugiej strony, czy odmowa kontaktu z człowiekiem tylko dlatego, że jest protegowanym matki, nie byłaby wyrazem uporu i przekory?

- Chcę ci też coś zaproponować, kochanie. -W głosie Margaret pobrzmiwały ciepło i troska. -Martwię się, oczywiście, o twoje finanse, i właśnie wpadłam na pewien pomysł. Dlaczego nie zrezygnujesz ze swojego mieszkania i nie przeniesiesz się na jakiś czas do domu? Dopóki nie staniesz na nogi.

Przenieść się do domu? No nie! Przecież

właśnie zaczyna nowe życie, próbuje się uniezależnić, a matka chce, żeby wróciła na stare śmieci? Wyobraziła sobie swoją dawną sypialnię

- białe koronkowe zasłony, łóżko z falbanami, plakaty gwiazd rocka - i wzdrygnęła się.

- Po co ci to? - powiedziała słabym głosem.

- Czy nie cenisz sobie swojej niezależności?

- Bzdura - odparowała matka. - To ty najwyraźniej cenisz sobie swoją, ale nie przejmuj się, to nie potrwa długo. Wyprowadzisz się, gdy tylko twój interes ruszy z miejsca. A jeżeli nie... - Nie musiała kończyć zdania.

- Właściwie to... pomyślę o tym - poddała się Rozalinda.

Zwyciężył rozsądek albo, mówiąc brutalnie, wystarczył prosty rachunek arytmetyczny. - A pomysł z kolacją jest całkiem kuszący, dziękuję.

- Cieszę się i jestem pewna, że Craig Morrow zrobi na tobie równie dobre wrażenie, jak na mnie.

Ostatnie zdanie, a zwłaszcza ton, jakim zostało wypowiedziane, obudziło czujność Rozalindy. Czy matka znów usiłuje jej coś narzucić?

ROZDZIAŁ TRZECI

Przestępując próg frontowych drzwi domu swojego dzieciństwa; Rozalinda usłyszała głos matki, a potem powolną, wyczerpującą odpowiedź, znamionującą człowieka cierpliwego, godnego zaufania i znającego się na fachu. Uspokojona, szybko zbudowała obraz osoby, którą za chwilę pozna. To musi być starszy mężczyzna o wielkim doświadczeniu w zakresie budownictwa, remontów i adaptacji, jednocześnie radzący sobie świetnie z kapryсами ludzi, którzy go zatrudniają. Na pewno jest słowny i trzyma się ściśle wyznaczonego harmonogramu, nie narażając ludzi na niepotrzebne frustracje. Na pewno nie zbędzie jej bezczelnym uśmiechem, jak ten ostatni przedsiębiorca, z którym rozmawiała,

i nie zasugeruje czegoś zupełnie nie w jej guście, tylko wysłucha uważnie i wczuje się w jej potrzeby.

- Witaj, mamó - zawołała.

132 *Janice Kay Johnson*

- Och, dzień dobry, kochanie. Cieszę się, że już jesteś - powitał ją z kuchni wesoły głos Margaret.

Rozalinda wparowała tam z uśmiechem na ustach.

Przez chwilę, kiedy mama odsunęła się na bok, widziała tylko szerokie plecy w popelinowej koszuli i ciemne - nie siwe - włosy mężczyzny, który medytował nad wnęką kuchenną. Na dźwięk jej kroków odwrócił się powoli, jakby w zwolnionym tempie, dając jej czas na konfrontację wyobrażeń z rzeczywistością.

Z całą pewnością nie był to starszy człowiek. Szerokim plecami odpowiadały szerokie bary, mocno umięśnione przedramiona w podwiniętych rękawach koszuli i silna, opalona szyja okoloną kołnierzykiem z rozpiętym guzikiem. Wąskie biodra i długie nogi w niebieskich dżinsach, wybielonych od pyłu tynkarskiego, dopełniały całości.

Z ociąganiem przeniosła wzrok na twarz. Była szczupła, inteligentna, o wyrazistych, zmysłowych ustach, brązowych oczach pod ciemnymi brwiami, które mężczyzna ściągnął podczas długich i dokładnych oględzin.

O rany! On jest wspaniały!

Co też matce chodzi po głowie?

- Ja... cześć- powiedziała niezbyt zgrabnie, bo trochę się spieszyła.

Nie uśmiechnął się, tylko pokiwał głową.

Matka wie lepiej 133

- Rozalindo, kochanie, to pan Craig Morrow. Craig, to moja młodsza córka, o której panu mówiłam.

Odpowiedź „Bardzo mi miło” zabrzmiała tak, jakby nie był pewny, czy właśnie to ma na myśli, ale jego głos pozostał taki sam - powolny, cierpliwy i bardzo głęboki.

- Czy wspomniałam, że Rozalinda przymierza się do przebudowy lokalu? - zapytała Margaret Kirk.

- Tak. Wspominała pani.

O czym mama, oczywiście, doskonale wie i tylko udaje, że nie pamięta, pomyślała lekko poirytowana Rozalinda.

- Czy modernizacja budynków mieszkalnych to pańska specjalność? - zapytała.

- Nie tylko - odrzekł, nie spuszczać z niej wzroku. - Ostatnio dobudowywałem aneks do kliniki weterynaryjnej. Robię to, co mi zlecają.

- Chętnie czyta pan książki? - zapytała z rozpędu, wprawiając go na krótko w zakłopotanie.

- Zdarzyło mi się jakąś otworzyć - stwierdził nie bez pewnej irytacji.

Rozalindzie zrobiło się przykro na myśl, że mógł ją odebrać jako osobę wywyższającą się. Nie miała zamiaru traktować go protekcjonalnie, a to, że nie wyglądał na intelektualistę, nie oznaczało wcale, by „Wojna i pokój” nie miała być jego ulubioną powieścią. Zastanawiała się,

134 *Janice Kay Johnson*

jak to naprawić. Na szczęście z pomocą przyszła jej matka.

- Craig, nie dałby pan się namówić na skromną kolację z nami?

Byłoby nam bardzo miło. Przy okazji zapytałabym pana o jeszcze parę rzeczy.

- Z przyjemnością, ale obawiam się, że nie jestem stosownie...

- Och, też mi problem! - Machnęła ręką. - Po prostu zjemy w kuchni. Zresztą niedługo cały dom będzie w tynku.

Nakrywając do stołu, zadawały mu różne pytania, na które Craig odpowiadał przeważnie monosylabami. Był dobrym słuchaczem.

Ilekcioć mama wynajdowała jakiś nowy problem, zastanawiał się chwilę, po czym znajdował proste i praktyczne rozwiązanie.

Podczas kolacji Rozalinda opowiedziała mu o swoich planach związanych z księgarnią. Ani się obejrzała, jak, ku własnemu zdumieniu, przekazała prawie obcej osobie różne informacje na swój temat: ile ma lat, jaką specjalizację wybrała w college'u i kto ją uczył historii powszechnej w ostatniej klasie. Okazało się, że uczyła ich ta sama nauczycielka.

- Pani Jacobsen przeszła już na emeryturę, a jej mąż zmarł w ubiegłym roku. Niedawno przebudowałem jej piwnicę na mieszkanie, które zamierzała wynająć.

- Pan pochodzi stąd? - zdziwiła się Rozalinda. - Nie przypominam sobie pana. - Znała tu wszystkich, a on nie należał do tych, których można by nie zauważyć.

Matka wie lepiej 135

Okazało się, że był cztery klasy wyżej i dlatego rozminęli się w liceum, a potem ona wyjechała do college'u, a on podjął pracę u przedsiębiorcy budowlanego, który zatrudniał go w sezonie letnim.

Byli przy deserze, kiedy Rozalinda zapytała, czy nie byłby zainteresowany sporządzeniem kosztorysu adaptacji T'sięgarni.

- Właściwie czemu nie. Oprócz pani mamy nie mam w tej chwili niczego, co nie mogłoby poczekać.

- A ja na pewno się dostosuję - wtrąciła matka, uśmiechając się dobrotliwie do córki i do jej świeżo zatrudnianego przedsiębiorcy.

- Czego się nie robi dla dzieci! - dodała entuzjastycznie.

Umówili się na jutrzejsze popołudnie, zaraz po pracy Rozalindy.

Po kolacji i po wyjściu gościa Margaret nie powiedziała na jego temat ani słowa. Może uważała, że zrobiła swoje. Zresztą mogłaby go wychwalać pod niebiosa, ale gdyby się okazało, że kosztorys przerósł oczekiwania Rozalindy, i tak by go nie zatrudniła.

Panna Rozalinda Kirk spóźniała się, ale Craig

136 *Janice Kay Johnson*

był cierpliwym człowiekiem. Poczeka na nią i dłużej. Okłamał ją. W ostatnim czasie miał więcej pracy niż kiedykolwiek, ale zależało mu na tej jednej, nawet gdyby miał na tym stracić. Kiedy ją ujrzał po raz pierwszy, ścisnęło go w żołądku. To było coś więcej niż fizyczne pożądanie. Najpierw zdawało mu się, że pachnie cynamonowymi ciasteczkami, ale kiedy podeszła bliżej, pomyślał o bukietach fiołków, ulubionych kwiatkach swojej matki.

Zapachy... Ciekawe. Zapragnął jej, ale inaczej, niż pragnął inne kobiety. Widział ją oczyma duszy, jak siedzi z nim przy stole podczas śniadania, jak patrzą na siebie czule, bo łączy ich miłość, na dodatek Rozalinda spodziewa się jego dziecka...

Zaraz, zaraz! Przecież nawet jej nie zna.

Odwrócił się na dźwięk parkującego samochodu, z którego wyskoczyła Rozalinda. Miała zaróżowione policzki, a ciemne włosy zebrała w koczek na czubku głowy. Zatrzasnęła drzwi i podbiegła do niego.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała bez tchu. - Mam nadzieję, że długo pan na mnie nie czeka.

- Od dziesięciu minut. Przez ten czas zdążyłem obejrzeć budynek z zewnątrz.

- I co pan sądzi? - Czekała na jego odpowiedź z przejęciem i z nadzieją.

Zdecydowanym ruchem pokiwał głową.

- Dobra lokalizacja. Ładny budynek, stosowne sąsiedztwo. Jest nawet parking. Nie może być lepiej.

Rozpromieniła się. Rany, ale jest śliczna! Poczul nawet zapach czegoś niezwykłego. Kruche ciasteczka z cukrem - prosto z pieca.

Zalała go potokiem słów:

- Tak właśnie myślałam. Uwielbiam to frontowe okno! A na tyłach jest mnóstwo miejsca na magazyn, no a to półpiętro... czy nie jest cudowne?... Och. - Zreflektowała się. - Ależ ja paplę! To dlatego, że jestem tym strasznie podniecona. Chodźmy do środka.

Stał za nią, kiedy przekręcała klucz w zamku.

- Prawda, jaki paskudny kolor? - Wskazała na drzwi i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Już kupiłam najcudniejszą intensywnie zieloną, prawie szmaragdową farbę, którą pomaluję drzwi i framugę.

Zostawiając ją w wykuszu frontowego okna, Craig obszedł puste wnętrze, zbadał stan płyt ściennych, podpór piętterka, dokonał niezbędnych pomiarów. Kiedy skończył, wrócił do niej.

- Okej, a teraz proszę powiedzieć, jakie są pani oczekiwania.

Mówiła, a on słuchał, od czasu do czasu kiwał głową, szczęśliwy, że ma pretekst, by szczegółowo przyjrzeć się każdemu rysowi jej uroczej

138 *Janice Kay Johnson*

tworzy. Nie uronił przy tym ani jednego jej słowa. Wiedział, z jak wielką powagą traktuje swoje nowe przedsięwzięcie.

- A jak się pani zapatruje na gotowe regały? - zapytał.

Ona zaś zmarszczyła nos.

- Kosztują majątek, chyba żebym kupiła metalowe. Mogłabym też pójść na coś zupełnie rustykalnego, ale nie... chciałabym, żeby to miejsce wyglądało... tradycyjnie. Jakby istniało tutaj od zawsze.

Wie pan, o co mi chodzić Książki muszą mieć szlachetną oprawę.

Oczywiście wyobraźni zobaczył księgarnię. Tę tutaj. Ciemne połyskujące drewno, delikatna sztukateria, skórzane miękkie klubowe fotele i mnóstwo, mnóstwo książek.

- Tak - przyznał. - Wiem, o co pani chodzi.

- Tylko... nie wiem, czy będę miała na to środki - powiedziała zmartwiona.

- Zajmowałem się stolarstwem artystycznym. - Nagle rozwiązał mu się język. - Zobaczą, może coś wymyślę. Postaram się zminimalizować koszty. - Przelykając stratę.

Tak, wreszcie udało mu się zdefiniować ten nieuchwytny zapach.

Wanilia. Czy często piecze ciasto? A może kobiety używają waniliowych szamponów albo perfum?

Przeszli do bardziej szczegółowego omawiania projektu. Dodał od siebie parę nowych pomys-

Matka wie lepiej 139

łów, za co został wynagrodzony błyskiem w jej oczach i promiennym uśmiechem.

- Prawie nie mogę uwierzyć, że to wszystko naprawdę się stanie, i to już niedługo - powiedziała na koniec. - Od tak dawna się do tego przymierzam...

- Jeśli chodzi o kosztorys - pośpieszył - to myślę, że całość zamknie się gdzieś w granicach...

- Wymienił cenę, która z konieczności musiała być znacznie niższa od tych, które dotychczas jej przedkładano. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wykonałby tej pracy "za tak niewiele.

- Naprawdę? - Rozalinda wybałuszyła oczy.

- Jeśli może pan się zmieścić w tej... - musiała złapać oddech - to, oczywiście, zatrudniam pana.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Świetnie, że się na niego zdecydowałaś!

- zapięła z zachwytem matka. - Uznałaś, że jest idealny dla ciebie, prawda? Wiedziałam, że tak się stanie!

Rozalindę zamurowało. Siedziała sobie miło w salonie ze słuchawką przy uchu, do tej pory rozmowa toczyła się normalnie, bez żadnych fajerwerków. A tu nagle coś takiego!

- Co masz na myśli, mówiąc „dla mnie”?

- zapytała ostrożnie, podwijając pod siebie nogę na kanapie.

Kanapie, którą mama była zachwycona, a Rozalinda niespecjalnie, ale mimo to ją kupiła. Kanapie, która w końcu miesiąca, a więc dokładnie za tydzień, wyląduje w przechowalni, razem z większością rzeczy Rozalindy.

- Musisz przyznać, że jest uroczy - ćwierkała matka. - Poza tym jest inteligentny, a nawet punktualny, co w jego branży rzadko się zdarza.

- Cieszę się, że jest punktualny, bo zależy mi na czasie, ale...
- Możesz mi wierzyć... -głos matki zabrzmiał bardzo uroczyście - ...to jedna z bardzo pożądanых cech u męża.

A więc jednak matka nie przestaje knuć i manipulować, oburzyła się Rozalinda i z wrażenia musiała na chwilę odjąć słuchawkę od ucha.

- Jesteś tam? - usłyszała.

Odczekała parę sekund, a kiedy trochę się opanowała, wycedziła⁴ przez zęby:

- Więc według ciebie powinnam wyjść za mąż za tego faceta?
- Nie powiesz chyba, że ci się nie spodobał, kochanie. Taki mężczyzna... - Margaret znacząco zawiesiła głos.

Taktyczny błąd, mamusiu, pomyślała Rozalinda. Akurat temu mogę zaprzeczyć z czystym sumieniem.

- Ani trochę. Nie jest w moim typie.
- Nie bądź głupia - uderzyła w weselszy ton matka. - Oczywiście, że jest, tylko sama jeszcze o tym nie wiesz.

Rozalinda ujrzała czerwoną płachtę przed oczami.

- Mamo, odczep się! - warknęła. - Nie wyszłabym za Craiga Morrowa, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na świecie. Chcę... poetę,

142 *Janice Kay Johnson*

artystę, a nie jakiegoś jaskiniowca z odciskami na rękach! Nie ma co, świetnie mnie znasz!

- A może - łagodnie poprawiła ją Margaret

- to ty nie znasz siebie.

- No nie, tego się po tobie nie spodziewałam!

- Czuję, że za chwilę udusi się z wściekłości. -Wiesz co4-

Potraktujmy tę rozmowę jako niebyłą! - Trzasnęła słuchawką.

Wzburzona siedziała jeszcze dłuższy czas na kanapie i

zastanawiała się nad swoim położeniem. Gdyby mogła - a

przecież już wymówiła mieszkanie - za żadne skarby nie

wprowadziłaby się znowu do matki. Boże, i pomyśleć, że sama

zatrudniła tego faceta. Teraz będzie na niego skazana od rana do

wieczora - najpierw u siebie w księgarni, a potem u Margaret w

kuchni! Jedyne, co mi zostało, myślała gorączkowo, to modlić się,

żeby Craig Morrow nie był świadomy tych wszystkich knowań i

żeby nie zainteresował się moją osobą. Zresztą, uspokajała się

stopniowo, już i tak pewnie się zorientował, jak mało mają ze sobą

wspólnego.

Uczepiła się tej myśli i od razu zrobiło jej się lepiej. Tak, nie musi

wykonywać żadnych ruchów poza czekaniem na pierwsze oznaki

rozczarowania matki, na co już z góry się cieszyła.

Craig stał i przyglądał się Rozalindzie, która z uwagą studiowała

jego kosztorys. Oczekiwał

Matka wie lepiej 143

z jej strony jakiegoś entuzjazmu, a tymczasem, o dziwo, był świadkiem narastającej - widział to po minie ślicznej panny Kirk - nieufności.

- Wygląda to bardzo dobrze - powiedziała, zerkając na niego kątem oka. - Powiedziałabym, że aż za dobrze.

A niech to! Liczył, że przyjmie darowanego konia bez zagłądania mu w zęby. Powinien był się domyślać, że ktoś taki jak ona będzie chciała wiedzieć, dlaczego te zęby są tak cholernie białe i lśniące!

- Zaraz wszystko wyjaśnię - powiedział, szukając gorączkowo sensownego argumentu. - Chcę wykonać tę robotę prawie po kosztach własnych, licząc na... na swego rodzaju promocję, to znaczy mam nadzieję, że zarekomenduje mnie pani swoim znajomym, głównie miejscowym biznesmenom. Prawdę mówiąc, wolę tego typu pracę od przeróbek mieszkań. W Perry Creek zaszły i nadal zachodzą duże zmiany. Pomyślałem sobie, że dzięki temu - wskazał ruchem głowy surowe ściany wnętrza budynku - miałbym dojsć do planowanych w okolicy inwestycji.

Popatrzyła na niego uważniej i... kupiła to. Złapała przynętę!

- Czułabym się nie w porządku - wahała się jeszcze.

- Proszę nie zapominać, że oprócz tego mam zajęcie u pani matki, więc na pewno jakoś

przeżyję. - Nie wspomniał oczywiście o kilku innych zleceniach. Tak naprawdę miał ich aż za dużo.

- Skoro tak...

- Ależ oczywiście. - Nie miał wątpliwości, że Rozalinda pachnie dzisiaj bzem. Jak bardzo chciałby zanurzyć twarz w jej jedwabistych ciemnych włosach i przekonać się, czy ten nęcący zapach pochodzi stamtąd. - Na pewno.

- A zatem... - uśmiechnęła się - kiedy będziesz mógł zacząć? Musiał bardzo uważać, żeby nie okazać radości z odniesionego zwycięstwa.

Rozmawiali przez chwilę o harmonogramie prac. Pannie Kirk zależało, żeby na początek zrobił magazyn na tyłach i frontowe okno, bowiem chciała jak najszybciej urządzić wystawę i jeszcze przed otwarciem księgarni przyciągnąć uwagę lokalnej społeczności.

- Zamierzam uczcić otwarcie lokalu jakąś kameralną imprezą - wyznała. - Wino, sery i może kwartet smyczkowy. Klasyczny repertuar, ma się rozumieć.

- Znakomity pomysł - stwierdził z obłudnym entuzjazmem, bo według niego to straszne nudy. W sam raz do poezji czytanej. Ale zaraz, dlaczego ma być obłudny? - Nie wiem, czy Perry Creek to odpowiednie miejsce na kwartet smyczkowy - wtrącił taktownie. - Uważam, że lepszy byłby

Matka wie lepiej 145

Bruce Springsteen czy Vince Gili, w każdym razie jakaś znana gwiazda, oczywiście bez większych wzmocniaczy, no i może raczej piwo beczkowe. Coś bardziej w stylu Perry Creek.

- Jak widać, z nas dwojga ja mam lepsze wyobrażenie o mieszkańcach naszego miasta - odpowiedziała wyniośle.

Cóż, chyba zawałił sprawę. Cholera, a jeśli ona jednak ma rację? A jeśli Perry Creek może się mimo wszystko poszczycić paroma fanami niemiłych dla ucha nut, które płyną i płyną nie wiadomo dokąd.

Porzucając potencjalnie niebezpieczny temat, powiedział:

- Nie wiem, jak ty, ale ja zaczynam być głodny. Nie zajrzelibyśmy do tego nowego lokalu... „Gianni” czy jakoś tak?

Jej wzrok nie rokował niczego dobrego.

- Zapraszasz mnie na kolację?

Do diabła, czy mężczyzna nie może zaprosić kobiety na kolację? - zapytał samego siebie.

- Na to wygląda.

- Czyżbyś proponował mi randkę? - zapytała oburzona.

- A co w tym złego? - powiedział, siłąc się na naturalny ton głosu, choć było mu naprawdę przykro. - Jesteś ładna. Pomyślałem, że sobie pogadamy, poznamy się lepiej i przekonamy, czy nie moglibyśmy się polubić. - Przekonamy się, ile

czasu będzie musiało upłynąć, zanim za mnie wyjdiesz i będziesz miała ze mną dzieci. - Ale jeśli nie chcesz, nie ma sprawy.

- Wierutne kłamstwo. Szukał w myślach czegoś szczerego. - Nie zamierzałem cię obrazić. Zamrugła.

- Nie obraziłeś mnie!

- Cieszę się. - Ale mnie nie oszukasz, dodał w myślach.

- A miałam nadzieję... - Jej policzki oblały się rumieńcem. -

Wolałabym, żebyśmy pozostali na stopie zawodowej. Nie komplikujmy sprawy.

W porządku, uwinie się z pracą, a nawet pobije swój własny rekord.

- A potem...?

- Nie sądzę.

Wraz z jej odpowiedzią, suchą i stanowczą, ulotnił się nagle cudowny zapach bzu.

- Trudno. - Był wściekły jak cholera. Przysięgłby, że i ona poczuła trochę tej chemii, która tak silnie działała na niego. Bo jak inaczej wytłumaczyć to jej nieznaczne drżenie, kiedy stał naprawdę blisko? A jej uciekający wzrok, kiedy pożerał ją oczami bardziej niż chciał to pokazać?

- Więc pozostajemy na płaszczyźnie zawodowej.

- Świetnie - stwierdziła. - Oto klucze. Im szybciej zaczniesz, tym lepiej.

- Jutro rano zjedziemy tu z ekipą. - Inne prace

Matka wie lepiej 147

mogą zaczekać. Jakoś sobie poradzi. W najgorszym razie wyśle gdzie trzeba podwykonawców.

Niezły ze mnie idiota, pomyślał. Żeby narażać dobre imię fachowca dla kobiety, która nie jest nim zainteresowana? Chyba że kłamała...

Jest upartym człowiekiem. Rozalinda jeszcze się przekona, jak bardzo zbliżą się do siebie przed końcem tej roboty. Kiedy ona wprowadzi się do matki, on będzie wszędzie, gdziekolwiek śliczna panna Kirk się ruszy. Wcześniej czy później pozna jego zalety.

Nie, nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że miałby nie mieć u niej szansy.

W dniu przeprowadzki Rozalinda miała parę takich momentów, kiedy pluła sobie w brodę. Dlaczego okazała się aż tak bezwolna i uległa matce? Za każdym razem musiała sobie powtarzać, że przecież nie pali za sobą mostów. W najgorszym razie pomieszka jakiś czas u znajomych. Jeśli rzeczywiście uda się otworzyć księgarnię pierwszego września, może jeszcze nieźle zarobić w tym sezonie i szybko wynająć nowe lokum.

Trzeba przyznać, że cała rodzina wspierała ją i solidarnie pomagała. Kiedy już wszystko było gotowe - spakowane walizki i kartony, meble przygotowane do złożenia w przechowalni - Penny i mama zostały z nią i pomogły posprzątać, w ogóle doprowadzić opustoszałe mieszkanie do

przyzwoitego stanu. Następnie, jadąc za samochodem mamy, udała się do domu.

Kiedy zaparkowała na podjeździe, ogarnęło ją dziwne uczucie nierzeczywistości. Wnosząc walizki i torby do dawnej sypialni, poczuła się o dziesięć lat młodsza, jakby wróciła do domu z college'u na letnie wakacje. Odłożyła ubrania do szafy i do komody, otwierając wypraktykowanym szarpnięciem trzecią szufladę, która się zacięła.

Wszystko, co się działo i czego doświadczała, można by porównać do zjawiska *deja vu*, stwierdziła trzy dni później, z tą różnicą, że obecnie czuła się jak w pułapce. Została przeniesiona w czasie. Bezwiednie podjęła czynności, które wykonywała przed opuszczeniem domu. Ułożyła kosmetyki na tej samej co przed laty półeczce w łazience, do czytania albo oglądania telewizji sadowiła się w tym samym rogu kanapy w salonie...

Chwała Bogu, że miała księgarnię! Bez niej i bez nadziei, jaką z nią wiązała, pewnie by oszalała. Tyle że, przebywając na okrągło z matką i z Craigiem Morrowem, nadal jej to groziło.

Zgodnie z zapowiedzią, Craig rozpoczął pracę w jej lokalu następnego dnia rano. Pomalował pomieszczenie na zapleczu, razem wybrali miejsca na półki, zmierzyli przestrzeń, w którą, na razie na papierze, wpasowali regały, a potem,

Matka wie lepiej 149

kiedy o godzinie siedemnastej skończył się dzień pracy, Craig udał się za nią do domu matki, żeby sprawdzić, co zdziałali w kuchni hydraulicy. Wcale się przy tym nie śpieszył, wręcz przeciwnie, zwlekał, gadał z matką i sprawdzał każdy szczegół. Nawet kiedy zamknęła się w swoim pokoju i zwinęła się w kłębek na łóżku - koniecznie musi usunąć te idiotyczne plakaty - a potem usiadła na krześle przy szkolnym biurku, słyszała jego dochodzący z dołu głos. A kiedy zrobiło się cicho, słyszała, jak wychodzi. Na dobrą sprawę spędzała z nim cały czas i tak była na nim skupiona, że dostawała szału.

Zgoda, to seksowny facet, dlatego zerkała na niego, oczywiście kiedy była pewna, że tego nie widzi. Każda by zerkała. Ale ponieważ nie był w jej typie, jego stała obecność przyprawiała ją o rozstrój nerwowy. Nie cierpiała, że kiedy stawał blisko niej, czuła mrowienie w całym ciele, nie cierpiała, że kiedy się do niej uśmiechał, robiło jej się gorąco, nie cierpiała, że nie mogła się doczekać jego aprobującego kiwnięcia głową czy jakiejś innej pochwały.

Może co do jednego mama ma rację. Już od dawna nie umówiła się z żadnym facetem na randkę. Dość dawno zniechęciła się do tego. Faceci byli tacy beznadziejni. A to swatanie - koleżanki z pracy coraz to podsuszały jej jakichś singli - wręcz poniżające.

150 *Janice Kay Johnson*

Może jednak za szybko się poddała? Może brakuje jej seksu, i stąd te wapory?

Tak, antidotum na Craiga Morrowa mogą być inni mężczyźni. Wiedziała już nawet, od kogo zacząć. Właściciel pobliskiego sklepu ze starociami odwiedził ją dwukrotnie w księgarni, sugerując wspólny lunch.

Postara się więc, żeby przyjechał po nią do domu i zabrał - najlepiej w obecności Craiga - na kolację.

Może coś do nich dotrze, pomyślała, mając na uwadze także matkę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Craig uwijał się, jak mógł, gonił z jednej pracy do drugiej, i jakoś nakazie wszystko szło znakomicie. Jak dotąd dotrzymywał terminów, więc nikt się jeszcze na niego nie wkurzył. Za to dzisiaj miał powód do radości, mianowicie przywiózł pierwszą szafę biblioteczną do księgarni. Wykonał ją z drewna olszyny, które było najtańsze, ale ładnie przycięte listwy i bejca w kolorze wiśni sprawiły, że mebel wyglądał naprawdę dobrze.

Rozalindzie też się spodobał. Pisnęła ciche „och!” i zachichotała radośnie. Przez chwilę myślał nawet, że go uściśnie.

- Och - powiedziała tym razem bez piszczenia, tylko normalnie - jest piękna. Idealna. Za taką cenę? - I naprawdę zrobisz ich tyle, że będę mogła otworzyć księgarnię w pierwszym tygodniu sierpnia? Tak, pod warunkiem, że będzie żył, oddychał i spał z papierem ściernym w jednym ręku, a szmatką zanurzoną w bejcy w drugim.

152 *Janice Kay Johnson*

- Jasne - wzruszył ramionami. A jak, supermanie, zażartował z siebie w duchu, czując się jak dzieciak, który popisuje się przed śliczną dziewczynką na boisku sportowym.

Rozalinda uśmiechnęła się, popatrzyła na niego słodko.

- Och, naprawdę spadłeś mi z nieba. - Wykonała nieporadny ruch w stronę Craiga, który skończył się położeniem ręki na jego ramieniu.

Boże. Wystarczyło tylko tyle. Nie był w stanie oderwać oczu od jej warg, stęzał cały, oddychał coraz szybciej... I chyba nie był w tym sam. Mógłby się założyć, że z nią też się coś dzieje. Drgnęła jej dolna warga, a pierś zafalowała, jakby słodka Rozalinda miała chwilowe trudności z oddychaniem. Pociemniały jej oczy. Pochylił się ku niej z wyraźnym zamiarem pocałowania jej, a ona zadrżała, ale nie wykonała żadnego ruchu.

W tym momencie wszedł do środka ten niechlujny typek ze sklepu ze starociami.

Zmarnowana okazja, ale nie na długo. O nie! Czuł to przez skórę. Rozalinda miękła. Chciała, żeby ją pocałował. W takich sprawach facet się nie myli. Panna Kirk najwyraźniej zmieniła zdanie.

Margaret zaprosiła go na kolację. Może potem Rozalinda zechce usiąść z nim na bujanej ławeczce na ganku. Wieczór jest piękny, a róże w rozkwicie. Już widział, jak się bujają w zgodnym rytmie, a jego ręka spoczywa na oparciu ławeczki. Dookoła słyhać

tworzące nastrój odgłosy wieczorne i delikatnie pachną róże. Odwraca się, żeby móc patrzeć na Rozalindę, która wstydlawie spuszcza powieki, ale podnosi wyżej brodę, więc on się schyla, dotyka wargami...

- Jesteś tu jeszcze, Craig? - przerwała jego marzenia Rozalinda, zaglądając do kuchni matki i patrząc na niego badawczo.

- Twoja mama zaprosiła mnie dziś na kolację.

- Ach tak? - zdziwiła się. - To miło z jej strony. Będziecie mieli okazję, żeby porozmawiać o nowych pomysłach mamy.

Oni? Nowe pomysły?

Rozległ się dzwonek u drzwi. Rozalinda odwróciła głowę, a on po raz pierwszy zobaczył, że ma na sobie małą czarną sukienkę przylegającą do krągłych bioder i piersi w sposób, który natychmiast rozbudził w nim pożądanie.

- Och, to na pewno Jordan - uśmiechnęła się z roztargnieniem, jakby on, Craig, już kompletnie wyleciał jej z głowy. -

Umówiliśmy się na kolację. Chyba poznałeś Jordana, prawda?

Jordan? Ten niechlujny handlarz starzyzną?-

i ona je z nim kolację?

Nie, to nie może się zdarzyć.

W wisielczym nastroju powlókł się za nią. Czuł się jak zbity pies, gorzej, jak pies wyrzucony na bruk przez ukochaną właścicielkę!

154 *Jankę Kay Johnson*

Nie, to nie może się zdarzyć, wmawiał sobie. Nie umówiła się z tym typkiem na randkę. Pewnie będą rozmawiać o biznesie.

Zwykle spotkanie towarzyskie, żaden romans.

Tylko dlaczego włożyła taką krótką obcisłą sukienkę?-

Stał za nią, kiedy otwierała frontowe drzwi.

- Jordan! - zawołała radośnie. - Wejdz, proszę. Znasz, oczywiście, Craiga Morrowa.

Mężczyźni sztywno się sobie ukłonili. Handlarz starociami był przystojny na chłopięcy sposób, kasztanowe kręcone włosy spadały na kark, nosił opięte spodnie i świadomie zawijał rękawy kurtki. Uśmiechał się ufnie i w nadmiarze. Craig doskonale wiedział, że starocie, które wystawia na sprzedaż Jordan West, są podróbkami. Naiwne, prymitywne meble i szafki wczesnych kolonistów były teraz w cenie, szerzyła się bowiem moda na styl farmerski, a te, które West wystawiał na zewnątrz w pogodne dni, były zastępowane identycznymi nazajutrz po sprzedaży. Craig nie lubił nikogo, kto kiwa klientów. Nie mógł uwierzyć, że Rozalinda mogła się dać poderwać tej gnidzie.

Tymczasem ona chichotała z nim w najlepsze i tak wybałuszała na niego oczy, jakby był gwiazdą filmową, która przybyła, by paść jej do stóp.

Craig chciał już coś warknąć, kiedy Rozalinda zawołała:

Matka wie lepiej 155

- Mamo, wychodzę. Wrócę, kiedy wrócę. Co to znaczy? Dziesiąta wieczór czy trzecia nad ranem?

- Wolałabym wiedzieć... - Margaret z surową miną zeszła na dół. - Ale... och... witam pana - powiedziała na widok Westa. Starła się być dla niego serdeczna i nawet, według Craiga, robiła to skutecznie, choć, co zauważył z przyjemnością, nie była zachwycona randką Rozalindy bardziej niż on.

Panna Kirk zaś dokonała prezentacji. Wazeliniarz zajrzał głęboko w oczy jej matki i uśmiechnął się z wyćwiczonym wdziękiem. Margaret powinna była się rozpląnąć, a tymczasem, zamiast tego, poruszała nosem, jakby zwęszyła coś zgniłego.

- Dobranoc panu - powiedziała chłodnym tonem. - Rozalindo, baw się dobrze.

Jeszcze czego, pomyślał Craig. Miał nadzieję, że już po kwadransie jej córka będzie gorzko żałować, że wyszła, a za pół godziny zadzwoni i będzie wzywać pomocy.

Kiedy zniknęli za progiem, Craig wziął się w garść i odwrócił, żeby stawić czoło matce Rozalindy. Nie patrzyła na drzwi, które zamknęły się za jej córką, tylko na niego, a jej spojrzenie było ciepłe i nieco zaintrygowane.

- Widzę, że nie lubisz pana Westa - powiedziała z uśmiechem.

156 *Janice Kay Johnson*

Pewnie, że nie.

- Nie - odparł zwyczajnie. - Nie lubię.

- Sądziłam, że Rozalinda ma lepszy gust. On również.

- Może to moja wina - zastanowiła się głośno. - Zawsze była taka... zbuntowana.

Zdążył to zauważyć, choć nie wiedział, przeciwko czemu się buntuje.

- Ale to chyba dobry znak - uśmiechnęła się Margaret Kirk. -

Zachowywała się przy nim tak ostentacyjnie, jakby coś demonstrowała. I... - przechyliła znacząco głowę w stronę Craiga - chyba nie kierowała tego pod moim adresem.

To prawda, przyznał po namyśle w duchu. Chyba rzeczywiście Rozalinda badała jego reakcję. Najpierw odszukała go w kuchni, a potem, rzucając mu ostentacyjne uśmieszki, wymaszerowała z domu z obcym facetem! Tylko po co to wszystko? Czy nie dawał wystarczających dowodów zainteresowania jej osobą? Nie zaprosił jej na kolację? Nie, nigdy nie zrozumie kobiet, po prostu tak będzie zawsze!

- Nie pozostaje nam nic innego, jak pomyśleć o kolacji - odezwała się Margaret. - Zamówiłam chińskie jedzenie. Powinni je zaraz przynieść. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko chińsz-czyźnie?-

- Oczywiście, że nie.

Kiedy przed kolacją poszedł umyć ręce, słowa Margaret Kirk nadal dźwięczały mu w uszach. Zastanawiał się, czy przypadkiem obie panie nie rozgrywają czegoś między sobą jego kosztem. Może, wiedząc, że matka mu sprzyja, Rozalinda robi jej na złość? A może - ale tylko może - pani Kirk nie tylko mu sprzyja, ale wręcz upatrzyła go sobie na zięcia, a Rozalinda zdemaskowała jej zamiary? - Wtedy jego szanse u niej byłyby bliskie zera lub zgoła mu równe. Nic dziwnego, bo on sam zareagowałby podobnie, gdyby ojciec wyciął mu taki numer. Podsumowując to wszystko, doszedł do wniosku, że w tej sytuacji sam też musi przyjąć pewną taktykę. Jeszcze się zastanowi nad szczegółami, ale na początek spróbuje zniechęcać do siebie Margaret Kirk, aż sprawi, że przestanie go lubić. Może wtedy, na przekór matce, Rozalinda zainteresuje się nim?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z krótkimi przerwami na sen, który nie był krzepiący, Craig na przemian wałkował albo ten temat, albo zadreślał się upiorną wizją, jak kanalia Jordan obmacuje Rozalindę.

Zniechęcenie do siebie Margaret Kirk, czy nawet rozwścieczenie jej, nie powinno być trudne. A co będzie, jeśli okaże się, że źle ocenił sytuację, i że Rozalinda odrzuca go z innego powodu, niż z chęci zrobienia matce na złość? Zrazi tylko do siebie dobrą klientkę, do tego matkę kobiety, w której - co do tego nie miał wątpliwości - zakochał się na dobre.

Rano doszedł do wniosku, że najlepiej będzie postawić sprawę jasno i zapytać o to wprost Rozalindę.

Zrobił to w księgarni. Bardzo taktownie, jak mu się wydawało. Nawet nie w formie pytania.

- Coś mi się wydaje, że twoja matka chętnie widziałaby nas jako parę.

Matka wie lepiej

159

Na twarzy Rozalindy dostrzegł niezadowolenie i zdumienie.

- Zauważyłeś to? Postanowił być szczery.

- Nie podoba mi się, że umawiasz się z Western. Kiedy jej to powiedziałem, w pełni się ze mną zgodziła.

- Nie podoba ci się... - Resztę zdania Rozalinda połknęła, za to poczerwieniała ze złości. - Nie twój interes, z kim się spotykam.

- Nie jest przyjemnie zostać odtrąconym, a potem przyglądać się, jak wieszasz się na kimś innym. - Zwłaszcza na jakimś podejrzanym typie, dodał w duchu.

- Nie wiem się... - Widocznie przypomniała sobie, że rzeczywiście tak to mogło wyglądać, i trochę zawstydzona zdobyła się na szczerość: - Jeżeli by to miało poprawić ci humor, to wiedz, że więcej się z nim nie umówię. A jeśli chodzi o odtrącenie, to wcale nie było to odtrą... O rany! Brzmi to strasznie pokrętnie. Chyba rozumiesz, że nie mam zamiaru korzystać z pomysłów mamy.

Jesteśmy w domu!

Chciał usłyszeć to jeszcze raz, ale wyraźnie i składnie.

- Z tego, co mówisz, wynika, że gdyby matka nie pchała cię w moje objęcia, poszłabyś ze mną na kolację, czy tak?

160 *Janice Kay Johnson*

- Eee... - Głęboko odetchnęła. - Myślę, że tak. Chyba tak.
- A zatem, oczywiście teoretycznie, mógłbym ci się spodobać. Rumieńce na jej twarzy stały się po prostu purpurowe.
- Właściwie... tak.
- Aha.

Doszedł do wniosku, że udowadnianie absurdu całej tej kombinacji zajmie dużo czasu i niekoniecznie przyniesie pożądany efekt. Miał lepszy pomysł. Tyle, że bardzo ryzykowny z punktu widzenia szanowanego i szanującego się fachowca.

Atmosfera, jaką Rozalinda zastała po powrocie w domu, była co najmniej napięta. W kuchni panował straszny bałagan, a matka miała obłęd w oczach.

- Co tu się dzieje? - zawołała. Nieprzytomna ze złości, połykająca słowa,

Margaret wykrzyczała całą historię, z której wynikało, że Craig jest człowiekiem nieodpowiedzialnym - źle wszystko pomierzył i przywiózł kompletnie niepasujące szafki - i że nie tylko naraził ją na straty, również moralne, ale sprawił okropny zawód.

- Przez niefrasobliwość pana Morrowa - kontynuowała Margaret, miażdżąc Craiga wzrokiem

Matka wie lepiej 161

- jeszcze przez długiej tygodnie będę zmuszona mieszkać na tym pobojuisku. W tej sytuacji jest mi niezmiernie przykro i żałuję, że ci go poleciłam.

- Każdy może się pomylić - odparowała Rozalinda. - Powinnaś zobaczyć, jakie zrobił mi piękne półki. Mamo, po prostu będziesz musiała jeszcze trochę poczekać, aż Craig zrobi ci nowe szafki!

- Trochę?- - zachnęła się Margaret. - Dwa, trzy tygodnie? Czy ty w ogóle wiesz, jak strasznie mi zależy na tym, żeby po powrocie z pracy móc wreszcie ugotować kolację we własnej kuchni? Jak zobaczę jeszcze jednego gotowego hamburgera, to go... to go... - Wepchnę mu go do gardła i każę popić octem, sugerował wyraz jej twarzy.

Craiga, mimo że wszystko układało się zgodnie z jego tajnym planem, ogarnęło poczucie winy, co prawda w ogromnym stopniu złagodzone reakcją Rozalindy, która zdecydowanie wzięła go w obronę.

- Mamo, mamó, chyba przesadzasz. Zobaczysz, ani się obejrzysz, a będziesz miała śliczne szafki i piękną nową kuchnię.

- Nie byłabym tego taka pewna - warknęła Margaret. - A jak znów coś pokręci? Ale ten numer już ze mną nie przejdzie. Uprzedzam, że jeszcze jeden taki błąd, a zwolnię cię z pracy!

- rzuciła w kierunku Craiga.

162 *Janice Kay Johnson*

Maskując zadowolenie, Craig poczekał, aż pani Kirk opuści kuchnię. Wprawdzie nie trzasnęła drzwiami, ale zamknęła je tak energicznie, że w pomieszczeniu dosłownie powiało arktycznym chłodem.

- Przykro mi z powodu tej durnej pomyłki - powiedział. - Twoja mama jest taka miła.

- Nie przejmuj się. - Położyła rękę na jego ramieniu, sprawiając mu niewymowną przyjemność. - Zwykle jest bardziej wyrozumiała, choć, prawdę mówiąc, nigdy niczego podobnego nie zmajstrowałam. No właśnie, jak to możliwe, żebyś aż tak się pomylił?

Chyba rzeczywiście przeszarżowałam, pomyślał.

- Bóg jeden raczy wiedzieć - powiedział z żalem w głosie. -

Myślisz, że twoja mama to przeboleje i daruje mi wpadkę?

- Oczywiście!

Uśmiech Rozalindy byłby jak balsam, a może i był, lecz lekko zaprawiony dziegciem, bo przecież Craig sam wyreżyserował cały incydent. Gdyby natomiast mógł ją wziąć w ramiona, przyciągnąć do siebie i pocałować tak, żeby stopniała, to o całym dziegciu i wyrzutach sumienia natychmiast by zapomniał.

- Obyś miała rację - powiedział z niepewną miną. - Tymczasem powinienem chyba zmyć się stąd jak najszybciej i nie pokazywać się dzisiaj

Matka wie lepiej 163

twojej mamie na oczy. Poza tym jest pora kolacji. Pewnie będziecie chciały wyjść i coś przekąsić.

- A co z twoją kolacją? - zainteresowała się Rozalinda.

- Och, z tego wszystkiego prawie odechciało mi się jeść - skłamał niegroźnie, żeby nie wyjść z roli. - Ale generalnie jadam gotowe rzeczy.

Uniosła podbródek i oznajmiła z determinacją:

- Wobec tego zabieram cię na kolację. Miałaś wystarczająco zły dzień, żeby teraz spożywać samotnie jakiegoś cheeseburgera z frytkami. Moglibyśmy... - Lekko się'zaczerwieniła. - No wiesz, ta nowa włoska knajpka, o której wspominałeś, nazywa się „Gianni”, tak? Może byśmy sprawdzili, co jest warta?-

Chryste! No pewnie!

- Musiałbym zajrzeć do domu i wziąć prysznic, i wrócić po ciebie - powiedział spokojnie, starając się nie pokazać po sobie, że jest wniebowzięty. Śliczna Rozalinda nawet się nie domyślała, że za tę chwilę gotów był drugi raz położyć na szali swoje dobre imię fachowca.

- Ja też się przebiorę. - Uśmiechnęła się do niego. - Porozmawiam jeszcze z mamą. Kto wie, może dołączy do nas? O ile ci to odpowiada.

Czy miał wybór, skoro ona tego chciała?

- Jak najbardziej.

- No to widzimy się niedługo.

Craig pognął do domu, wziął prysznic, włożył

164 *Janice Kay Johnson*

wyjściowe spodnie i pędem wrócił do domu Kirków.

Kiedy zapukał, Rozalinda wysunęła się przez lekko uchylone drzwi i marszcząc nos, wykonała głową ruch za siebie.

- Przykro mi, ale mama jeszcze się dąsa.

- Postaram się najszybciej, jak można, naprawić mój błąd. -

Udawanie skruchy przychodziło mu z coraz większym trudem.

- Nie przejmuj się. - Ścisnęła jego ramię. Aż w nim krew zawrzała.

Rozalinda miała

na sobie twarzową sukienkę z jedwabistego niebieskozielonego materiału, przylegającą do ciała i odsłaniającą szczupłe, gołe nogi, które zdawały się nie mieć końca. Miała też pantofle na wysokich obcasach i może dlatego, że nie czuła się w nich pewnie, uchwyciła się ramienia Craiga.

- Możemy iść? - zaproponował, a słysząc swój chropawy głos, odchrząknął.

Wyprawa do „Gianniego” i sama kolacja to było to, o czym marzył. Paplali przez cały wieczór, mówili o wszystkim i o niczym szczególnym. Można pomyśleć, że odrabiali zaległości. .

Było już późno, kiedy ją odwiózł do domu. Zahamował i wyłączył silnik samochodu na pogrążonym w półmroku podjeździe.

- Dziękuję, żeś na to wpadła - powiedział. - Spędziłem bardzo miły wieczór.

Matka wie lepiej 165

- Ja również - odpowiedziała głosem niewiele wyższym od szeptu.

- Przyznaję, że postąpiłam głupio, odmawiając za pierwszym razem.

- Nie mam ci tego za złe, bo sam też nie chciałbym być na siłę swatany. Nie przypomina ci to sytuacji ze „Skrzypka na dachu”?- Och tak! - zareagowała spontanicznie i odwróciła się w jego stronę. - Uwielbiam „Skrzypka na dachu”! To moja ulubiona komedia muzyczna! Choć tak naprawdę to wcale nie komedia... Czy pamiętasz, jak przed laty wystawiło go nasze liceum?- Penny wzięła mnie ze sobą. Chyba wtedy byłam jeszcze w gimnazjum. To było cudowne.

- Grałem... hm... Tewjego Mleczarza - wyznał nieśmiało. Do dziś ukrywał ten fakt przed kumplami na budowie w obawie, że go wyśmieją. Gość, który fikał na scenie i pozwolił się ucharak-teryzować, nie cieszyłby się wśród nich wielkim poważaniem.

- Och... - Rozalindę zatkało. - Naprawdę? Byłeś świetny! Zaśpiewaj mi coś. Proszę!

Kusiło go, żeby zaśpiewać fragment, w którym Tewje pyta Gołdę, czy nadal go kocha po dwudziestu kilku latach małżeństwa, ale uznając, że największą cnotą jest powściągliwość, wybrał inną piosenkę. Przechylił głowę i zaśpiewał „Gdybym był bogaczem”. Kiedy doszedł do momentu, w którym Tewje Mleczarz pyta Boga, co by mu

166 *Janice Kay Johnson*

szkodziło, gdyby to on, Tewje, był wielkim panem, zachwycona Rozalinda nagrodziła go oklaskami.

- Uwielbiam tę piosenkę! Wspaniale, że ją zapamiętałeś!

- Mam nadzieję, że sąsiedzi mnie nie słyszeli.

- Albo moja matka - zachichotała.

Na wspomnienie pani Kirk Craig jęknął.

- Już teraz umieram ze strachu przed jutrzejszym spotkaniem z nią. Jeszcze tylko brakowało, żeby usłyszała moje ryki...

- Ona też uwielbia „Skrzypka na dachu”. Naprawdę.

Uznał, że koniecznie i niezwłocznie musi pocałować Rozalindę. Z tej więc przemożnej przyczyny pochylił się nieznacznie, wyciągnął rękę i, jakby bezwiednie, zanurzył palce we włosach ślicznej panny Kirk. Potem pochylił się jeszcze bardziej i zamknął jej usta pocałunkiem, w którym już po chwili oboje zatracili się bez reszty. Jej smak kojarzył mu się ze wszystkim najlepszym, co przydarzyło mu się w życiu: cynamonowe ciasteczka, szalone przejażdżki w Disneylandzie, kiedy był dzieciakiem, huczne brawa i dzikie gwizdy podziwu audytorium w liceum, kluczyki do pierwszego samochodu wręczone przez tatę. Rozsadzały go radość i pożądanie, a także poczucie absolutnego sensu życia. Jakby przypieczętowując ten stan, Rozalinda położyła rękę na jego piersi. Podniósł głowę i zapytał:

167

- Zjesz ze mną jutro kolację?

- Tak - wyszeptała. - Z rozkoszą. Kocham cię, pomyślał Craig, ale nie powiedział tego głośno.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To przerażające, że mama zna mnie lepiej niż ja siebie! Ta nieznośna myśl prześladowała Roza-lindę w ciągu nocy i nie pozwalała zasnąć. Oczywiście, że teraz to już nie ma znaczenia, ponieważ po wczorajszym incydencie z szafkami matka skreśliła Craiga z listy. Wczoraj, na wzmiankę

o kolacji, dosłownie się wściekła, po czym szybko włączyła telewizor i ostentacyjnie nie odrywała wzroku od ekranu.

- Przyjąłeś zaproszenie, bo chciałeś mi przekazać komunikat.

Świetnie. Przyjęłam zatem do wiadomości fakt, że podobają ci się wyłącznie ci mężczyźni, których ja nie lubię. Dobranoc.

Na szczęście Craig zjawił się w samą porę

i Rozalinda wymknęła się z domu. Bawiła się świetnie.

Wspominając teraz wczorajszy wieczór, ucisnęła poduszkę i zapiszczała z radości jak nastolatka.

W przeciwieństwie do innych mężczyzn, Craig umiał słuchać.

Okazało się przy tym, że mają podobne zainteresowania. A jakim pięknym głosem obdarzyła go natura! Czy będzie jej śpiewać piosenki miłosne? Och, a jak całuje! Najlepsze, że dzisiaj też idą na kolację i że będą rozmawiać i rozmawiać, a on znów ją pocałuje...

Chyba się w nim zakochała. Zakochała się w mężczyźnie, którego wybrała jej matka! Nie, zakochała się w przedsiębiorcy budowlanym, na którego aktualnie matka jest okropnie zła. A to nie to samo.

Musiała w końcu Zasnąć, skoro rano obudziła się rześka jak skowronek i ochoczo wyskoczyła z łóżka. Nie widziała Craiga przez cały dzień. Pewnie był w innej pracy, a może robił te nieszczęsne szafki dla matki.

Dziarsko ruszyła do boju i załatwiła mnóstwo spraw, a jedna ważniejsza od drugiej. Spotkała się z przedstawicielami kilku wydawnictw, zamówiła sporo tytułów, wybrała wreszcie oprogramowanie obsługujące katalog, a teraz zmieniała wystrój wystawy.

- Bardzo ładnie - rozległ się tuż za nią głos Craiga, wprawiając ją w radosne drżenie.

- Oho, jesteś. - Uśmiechnęła się.

- Cały dzień o tobie myślę - odpowiedział najprościej.

- Ja też. To znaczy... chciałam powiedzieć... - zaczerwieniła się po uszy.

170 *Janice Kay Johnson*

- Wiem, co chciałaś powiedzieć. - Uśmiechnął się, oczy mu pociemniały, pochylił głowę.

Wspięła się na palce i wyszła naprzeciw jego gorącym, namiętym wargom.

- Jedźmy już lepiej na kolację - powiedział chropowatym głosem i oderwał się od niej - bo stracę zainteresowanie jedzeniem.

Ona już straciła, ale poddała się woli Craiga - przecież za mało się znają - który objął ją delikatnie i poprowadził do samochodu, opowiadając po drodze jakąś historię, którą usłyszał dzisiaj w radiu. Stopniowo włączyła się do rozmowy, ciekawa, czy wczorajszy wieczór nie był czystym przypadkiem.

Tymczasem dzisiaj było równie dobrze jak wczoraj. Poznawali się coraz lepiej. Craig wolał psy, Rozalinda koty, ale zgodzili się, że mogą mieć jedno i drugie; uzgodnili też, że dwójka dzieci będzie w sam raz, ale jak przypadkiem zdarzy się trzecie, to po prostu będzie trzeci powód do radości. W przeciwieństwie do wielu mężczyzn, Craig nie upierał się, że koniecznie musi mieć syna, aby zachować ciągłość męskich genów i nazwiska. To prawda, że lubili inne książki i inną muzykę, ale byli zgodni w sprawach zasadniczych.

Dzisiaj jego pocałunki były jeszcze lepsze, bardziej żarliwe i ponaglące. Pragnie mnie, stwierdziła szczęśliwa i podekscytowana, napraw-

Matka wie lepiej

171

dę mnie pragnie, i z całą pewnością nie chce czekać długo. Normalnie byłaby przerażona. Bałaby się, że Craig odejdzie od niej po jednej nocy, ale nie miała cienia wątpliwości. Po prostu chodziło o coś znacznie, znacznie więcej, co do tego nie miała wątpliwości.

Kiedy odwiózł ją do domu i prowadził do drzwi, szła spokojnie i pewnie, chociaż w środku podskakiwała ze szczęścia. Kocha mnie, kocha! Czy niedługo poprosi, żeby przeprowadziła się do niego? Zerknęła na Craiga ukradkiem. A może jest na tyle romantyczny, że się jej oświadczy, nie proponując najpierw wspólnego życia na próbę? - Wyobraziła go sobie, jak klęczy i wsuwa jej na palec pierścioneł zaręczynowy z połyskującym brylantem i szepcze żarliwe słowa.

- Dobranoc - powiedział schrypniętym głosem, odwracając ją ku sobie na ostatni pocałunek, który tym razem był dłuższy, a po tym, jak Rozalinda wspięła się na palce, także głębszy.

- Dobranoc - wyszeptala w końcu.

- Do zobaczenia jutro w księgarni. - W jego głosie jeszcze pobrzmiwała intymna nutka. - Może moglibyśmy znów zjeść razem kolację? - Z radością. - Rozalinda nigdy nie bawiła się w ceregiele. Byłaby zrozpaczona, gdyby nie chciał spotkać się z nią jutro wieczorem.

Wślizgnęła się do domu, mając nadzieję, że matka śpi od dawna. W salonie było ciemno...

172 *Janice Kay Johnson*

z wyjątkiem jednej lampy, której światło padało na Margaret Kirk, skuloną w kącie kanapy, z książką na kolanach.

- Och, jesteś, witaj - powiedziała matka z powagą w głosie. - Mam nadzieję, że miło spędziłaś czas.

Rozalinda uniosła nieznacznie brodę.

- Jakbyś przy tym była.

- Cieszę się. - Margaret ruchem ręki wskazała miejsce na kanapie obok siebie. - No to usiądź i opowiedz o tym wieczorze.

- Czekałaś na mnie aż dotąd?

- Broń Boże! Po prostu się zaczytałam.

- Aha. - Rozalinda przycupnęła w drugim rogu kanapy. - Co czytasz?

- Facet relacjonuje swoje podróże do Tybetu. - Szybko wróciła do tematu. - Gdzie byliście na kolacji?

- W tej nowej tajskiej restauracji

- Jestem pewna, że jedzenie było smaczne. A dobrze się czułaś w towarzystwie Craiga?

- Nie wychodziłabym z nim dwa razy z rzędu, gdyby było inaczej

- oznajmiła Rozalinda, zastanawiając się, dokąd zaprowadzi je ta dość niezwykła jak na późną godzinę rozmowa. Czy matka pyta przez ciekawość, a może szuka okazji, żeby zranić uczucia córki? - Cieszę się. Należy ci się trochę rozrywki. Coś takiego! Nawet z mężczyzną, przez które-

Matka wie lepiej 173

go matka jest skazana na jedzenie gotowych frytek przez kolejne tygodnie?

- Już się nie gniewasz? - zapytała ostrożnie. - To znaczy nie masz mi za złe, że spotykam się z Craigiem?

- Skądże znowu! - Margaret uśmiechnęła się promiennie. - Miałś absolutną rację, mówiąc, że przesadzam. Każdy może się pomylić. On od początku był wspaniały i naprawdę wykonał świetną robotę w twojej księgarni. Byłam tam i widziałam. Półki są przepiękne, co do joty takie, jakie sobie wyobrażałam. Niezwykle eleganckie. Muszę go koniecznie przeprosić. Pewnie ma mnie za starą, zbzikowaną babę.

- Nie jesteś taka stara - odruchowo zaprotestowała Rozalinda. Była kompletnie zdezorientowana. Matka wybacza Craigowi i jest zachwycona ich randkami!

- Na tyle stara, żeby wiedzieć swoje. A teraz idę spać. Chciałam ci tylko powiedzieć, że nie miałam racji. Cieszę się, że spojrzałaś na to trzeźwiej niż ja. A swoją drogą, gdyby był starszy, mogłybyśmy ostro powalczyć o niego!

Co takiego? To straszne! Czy matka postrzega Craiga w kategorii nagrody? Jak jakiegoś wielkiego, jarmarcznego pluszaka do wygrania na festynie?

Problem w tym, że Rozalinda nie lubiła od dziecka, żeby jej w czymkolwiek pomagać czy

174 *Janice Kay Johnson*

podejmować za nią decyzje. Wszystko chciała zrobić sama, żeby osobiście zasłużyć na pochwały i nagrody. W przeciwnym razie nie sprawiały jej żadnej radości, wręcz przeciwnie, żenowały i wprawiały w złość.

Chciała sama wybrać sobie męża, nie chciała, żeby go jej dostarczono jak zabawkę na urodziny.

Ale przecież Craiga wybrałam sama! Co to tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Nie dlatego z nim chodzę, że mama tak chce, tłumaczyła sobie, nie jestem potulną Penny, która wyszła za Johna, bo mama sobie tego życzyła! Ze mną jest inaczej! To dlaczego czuję się taka... taka zmanipulowana? Taka nieszczęśliwa?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nazajutrz po południu szafki Margaret Kirk były gotowe do powieszenia, z tej więc przyczyny Craig miał całkiem uzasadnioną nadzieję, że gniew starszej z pań Kirk szybko minie. Kiedy przyjechał wieczorem po Rozalindę i stanął w progu domu, nie mógł uwierzyć własnym oczom i uszom. Margaret powitała go tak serdecznym uśmiechem, jakby znowu - oczywiście w przenośni - miała ochotę przygarnąć go do piersi. Wzięła go za rękę i wciągnęła do środka. Nawet nie zdążył spojrzeć na Rozalindę, która niecierpliwiła się w tle, kiedy Margaret rozpoczęła prawdziwą tyradę:

- Proszę, powiedz, że się nie gniewasz. Moja córka miała rację, mówiąc, że przesadzam, i że każdemu może się zdarzyć pomyłka. Ale wszystko dotąd szło tak gładko, że uśpiłeś moją czujność, a ja popadłam w stan kompletnego samozadowolenia i dlatego zareagowałam tak ostro. Jestem pewna, że każdego innego dnia podeszłabym

176 *Janiec Kay Johnson*

do wszystkiego z większym dystansem, z filozoficznym spokojem, ale byłam głodna i zmęczona, więc... - Zatrzymała się i teatralnym głosem dodała: - Dość tego przepraszania! Wystarczy, żebyś powiedział, że mi wybaczasz.

Powiedzenie „nie” nie wydawało się stosowną odpowiedzią, biorąc pod uwagę okoliczności. Zachował się najuprzejmiej, jak mógł, aż wreszcie matka Rozalindy pozwoliła im się wymknąć.

Jeszcze przez chwilę ścigały ich jej pożegnalne słowa:

- Bawcie się dobrze! Możecie wrócić, kiedy chcecie! Nie będę czuwała!

Dopiero kiedy znaleźli się w samochodzie i zapięli pasy, Craig potrząsnął głową, żeby trochę oprzytomnieć.

- Co się stało?

- Wybaczyła ci.

Zaniepokoił go ponury ton głosu Rozalindy.

- Zdaje się, że to cię nie cieszy ?

- Jak to! Oczywiście, że mnie cieszy! Kto, jak nie ja, dał jej wczoraj do zrozumienia, że się ośmiesza?

- Zgadza się - przyznał.

- To dlaczego sugerujesz, że mnie to nie cieszy?- - Spojrzała na niego gniewnie i powtórzyła: - Oczywiście, że cieszy!

Zdziwił go ten tak bardzo przesadny protest, ale postanowił ułagodzić sprawę.

Matka wie lepiej 177

- Nie gniewaj się, proszę, tylko powiedz, dokąd pojedziemy dzisiaj na kolację.

- Wszystko mi jedno - burknęła.

Jej humor poprawił się trochę, kiedy znaleźli się w „Le Bistro”, pseudofrancuskiej restauracji, którą uznał za trochę pretensjonalną, a która spodobała się Rozalindzie.

Jedzenie było w miarę dobre, ale rozmowa się nie kleiła. Craig postanowił nie poruszać zbyt osobistych spraw, wolał zapytać o plany Rozalindy związane z uroczystym otwarciem księgarni.

Okazało się, że zamówiła już wino, ale jeszcze nie wie, co będzie z muzyką.

- Nie udało mi się znaleźć na miejscu kwartetu smyczkowego.

Oczywiście mógłby być jakiś pianista, ale lokal jest za mały nawet na fortepian buduarowy, poza tym podniosłoby to koszty.

- W tym momencie uśmiechnęła się kwaśno.

- Ofertę złożyła para skrzypków, ale nie wydaje mi się, żeby ich folkowy repertuar stworzył odpowiednią atmosferę. Wciąż jednak nie tracę nadziei, że coś upoluję.

Kiedy po kolacji zaparkował samochód na podjeździe Rozalindy, był zrelaksowany i cieszył się z góry na pożegnalny pocałunek. To była najlepsza część wieczoru, a jednocześnie chwila, kiedy najtrudniej mu było panować nad sobą. Charakterystyczny zapach Rozalindy, jej głos, jej wargi wyzwalały w nim dziką żądzę. A do tego ta

178 *Janice Kay Johnson*

sceneria: bezkresne, czarne jak atrament niebo usiane diamentami i tajemniczo połyskująca połówka księżyca.

Pochylił głowę i już prawie dotykał ustami jej warg, kiedy wyszeptała:

- To głupie, ale wolałabym, żeby moja matka nadal cię nienawidziła.

- Co takiego?

- Przepraszam, ale nie wiem, co się ze mną dzieje. Może nie powinnam była się umawiać, tylko poczekać do jutra, kiedy wstanę prawą nogą z łóżka.

Rozczulił się na wspomnienie swojej matki, która z niego żartowała, gdy jako dzieciak dąsał się z jakiegoś powodu, i mówiła, że wstał z łóżka niewłaściwą nogą. Ponieważ jego łóżko było przystawione do ściany, takie powiedzenie wydawało mu się szczególnie absurdalne, choć z drugiej strony po takim dictum przeważnie wyluzowywał, dochodząc do wniosku, że zbyt serio bierze kłopoty w szkole albo w pracy, czy też jakieś, zazwyczaj bzdurne, nieporozumienia ze znajomymi.

- Wszyscy miewamy gorsze dni. - Spróbował podnieść jej głowę. Kiedy stawiała opór, zmarszczył brwi. - Dlaczego tak cholernie przejmujesz się tym, co twoja matka sądzi o mnie?

- Wybrała mojej siostrze męża.

- I to małżeństwo jest nieudane?

- Nie, Penny jest szczęśliwa, i to właśnie doprowadza mnie do rozpacz. Czy ona w ogóle nie ma charakteru?

Craig już od paru dobrych chwil nie nadążał za Rozalindą.

- To znaczy, że... że nie powinna lubić męża tylko dlatego, że matka go lubi?

- No właśnie, przecież nie wychodzi się za mąż za kogoś, kogo podsuwa ci własna matka!

- No, ale skoro jest szczęśliwa... Zrobiła unik.

- Zawsze robiłam*¹ wszystko pod dyktando mamy. Sama nie wiem, dlaczego. A właściwie wiem. No cóż, nie da się ukryć, że ona zwykle miewa rację. Ale ja nie chcę takiego życia, jakie byłoby najlepsze dla mnie w jej mniemaniu. Dla niej najważniejsze jest bezpieczeństwo. Mama zawsze chciała podróżować, ale oczywiście nie ma odwagi odrobinę zaszaleć i wydać trochę oszczędności na jakąś wycieczkę. Co innego kuchnia... - Rozalindą zmieniła sposób mówienia, naśladowując matkę - To podnosi wartość domu, córeczko. - Wyrzuciła ręce do góry. - Ja nie chcę tak żyć!

Craig wsunął palce we włosy i mocno je szarpnął. Potrzebny mu był taki sprawdzian rzeczywistości.

- Przecież nikt cię do tego nie zmusza.

- Ona mnie zmusza! - krzyknęła Rozalindą.

180 *Janice Kay Johnson*

- Uważa, że powinnam wyjść za mąż, kupić dom i mieć dziecko. Założyć jakąś fundację. A najlepiej zapomnieć o księgarni.

Wreszcie zaczął rozumieć.

- I uważa, że to ja powinienem być ojcem twojego dziecka. Ze powinniśmy razem wziąć pożyczkę na kupno domu?

- Tak!

Zaniepokoił go jej wygląd.

- No tak... - powtórzył.

- Rozumiesz mnie teraz?! - wrzeszczała. Na razie zrozumiał tylko, że chwila nie jest

odpowiednia na to, żeby się jej oświadczyć.

- Pozwól, że ujmę to najprościej - powiedział jak najbardziej spokojnym głosem. - Ponieważ twoja matka mnie zaaprobowała i przedstawiła nas sobie, jestem ostatnim mężczyzną na świecie, za którego byś wyszła za mąż. Niezależnie od tego, co do mnie czujesz. Tak?

- Tak! Nie! - Rozalindą skuliła się w sobie.

- Och, zupełnie się pogubiłam...

Śliczna panna Rozalindą była bliska płaczu, natomiast przystojny jak diabli Craig zbliżał się do granicy szaleństwa. Co za cholerny galimatias!

- zawył w duchu. Wszystko wskazywało, że ich cudowne wspólne wieczory nic dla niej nie znaczyły. No, może trochę, ale stanowczo zbyt mało, bo była tak pochłonięta sporem z matką, że gotowa była zniszczyć ich uczucie.

Matka wie lepiej 181

- A więc o tym, z kim się spotykasz albo nie spotykasz, decyduje opinia twojej matki?

- Nie! W tym rzecz, że...

- Ale właśnie tak robisz! - krzyknął. - Wprost nie mogę w to uwierzyć! Sądziłem, że zakochuję się w kobiecie, a teraz okazuje się, że pod spodem kryje się dziewczynka, która buntuje się przeciwko swojej mamie.

- To nieuczciwe, co mówisz, to cios poniżej pasa - jęknęła zbolonym głosem. - Ja tylko... w pewnym momencie mojego życia... - Urwała. - Czy powiedziałeś, że się we mnie zakochujesz?

- Tak, powiedziałem - rzucił, jednocześnie zaciskając do bólu palce na kierownicy. - Więc co takiego się stało w pewnym momencie twojego życia?

- Och, już zapomniałam, o czym mówiłam. Aha, otóż w pewnym momencie życia uświadomiłam sobie, że jestem zwykłą... marionetką. Mama uczyła mnie marzyć, a zaraz potem oblewała kubłem zimnej wody. A ja jej na to pozwalałam. Więc teraz muszę ustalić, które fragmenty mojego życia są naprawdę moje, a które tylko skrojone na miarę oczekiwań mojej matki. Czy to jest takie niezrozumiałe?

- Chcesz powiedzieć, że bardziej odpowiadam twojej matce niż tobie?

- Nie! Ale nie mogę się powstrzymać od myśli, że matka udawała wściekłość na ciebie, kiedy

182 *Janice Kay Johnson*

zorientowała się, że przyczyną mojej niechęci do umówienia się z tobą...

- Udawała? - Chyba podpuścił go jakiś diabeł, bo nagle, jakby wbrew sobie, usłyszał własny głos: - Jeszcze chwila, a powiesz, że i ja celowo popełniłem błąd z szafkami, żeby ją maksymalnie wkurzyć, a ciebie zachęcić do tego, żebyś chciała ze mną chodzić.

- Czemu nie, musiałbyś tylko znać cały ten cholerny mechanizm - podchwyciła Rozalinda, po czym nagle umilkła.

Powinien był wypełnić tę ciszę, ale nie zrobił tego.

Głos Rozalindy przeszedł w szept.

- A więc to tak. Specjalnie się pomyliłeś, powiedz?-

Teraz powinien był zrobić malusieńki ruch, a nie walić na całego.

- Okej - podniósł głos. - Zrobiłem to specjalnie. Uznałem, że jeżeli jedynym problemem jest opinia twojej matki, to postaram się to zmienić. Pomyślałem też, że zanim minie jej gniew, będziesz się mogła osobiście przekonać, jaki naprawdę jestem. Czy popełniłem aż tak wielką zbrodnię?-

Wyprostowała się i walnęła prosto z mostu:

- Chyba nie wiesz, co mówisz. Jesteś niewiarygodnie arogancki i cyniczny! Postanowiłeś osiągnąć swoje, manipulując jednocześnie i mat-

Matka wie lepiej 183

ką, i mną! Pomyślałeś, że skoro jesteś tak cholernie atrakcyjny, będę musiała „naprawdę” cię polubić. Czy nie tak to sobie wykombinowałeś?

- To nie było tak...

- Ależ tak! Tylko, jak widzisz, przeliczyłeś się. Moja matka jest zbyt miła, żeby długo się gniewać, a ja zbyt sprytna, żeby się nie połapać w twoich kombinacjach. I wyszło na to, że mamie minął już gniew, a ja „naprawdę” cię nie lubię.

Nie panował nad sobą; wyciągnął ręce i chwycił ją za ramiona. Wyczuł pod palcami jej napięcie.

- Jeżeli rzeczywiście mnie nie lubisz - wycedził - to dlaczego, całując się ze mną, jęczałaś?

Wyrwała mu się.

- Może - odparowała z podobną złością - „naprawdę” cię wtedy lubiłam. Zanim się przekonałam, jakim jesteś draniem! Ale to przeszłość! Proszę cię tylko, żebyś skończył robotę, do której się zobowiązałeś, a potem zejdź mi z oczu!

Wyskoczyła z samochodu, zatrzasnęła drzwi i oddaliła się sztywnym krokiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Intrygująco chropawy głos folkowego pieśniarza umilkł, struny gitary zadrgały i ucichły pod jego palcami, zapanowała kompletna cisza. Dopiero po chwili rozległy się oklaski i gwizdy.

Ludzie wznieśli plastikowe kieliszki z winem i piwem.

Siedząca za kasą Rozalinda powiodła wzrokiem wokoło. Była zadowolona, choć nie było w niej takiej radości, jakiej spodziewała się po tej doniosłej, długo wyczekiwanej chwili. W ciągu ostatniej godziny przewinęło się tutaj wiele osób. Sześć kobiet stało w kolejce po autograf miejscowej powieściopisarki. Drugie tyle już odeszło od kasy ze swoimi zakupami. Pieśniarz ludowy, mężczyzna w średnim wieku, który na co dzień był kierowcą śmieciarki, a wieczorami grał po klubach Seattle, był znajomym znajomych. Nie mogła pojąć, dlaczego ktoś tak utalentowany nie przebywa cały czas w studiu nagraniowym.

Matka wie lepiej 185

Uroczystość otwarcia księgarni zamieniła się w całkiem miłą imprezę, z beczułką piwa i z udziałem autorki znanej tutaj ze swoich czytań, a nie z esejów w „New Yorkerze”. Wieczór okazał się prawdziwym sukcesem. Gdyby nie...

Zabrzęczał dzwonek u drzwi, a kiedy wysoki, ciemnowłosy mężczyzna stanął w progu, serce Rozalindy zabiło mocniej. Ale to był ktoś obcy...

Pomimo tamtego straszego wieczoru i ochłodzenia stosunków, naprawdę sądziła, że Craig przybędzie na jej wielkie otwarcie. Choćby przywiedzie go tu ciekawość, jak wygląda jego dzieło. Ale czy nie powiedziała wyraźnie, że nie będzie mile widziany? - Zejdź mi z oczu - rzuciła mu w twarz. Tak, to były jej słowa, a on się do nich zastosował i nie pokazywał się już od wielu tygodni. Aż do dziś była tak bardzo zajęta, że prawie nie myślała o Craigu. Nie myślała o tym, jak postąpił, i o tym, co mu powiedziała. I co on powiedział:

- Zakochuję się.

W najtrudniejszych, w najokropniejszych momentach dopadał ją jego szorstki głos. Zniesmaczony, zbolący.

Odtworzyła w myślach tamten wieczór. To prawda, że nagadali sobie masę przykrych rzeczy, że wyzwała go od drani i arogantów. Może

rzeczywiście jeszcze nie dojrzała do małżeństwa i do dzieci. Ale czy stosunek dziecko-rodzic nie ewoluuje, nawet gdy oboje są już dorosłymi ludźmi?- Wystarczy spojrzeć, czego dokonała tutaj, w księgarni, a dokonała tego po tym, jak ponownie przeanalizowała swoje dotychczasowe życie. A czy gdyby on przeanalizował swoje, nie dopatrzyłby się rzeczy, które zachwiałyby choć trochę jego pewność we własną doskonałość? Przecież nikt nie jest doskonały!

Kiwnęła energicznie głową. Tak, postąpiła słusznie, nawet jeśli to boli. I to jak boli.

Kiedy tłum się przerzedził, podziękowała muzykowi i wręczyła mu kopertę z czekiem. Cate-ringowiec - jeszcze nie wymyślono żeńskiej formy tego słowa, bo niby jak, cateringówka?! -więc dobrze, cateringówka, czyli kolejna kobieta, która postanowiła wystartować w nowym zawodzie, zebrała tace z resztkami jedzenia i opuściła księgarnię. Rozalinda zamknęła kasę i przez moment radowała się pierwszymi zarobionymi pieniędzmi.

Matka i Penny podzieliły jej optymizm, zapewniając jednocześnie, że dochody wzrosną, gdy jeszcze więcej ludzie usłyszy o jej księgarni.

Na koniec zaczęła zbierać zmięte serwetki i plastikowe kieliszki ze śladami szminki do ust i kubki z resztkami piwa, z którego uciekły bąbelki.

Matka wie lepiej

187

- Nie chcę was zatrzymywać, wracajcie do domu - zwróciła się do siostry i do matki.

Oczywiście Penny szybko na to przystała, ponieważ śpieszyła się do dziecka. Na pożegnanie uściskały się serdecznie, a Rozalinda, patrząc, jaka siostra jest ładna i ożywiona, pomyślała nawet, że nie ma nic złego w tym, gdy człowiek jest szczęśliwy, nawet jeśli pozwala innym sobą sterować.

Zerknęła na matkę. Margaret Kirk otrzepywała ręce nad koszem na śmieci i rozglądała się dokoła z wyrazem konsternacji.

- O czym myślisz? - zapytała Rozalinda.

- Słucham?- - Margaret odwróciła głowę. - Ach, tak. Bardzo to ładne i w dobrym stylu.

Nie wiadomo dlaczego - może ze zmęczenia, może z powodu bólu pod mostkiem, a może z powodu zdziwionego głosu Margaret - słowa matki podziały na Rozalindę jak płachta na byka.

- A myślałaś, że mi się nie uda, prawda?

- Ależ nic podobnego! Skąd ci to przyszło do głowy? wykrzyknęła Margaret. - Nigdy nie wątpiłam w twoje zdolności i wiem, że stać cię na wiele.

- To dlaczego, ilekroć próbowałam coś zrobić, robiłaś wszystko, żeby mnie od tego odwieść?

- O czym ty mówisz?

Wypomnienie matce wszystkiego - a nosiła się

188 *Janice Kay Johnson*

z tym zamiarem milion razy - nie stanowiło problemu.

- Choćby drużyna pływacka. Uwielbiałam pływanie.

Powstrzymałaś mnie, nawet jeżeli zrobiłaś to w delikatny sposób.

Matka cicho jęknęła.

- To wymagało dużo czasu i pieniędzy. Nie było mnie stać...

- A kandydowanie na przewodniczącą w klasie maturalnej?

- Bałam się, że nie wygrasz, a nie chciałam, żebyś się czuła zawiedziona.

- Licencjat z historii?

Zmarszczki na twarzy matki pogłębiły się.

- Sugerowałam jedynie, że lepiej zrobiłabyś, wybierając coś praktycznego.

- Poszukiwanie pracy z dala od Perry Creek?

- Telekomunikacja stanu Waszyngton to pierwszorzędny pracodawca - oświadczyła pani Kirk z dumą w głosie. - Miałam możliwość załatwienia ci pracy na przyzwoitym stanowisku.

- No, a otwarcie księgarni?

- Wiedziałam, że to będzie oznaczało borykanie się z trudnościami

- odpowiedziała Margaret po chwili namysłu.

- A czy walka z trudnościami to coś złego?

- Zdarza się, że tak. - W oczach matki Roza-linda dostrzegła bezbronność, której nigdy dotąd u niej nie widziała. - Życie po śmierci waszego

Matka wie lepiej 189

ojca było jedną wielką walką o przetrwanie. Byłaś mała i nie możesz tego pamiętać. Bieda to ostateczność, to... to... robiłam więc wszystko, żeby cię przed nią uchronić i żeby w przyszłości nie było ci nigdy tak ciężko jak mnie.

- Ale ja jestem w innej sytuacji! - zawołała Rozalinda. - Nie mam dwójki dzieci. Jestem młoda, zdrowa i... i zdolna. Kiedy, jak nie teraz, mam próbować?- Dlaczego mam żyć w wiecznym strachu, że zostanę bez grosza, jak ty kiedyś?

Margaret skurczyła się w sobie. Długo trwało, zanim odwróciła oczy* od córki i lekko pochyliła głowę.

- Masz rację. Życie uczyniło ze mnie tchórza. To moja wina, wcale nie musiałam do tego dopuścić.

Rozalinda poczuła się winna.

- Ależ mamo, przecież dałaś sobie świetnie radę! To znaczy... eee... chciałam powiedzieć coś innego... i nie chcę zrobić ci przykrości, ale błagam, zrozum, że ja muszę robić coś na własną rękę, nawet gdybym miała się sparzyć.

Burzliwa rozmowa z córką i wspomnienie trudnych lat poruszyły Margaret i rozbudziły zepchnięte do podświadomości emocje.

- Kochanie... - Ujęła dłonie Rozalindy. - Kochanie, przecież jesteś moją kopią i myślę, że dlatego usiłowałam zawsze kierować cię na bezpieczne tory. Bardzo dobrze rozumiem twoje

190 *Janice Kay Johnson*

potrzeby i zawsze je rozumiałam. Córeczko, uwierz mi, naprawdę cię podziwiam i jestem dumna z tego, co osiągnęłaś. A jeśli, co nie daj Boże, księgarnia nie spełni twoich oczekiwań... no cóż, przynajmniej nie będziesz mogła sobie zarzucić, że nie spróbowałaś. I może, w ostatecznym rozrachunku, to jest to, co naprawdę się liczy.

Objęła matkę i mocno ją uścisnęła. Po raz pierwszy w kontakcie z nią poczuła się naprawdę dorosła.

Kiedy się odsunęły od siebie, każda miała łzy w oczach.

- Craig nie przyszedł - usłyszała własny zrozpaczony głos Rozalinda.

- Zauważyłam - przyznała rzeczowo Margaret, za to z wyrazem współczucia na twarzy. - Rozstaliście się w gniewie?

- Obawiam się, że to moja wina. Ale on... no właśnie, zrobił coś, co... - Urwała, odetchnęła głęboko. - Chcesz wiedzieć, co tak naprawdę zrobił?

Kiedy Margaret przytaknęła ruchem głowy, Rozalinda opowiedziała całą historię.

- Celowo zrobił za duże szafki do mojej kuchni?- - powtórzyła jak echo Margaret, w chwilę później wydała dziwny dźwięk, który przypominał czkawkę.

Rozalinda z przerażeniem stwierdziła, że jej

Matka wie lepiej 191

matka chichocze, a po kilku sekundach wręcz trzęsie się ze śmiechu.

- Mamo...

- Och, kochanie! Rzecz w tym, że i ja zdałam sobie sprawę z tego, na czym polega twój problem, więc skorzystałam z pretekstu i wściekłam się na niego. Ale że i on się zorientował, w czym rzecz, i naumyślnie mnie wkurzył... no nie... co za pomysłowy człowiek.

- Tak, tylko że po tym wszystkim mnie znienawidził - załkała Rozalinda. - Powiedział, że nie jestem kobietą*; tylko małą dziewczynką, która ciągle walczy o lepsze ze swoją matką. Wiem, że mógł odnieść takie wrażenie! Ale ja nie jestem taka! - Świeże łzy napłynęły jej do oczu. - Ja go kocham!

- No to zrób coś z tym - orzekła stanowczym głosem matka. - Tylko - spojrzała na zegarek - nie w tej chwili. Przypuszczam, że o drugiej w nocy śpi w najlepsze. Wracajmy do domu i też się prześpijmy. Rano pomogę ci tu posprzątać. Obiecuję. Rozalinda pociągnęła nosem.

- Dziękuję. Ale... co mam zrobić? Po tym, co mi powiedział...

- Myślę, że wystarczy się nagrać i zostawić mu miłą i szczerą wiadomość. Albo, jeśli wolisz, poszukać go w miejscu nowej pracy. Powiedz mu przy okazji, że postanowiłam gardzić nim w nieskończoność, a więc on wciąż jest w grze.

192 *Janice Kay Johnson*

Margaret oczekiwała od niej poczucia humoru... Właściwie słusznie. W końcu to wszystko jest naprawdę zabawne! Jak na zawołanie obie wybuchnęły śmiechem.

Jutro, pomyślała Rozalinda. Jutro zawsze jest inne niż dziś.
- Kocham cię, mamó - powiedziała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stojąc w ciemności i oglądając przyjęcie przez jarzący się światłem wykusz okienny, Craig czuł się jak idiota albo jak jakaś sierota, w której obecności szczęśliwa rodzina otwiera i ogląda prezenty pod bożonarodzeniowym drzewkiem.

Początkowo myślał, że gdyby na uroczystym otwarciu księgarni nie pojawili się goście, Rozalinda mogłaby się chcieć wypłakać na jego ramieniu. Potem naprawdę cieszył się z jej sukcesu, nawet gdy poczuł się niepotrzebny, z uwagi na to, że goście zjawili się tłumnie, bawili się świetnie, a roześmiana Rozalinda prawie nie odchodziła od kasy. Choć z drugiej strony czy z faktu, że urządziła imprezę według jego sugestii - dobra muzyka, popularna autorka, znajomi, masa przekąsek - nie wynika, że jednak, co podejrzewał od samego początku, Rozalinda ma upodobania podobne do jego i wcale nie należy do tych kobiet, co

194 *Jankę Kay Johnson*

to tylko kwartet smyczkowy, wino i temu podobne snobizmy? Po półgodzinnym staniu zrezygnował i wrócił do domu, pochodzącego z lat dwudziestych dwudziestego wieku bungalowu, niewiele różniącego się od domu matki Rozalindy, w starej części Perry Creek. Kiedy zaczął chodzić z Rozalindą, spojrzał na dom jej wzrokiem i postanowił dokonać w nim poważnych zmian, ale po tym, co się stało, odłożył to na... Cóż, było mu wszystko jedno.

Dzisiaj po powrocie rozwalił się w fotelu i nawet nie sięgnął po pilota. Nawet nie poszedł do kuchni po piwo. Nie chciał piwa ani jakiegoś hałaśliwego serialu komediowego. Tęsknił za zapachem bzu i fiołków.

Ze też tak bardzo zraził do siebie Rozalindę! Przecież mógł tamtego wieczoru załagodzić sytuację. Wystarczyło powiedzieć, że ją rozumie. Rodzice, choćby i najukochańsi, potrafią być okropni, sam mógłby coś o tym powiedzieć!

Nie musiał mówić, że jest dziecinna, ale doszedł do tego wniosku dopiero po głębszym przemyśleniu i przeanalizowaniu jej relacji z matką. Uznał nawet, że determinacja, z jaką Rozalindą stawia na swoim, dowodzi siły jej charakteru.

Zdegustowany, położył się do łóżka. Nazajutrz w ponurym nastroju udał się do pracy, gdzie wszystko szło jak po grudzie, a szczytem wszyst-

Matka wie lepiej 195

kiego była przepychanka z klientem, który nie chciał uiścić końcowego rachunku, twierdząc, że robota została spaprana, co było nieprawdą.

Zmęczony i w wielce ponurym nastroju wrócił do domu. Dzisiaj strzeli sobie piwo. Może nawet wleje w siebie cały sześciopak. Niewiele brakowało, a wyłączyłby czerwony guzik i nie wysłuchał nagranych wiadomości telefonicznych. Odebrał jedną, drugą...

- „Cześć” - rozległ się cichy i niepewny głos Rozalindy. - „Chciałabym tylko, żebyś wiedział, że przemyślałam pewne sprawy i że odbyłyśmy z mamą poważną rozmowę, po której zrozumiałam, jak bardzo mi zależy, żeby zatańczyła na moim weselu”.

Koniec. Kropka. Craig wpatrywał się w aparat. Do licha, o co tu chodzi?

Chce, żeby pani Kirk zatańczyła na weselu swej córki, czyli ślicznej Rozalindy?- Czy to jakiś czarny humor? Skupił się maksymalnie, a kiedy dotarło do niego, że właśnie usłyszał to, na co od dawna czekał, poderwał się na równe nogi.

W rekordowym tempie wziął prysznic, ubrał się i wypadł z domu. Ponieważ przed domem Margaret nie było samochodu Rozalindy, pognął do księgarni. Było już po godzinach pracy, ale w pomieszczeniu, które służyło za biuro i za magazyn, paliło się światło. Objechał budynek, zaparkował w zaułku

i zapukał do ciężkich stalowych drzwi, które służyły za tylne wejście.

Po chwili ciszy drzwi uchyliły się na tyle, na ile pozwalał łańcuch.

- Tak? Och... Jedną chwileczkę.

Z mocno bijącym sercem czekał, aż zamknie drzwi i zdejmie łańcuch.

- Zachowałem się jak idiota - powiedział, przekraczając próg i zamykając za sobą drzwi.

Rozalinda nie dała mu dokończyć.

- Nie, to ja zachowałam się jak idiotka! Ja też byłam w trakcie zakochiwania się w tobie, ale tak bardzo skoncentrowałam się na tym, co myśli i czego chce moja matka, że wszystko zniszczyłam! Przepraszam! Wybaczysz mi?

- O ile ty wybaczysz mnie - powiedział wzruszonym głosem i wyciągnął do niej ramiona. - Boże, jak ja za tobą tęskniłem!

Rzuciła się w jego objęcia, a on zanurzył twarz w jej włosach i napawał się zapachem cytryny, podobnym do torcika cytrynowo-bezowego, jaki robiła jego mama od wielkiego święta.

- Pewnie jest na to jeszcze za wcześnie - wyszeptał - ale... czy wyjdiesz za mnie za mąż?

Rozalinda podniosła głowę i choć po jej policzkach spływały łzy, roześmiała się serdecznie.

- Jest za wcześnie, ale... tak. Och, tak!

Jej wargi miały niewiarygodnie słodki smak. Wtopiła się w niego jak dawniej, a po chwili jęknęła cicho; to był ten rodzaj jęku, który zapamiętał i który doprowadzał go do szaleństwa.

Przyparł ją do ściany, chwycił za pośladki, żeby ją mieć jak najbliżej siebie, ale już po chwili zdrowy rozsądek podszeptał mu, że to nie jest sposób na miłość z kobietą, którą naprawdę kocha.

- Nie - mruknął i odsunął się, chociaż wiele go to kosztowało. - Jesteś pewna, że nie uznasz tego za kolejny sukces mamy w roli swatki?- Mamy?

- Tak, mamy - powtórzył cierpliwie, widząc, że Rozalinda jest lekko oszołomiona ich pocałunkiem i tym, co miało nastąpić, a z czego się wycofał. - Kobiety, która cię wychowała.

Wracając do rzeczywistości, Rozalinda skrzywiła się trochę.

- Hm, no tak, może się zdarzyć, że czasami przyjdzie mi taka myśl do głowy. I wiem, że to jest dziecinne, ale...

- Wszyscy jesteśmy dziecinni, gdy chodzi o naszych rodziców.

Kiedyś ci opowiem, jakie walki toczę z własnym ojcem.

- Naprawdę? Och, Craig, nie wiedziałam i nie chciałam...

- To nic groźnego. Kiedyś ci o tym opowiem.

- Ja też mam ci wiele do opowiedzenia. Uśmiechnął się i znów ją pocałował, tym razem lekko.

198 *Janice Kay Johnson*

- Umieram z głodu. Możemy porozmawiać podczas kolacji. Co ty na to? - Po chwili uśmiechnął się szeroko. - A co się tyczy twojej matki, jestem pewny, że zrozumiałaś coś bardzo ważnego.

Uświadomiłaś sobie, że pewnego dnia będziesz miała własne dzieci.

Rozalinda przechyliła na bok głowę.

- I?

- No i będziesz chciała, żeby uważały, że mama wie lepiej. Mam rację?

Kaskada śmiechu podziałała na niego jak cudowny balsam.

- W tym przypadku - powiedziała Rozalinda, marszcząc nos - mama naprawdę wie lepiej. Tak, to prawda, choć przyznaję to z wielkim bólem!

Early Margot

Kuchnia duszy

Dany pracuje jako kelnerka, a wieczorami śpiewa w lokalach. Komponuje smutne piosenki, opisując swoje nieudane życie. Nie dostrzega sympatycznego mężczyzny, który chętnie zaraziłby ją optymizmem....

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dotknij mnie

Deptak w Venice *1,

Gabe Lucero był przy tym, kiedy marynarz zapytał Dany, czy nie popłynęłyby z nim w rejs dookoła świata.

Działo się to przed Rolleramą w Venice, na deptaku przy kiosku z wypożyczalnią wrotek w słoneczne kwietniowe popołudnie, kiedy w zatoce Santa Monica morska bryza tworzy na falach białe grzywy.

- Rozmawiałem z Jakiem - powiedział marynarz, balansując ciałem. - Zabierzesz się z nami. Popłyniesz dookoła świata?

Z deptaka przy Ocean Front Walk dochodziły różne dźwięki. Gorące rytmy kapeli reggae grającej pod gołym niebem niedaleko umocowanych

1 Wszystkie podtytuły są tytułami piosenek Jima Mor-risona. (Przyp. tłum.)

202 *Margot Early*

na stałe parasoli, miejscu spotkań bezdomnych. Szum łyżworolek na betonie. Zachwalający swój towar Mędrzec - jeden z tutejszych pijaczków, usiłujący opylić miniodtworacz, znaleziony w wielkim kontenerze na śmieci. Brzęk łańcucha wyciągowego kolejki linowej. Ogłupiałe piski i krzyki pasażerów, kiedy wagoniki mijały najwyższy szczyt pierwszego wzniesienia i zaczynały lecieć z wysokości dwudziestu pięciu metrów. I muzyka z głośników wrotkami. Muzyka The Doorsów. Prawie zawsze. Z drugiej strony deptaka i wieżyczki ratownika uderzały o brzeg plaży fale, i Gabe, jeśli nadstawił ucha, też mógł je słyszeć.

Ale żadne dźwięki Venice nie zagłuszyły słów wypowiedzianych przez faceta siedem metrów od miejsca, gdzie wypożyczało się wrotki.

Gabe oparł się na drabinie, przyklejając na gorąco brakujące kamyczki mozaiki, która tworzyła łuk nad podwójnymi drzwiami do wrotkar-ni. Drzwiami prowadzącymi na teren pod kolejką górską do najstarszej wrotkami na wybrzeżu - Rolleramy w Venice - albo, jak głosił wiecznie poprawiany i przerabiany napis - „Venice TO Rollerama”.

„Zabierzesz się z nami?”

Musiał spojrzeć na dół i na nich.

Obejmowała faceta za szyję i całowała go. Migdałiła się z nim.

Kuchnia duszy 203

Odwracając się i siadając na szczycie drabiny, Gabe obserwował. Lubił pochylać się nad kobietami w taki sam sposób, w jaki ten gość zniżył głowę nad Dany. Lubił czuć język kobiety. Wyobraził sobie oczy Dany, które były w kolorze whiskey, a także jej wyrazisty głos i nieschodzącą z ust poezję, której słowa były równie mocne i celne, jak ogień artyleryjski. Ustała kwietniowa bryza, a w nim wzburzyła się krew. Przełożenie ręki, w której trzymał pistolet do kleju, zatuszowało problem. Kiedy Dany przestała całować faceta, kiedy jej oczy hagle napotkały jego wzrok, Gabe powiedział:

- To obrzydliwe. Nie moglibyście robić tego gdzie indziej¹?

Marynarz ostentacyjnie położył rękę na ramieniu Dany.

Keale. Tak się nazywa. Keale Johnson z wielkiej hawajskiej wyspy. Zatrzymał się w porcie, gdzie buduje łódź w stoczni jachtowej zaraz za torem wyścigowym. Dany często tam bywa. Tą łodzią Dany wypłynie z Keale'em z Venice i opłynie cały świat. Gabe pierwszy się o tym dowiedział.

Wrócił do mozaiki, wpasowując jaskrawożółty kamyczek w literkę „r”. Krzykliwe liternictwo tworzyło słowa:

Są rzeczy znane i nieznanne, a pomiędzy nimi drzwi - Jim Morrison, 1943 - 1971

204 *Margot Early*

Właścicielka wrotkami, matka Dany, zleciła wykonanie mozaiki trzy lata temu, a w tym roku poprosiła o odnowienie jej. Trochę kamyczków ukradziono, inne pospadały.

Dał się słyszeć cichy, nieco zaczepny gwizd i Pooch, Królowa Plaży Venice z parady gejów w 1997 roku, śmignął obok na łyżworolkach i charakterystycznym gestem pokiwał Gabe'owi palcami.

Gabe uśmiechnął się z pobłażaniem i wrócił do przyklejania kamyczków.

„Zabierzesz się z nami? Popłyniesz dookoła świata?”

Mógł mieć Dany. A mieć Dany, to jakby zerwać polnego dmuchawca. Ale dmuchawce potrafią się rozpanoszyć. Dany była takim chwastem- silnym, dzikim, dominującym, wszechobecnym. Pozwól takiej wsadzić sobie język do ust, a rozprzestrzeni się i zawładnie człowiekiem.

Gabe wolał jednoroczne rośliny. Miłe, wdzięczne, nieagresywne bratki i cynie, które znają swoje granice i nie rozrastają się poza rabatki, i nie pojawiają się nieproszone co sezon.

Gdzieś niedaleko coś zaskrzypiało. Nie był dzisiaj jedynym malarzem na deptaku przy Ocean Front Walk. Robotnicy bielili drewnianą konstrukcję Gondoliera - kolejki górskiej, której kolorowy neon przedstawiający weneckiego przewoźnika górował nad deptakiem.

Przy Rolleramie

Kuchnia duszy 205

na pomostach zawieszonych na linach pracowali malarze.

Przetoczyły się wagoniki, zakołysały się i zachwiały na zakręcie, pasażerowie wrzasnęli jak jakiś chór ćwiczący jedną nutę.

Gabe zabrał się do pracy. Skupił się na niej.

Dany czuła się pusta wewnątrz. Wyjałowiona.

Czekała na taką okazję; chciała się wydostać z Venice i zacząć życie, jakie się marzy każdej trzydziestoletniej starej pannie z Venice. Niejeden raz wyobrażała sobie, że jakiś wspaniały mężczyzna proponuje jej rejs dookoła świata. Czekała na tę ekstatyczną chwilę i wiedziała, jak zareaguje, i tak też zrobiła, kiedy zarzuciła ramiona na szyję Keale'owi.

Kolejka Gondolier przetoczyła się nad jej głową z ogłuszającym rykiem, rozsiewając zapach elektryki, oleju napędowego i rozgrzanego metalu.

Kiedy odjechała, Keale zapytał:

- Chcesz kawy?

Kawiarnia „Common Grounds” znajdowała się dwa kroki stąd, zaraz za Salonem Tatuażu.

- Chętnie.

Podeszli tam, a on nie zapytał, jaką kawę ma jej zamówić, ponieważ wiedział. Jego jasna głowa i wysoka sylwetka górowały w tłumie na deptaku przy Ocean Front Walk. Miał niebieskie oczy

206 *Margot Early*

i brodę, był zawsze opalony i seksowny, i prawie zawsze pakował się w tarapaty. Dany wiedziała, że został wywalony z pracy w agencji federalnej National Park Service. Podobno złapał kłusowników w Parku Narodowym Hawajskich Wulkanów i podzielił się z nimi świnią, urządzając przyjęcie w służbowym budynku parku. Nic dziwnego, że nigdzie długo nie zagrał miejsca. Ale teraz pracuje w stoczni i zabierze Dany z Venice.

Tym razem stąd wyjedzie.

Popatrzyła do góry na Gabe'a, przyklejającego kolejny kamyk do mozaiki nad drzwiami. Na pobliskiej ścianie widniał mural z okładką pierwszego albumu The Doorsów, a w poprzek nabazg-rany czerwonym sprayem napis: „Tu spał Jim Morrison”. Rokrocznie czyjeś anonimowe ręce coś tu majstrowały. Gabe przysięgał, że to nie on - chociaż był pierwszym, który to napisał na długo przed tym, zanim namalował mural. Namalował i ułożył z kamyków wszystkie murale i mozaiki w Venice. Jeszcze cztery lata temu działał jako publiczny obrońca praw, ale ponieważ notorycznie nie stawiał się w pracy, stracił robotę. Nie dlatego, żeby był nieprzystosowany, ale dlatego, że miał dobre serce i był lojalny, a wszystko, co robił, wynikało z miłości do brata i siostr. Był na każde ich zawołanie, chodził do szkoły i interweniował, gdy w dzienniczku było

Kuchnia duszy 207

wezwanie, a to za przyniesienie broni do szkoły, a to za narkotyczny trans podczas godzin lekcyjnych. Nigdy ich nie zawiódł.

To była zaleta u mężczyzny. Na Gabie można było polegać.

Niestety, był też jak ogień, którego, jak wiadomo, lepiej nie dotykać. Dany nigdy nie odważyła się włożyć ręki w płomień. Gabe mógłby ją rozhartować, przykuć do miejsca, podobnie jak dotknięcie innego ognia przykuło tutaj w kwietniu 1966 roku jej matkę. Poza tym Gabe nietakazywał nigdy zainteresowania Dany. Byli kumplami od ponad dwudziestu lat, ale nigdy nie wyszli poza trzymanie się za ręce we wrotkami. Gabe nigdy nawet nie otarł się o jej ramię, podobnie jak nigdy nie dotknął jej biodrem, kiedy siedzieli obok siebie, a wagonik kolejki górskiej leciał na łeb na szyję. Nie dotknął jej nigdy, kiedy surfowali na deskach blisko plaży Redondo czy Hermosy. Nawet kiedy z nią tańczył na ulicznych imprezach na deptaku przy Ocean Front Walk, nawet kiedy się zataczała pijana, Gabe nigdy jej nie dotknął.

Nie sądziła, że to on bał się sparzyć.

Miała dwadzieścia jeden lat, kiedy wyszła za mąż i przeniosła się do Laguna Beach. Miała dwadzieścia cztery, kiedy porzuciła męża i jego rodzinę. Mając dwadzieścia sześć znów wylądowała w Venice, gdzie od pięciu lat brała sobie

208 *Margot Early*

kochanków - takich, jakich można znaleźć w Venice - a Gabe nigdy jej nie dotknął. Stojąc w cieniu kiosku, gdzie wypożyczano wrotki, i czekając na Keale'a i na podwójne cappuccino, na poczekaniu ułożyła i zapisała w notesie coś, co mogło być zarówno wierszem, jak i piosenką.

Maszt na wietrze stoi Kto masztem być się nie boi-Maszt bądź się zegnij, bądź złamie. Jeśli ja się nie ugnę, chyba się załamie Gdy wiatr wieje, nikt nie zgadnie co się w końcu z masztem stanie

Trzy pannice lizały lody na plaży przed Salonem Tatuażu. Zjawiały się co dzień, ubrane w minispódniczki i streczowe topiki na cienkich ramiączkach, i przyglądały się, jak Gabe przykleja kamyczki do łuku nad drzwiami, naprawiając i odświeżając mozaikę. Nie były miłośniczkami sztuki, chyba żeby za dzieło sztuki uznać Gabe'a.

Dany spojrzała na zegarek. Wszystkie wypożyczone łyżworolki należało zwrócić do wpół do szóstej. Rollerama otwiera się po zachodzie słońca. Wtedy rolkarze i ludzie, którzy chcą zobaczyć murale z kolorowych kamyczków wewnątrz, płacą swoje cztery dolary i walą tłumnie do środka. Janis Joplin daje ci kawałek swojego serca,

Kuchnia duszy 209

a Grace Slick szuka kogoś, kogo mogłaby pokochać. The Doors ofiarowują dwukrotnie swoją miłość, a właściwie milion razy, gdyż misterium The Doorsów w Rolleramie i w życiu Dany, która naprawdę nazywała się Dandelion Morrison Wilde ², odbywało się każdego wieczoru.

Kiedy Gabe zszedł z drabiny i patrzył spod przymrużonych powiek na mozaikę, Dany starała się nie gapić na niego. Czarne włosy sięgały mu do ramion. Był wysoki, szczupły i umięśniony. Wychował się w złej dzielnicy niecały kilometr stąd. Jego matka, na^okrągło pijana i naćpana, zarabiała na swoje dzieci i nałogi wszelkimi możliwymi sposobami. Jego ojciec pochodził z Karaibów i był bezwzględny, wstrętny gadem ze skłonnością do młodych chłopców. Dany miała powody przypuszczać, że Gabe mógł być dawno temu jedną z jego ofiar. Najstarsza siostra Gabe'a połknęła i popiła whiskey całą zawartość butelki paracetamolu, kiedy Gabe miał dziewiętnaście lat.

Obecnie trójka jego przyrodniego rodzeństwa co jakiś czas panoszyła się i grasowała w jego mieszkaniu niczym karaluchy, a on nigdy by nie opuścił Los Angeles i nie zostawił ich, zanim nie dorosną, jeżeli w ogóle.

Jego bary zawsze przyciągały jej wzrok. Tak

²Dandelion znaczy po angielsku dmuchawiec polny; Morrison na cześć Jima Morrisona. (Przyp. tłum.)

210 *Margot Early*

powinien być zbudowany mężczyzna. Widziała go w garniturze i krawacie, kiedy jeszcze pracował jako obrońca publiczny. Odkąd go wylali, zaczął nosić srebrny kolczyk w lewym uchu, a teraz ubierał się wyłącznie w luźne krótkie podkoszulki bez rękawów, rozmaite workowate szorty, sportowe skarpety i adidas.

Ugięty maszt kurs utrzymuje łodzi

A mój azymut jakit

A niby dlaczego nie upaść

I żagli nie zamoczyć w fali

Wpadając w dryf póki nie utonę

Sięgnął po plastikowy kubek, w którym - wiedziała to - miał cappuccino z „Common Grounds”. Dany zamknęła notes, wychyliła się zza wypożyczalni łyżworolek, żeby poprawić wydziergane na szydełku kostiumy bikini, którymi obwieszony był pawilon od zewnątrz. Produkowały je kobiety na wyspie Bali, a Dany kupowała je od kochanka matki, który każdego roku wyprawiał się na południowy Pacyfik, a nawet dalej, i sprzedawała je po sześćdziesiąt dolców jak leci. Jeden z wielu sposobów powiększania konta na czarną godzinę.

Teraz te uciulane pieniądze będą jak znalazł. Keale zabiera ją stąd, więc spróbowała wyobrazić sobie, tym razem zupełnie serio, jak to będzie,

Kuchnia duszy 211

kiedy opuści miejsce, które tak pokochała jej matka. Keale złowi coś na śniadanie, a ona to ugotuje i zostaną kochankami. Keale ma poetycką duszę i jest nieskomplikowany. Jego iloraz inteligencji jest o dwadzieścia punktów niższy, niżby chciała, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

- To naprawdę romantyczne, Dany. Popłyniesz z nim dokoła świata?

Gabe wytrząsnął resztki z plastikowego kubka i podszedł do niej, kiedy przysiadła na jednym z kozłów do piłowania drewna, odgradzających teren, gdzie w górze robotnicy malowali szkielet kolejki.

- Pewnie, że popłynę. - Cień jej fryzury na betonie miał kształt mopa. Właśnie wczoraj kazała sobie rozjaśnić pasemka. Jeszcze tylko dzięki nim nie wyglądała prawie identycznie jak ciem-nooki mężczyzna o zapadniętych policzkach na muralu za jej plecami. Pomyślała, że może Keale chce ją zabrać ze sobą ze względu na nowy kolor włosów.

- Jestem tego bardzo ciekaw. Myślę, że swoją obecnością umilisz mu podróż.

- Będzie zachwycony - spiorunowała wzrokiem Gabe'a.

- Tak myślałem. - Postanowił zmienić temat. - Grasz dzisiaj - Dany nie tylko pomagała matce w Rolleramie, obsługiwała również stoliki

212 *Margot Early*

w „Whole Earth Cafe”, grała i śpiewała w „Com-mon Grounds” i w innych kawiarniach i barach Venice.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy ktoś krzyknął i Gabe podniósł głowę.

W jednej chwili jego ręka zamknęła się na jej ramieniu jak płonąca obręcz, szarpnęła ją i pociągnęła na nagrany słońcem deptak, gdzie Dany o mały włos nie zabiła przejeżdżającego na łyżworolkach chłopaka, potknęła się i zachwiała, aż wylądowała na piersi Gabe'a z nosem pod jego brodą i wargami na jego szyi. Dotykała go... Och, dotykała Gabe'a.

Dopiero kiedy coś huknęło o beton, dotarło do niej, że z góry spadł jeden z pomostów, a biała farba rozprysła się i upała twarz Jima Morri-sona. Tylko oczy pozostały nienaruszone. Oczy takie jak Dany.

Czuła rozkoszne mrowienie na ciele. Ręce na jej gołych ramionach były bezcielesne i przytrzymały ją od dłuższego czasu.

On mnie dotyka.

Nie śpieszy się, żeby je zdjąć. Może nie wie, co się z nią dzieje. Może nigdy nie będzie wiedział.

Był za nią. Nie mógł widzieć jej twarzy, ale kiedy powiedział: „Witaj”, wiedziała, co ma na myśli.

Właśnie dostrzegł w niej kobietę. Na tyle, na ile się orientowała, to jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

Kuchnia duszy 213

Chyba że pierwszy raz zapragnął to wyjawic. Jeśli tak, to dlaczego?

Przełknęła ślinę i wyluzowała.

Wszystko to sobie wyobraziłam, pomyślała.

Ale rozwalony pomost był prawdziwy. Nikogo na nim nie było.

Pod nim, dzięki Gabe'owi, na szczęście też nie było nikogo.

- To się nadaje do sądu - odezwał się za nimi głos, a jego właścicielem był Jake Donahue, olbrzymi mężczyzna, kochanek jej matki, który kładł się cieniem na życiu Dany.

Drugi pomost zjechał powoli na dół, a Dany odskoczyła za budkę z wrotkami. Przytaknęła głową Jake'owi i napotkała wzrok Gabe'a.

Niczego sobie nie wyobraziła.

Już był czas, żeby Jake się pojawił. Keale Johnson pracował dla Jake'a. Instytut Badań Morskich w Santa Barbara sponsorował wyprawę. Ponieważ Jake pilotował projekt, Keale zapytał Jake'a, czy Dany mogłaby opłynąć z nimi świat.

Jake znał ją i Gabe'a od dziecka.

No dobrze, zobaczył, że patrzemy na siebie, i co z tego¹? - pomyślała.

Tylko jeden dotyk. Tylko jedno słowo.

Ale chwilę potem, kiedy spostrzegła Keale'a, który zbliżał się z jej kawą, czuła jeszcze dotyk Gabe'a i zastanawiała się, czy to miejsce nie

214 *Margot Early*

będzie bolało w nocy jak oparzenie słoneczne. Nawet na pewno.

Keale odprowadził ją spacerkiem do baru przy Kanale, gdzie grywała na gitarze elektroakustycznej gibson 160-E. Tworzyła jednoosobową kapelę damską z własnym repertuarem. Występowała jako Dmuchawiec Polny, co niektórym dziwnie się kojarzyło, i nie przepuściła okazji, by przypomnieć matce, że Jim Morrison nie grał na instrumencie. Jenny zawsze powtarzała: „On był poetą”, stawiając kropkę nad i, ponieważ Dany też była poetką. W pijackie wieczory też była dumna jak Jenny z tego, że Jim Morrison przestał uczyć się muzyki, kiedy był jeszcze dzieckiem.

- Wpadniesz dzisiaj do doku i

Keale spał na pokładzie dżonki Jake'a w Marina del Rey.

- No, może... - Wyjedziesz tym razem, Dany. Wyniesiesz się stąd naprawdę i od razu poczujesz się silniejsza, lepsza i szczęśliwsza.

Mijali pannę Buffy, starą kobietę, która grzebała w pojemnikach na śmieci. Dany już chciała się z nią przywitać, lecz inny widok przykuł jej wzrok. Ginger i Celeste przeszukiwały ten sam teren. Na widok Dany Ginger natychmiast udała, że znalazła się w zaułku przez przypadek. Złapała trzyletnią córeczkę za rękę i odeszła, mówiąc do małej Celeste:

Kuchnia duszy 215

- No chodź, skarbie.

Dany obsługiwała Ginger i Celeste w „Whole Earth Cafe”, kiedy przychodziły i zamawiały jedną kawę po to, żeby móc skorzystać z czystych toalet. Dany nie znała historii Ginger, wiedziała tylko, że ta jasnowłosa kobieta ma uroczy uśmiech, kiedy patrzy na swoją małą, i że kąpią się codziennie pod prysznicami przy deptaku.

Nigdy wcześniej nie widziała, by grzebały w śmieciach.

To nie mój problem.

To była tutejsza mantra, konieczna w Venice, jeśli się nie chciało postradać zmysłów. Keale też je zauważył.

- Chciałaś mi coś powiedzieć. Przypomniała sobie, co chciała wyjaśnić, ale to już przestało być takie ważne.

- Nie chciałabym, żebyś niewłaściwie odczytał tamten pocałunek - powiedziała mimo wszystko.

- Nie ośmieliłbym się być aż tak bezczelny. Wsadziłaś tylko język do mojego gardła. Co przy okazji sprawiło mi przyjemność.

Przyznała mu parę dodatkowych punktów w skali IQ.

- Nazywam się Dmuchawiec Morrison Wilde i jestem alkoholiczką.

- Wiem, Jake mi powiedział.

Keale Johnson był porządnym chłopakiem,

216 *Margot Early*

który zaprosił ją w podróż dookoła świata. To była okazja, żeby zakochać się w kimś bardziej poważanym niż Kevin, Który Trzyma Węże - facet z drugiego piętra domu, w którym mieszka Gabe, czy Howie Kulturysta albo Mike Ratownik, którego jedyną prawdziwą wadą, jeśli spojrzeć na to od tej strony, był jego biseksualizm. Mężczyźni Venice!

Keale uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jake uważa, że to dziedziczne - powiedział, mając na myśli jej alkoholizm.

To nie było ani trochę zabawne.

Dotarli do Kanału i Dany przystanęła. Ręką, w której nie trzymała futerału z gitarą, dotknęła zarośniętej brody Keale'a.

- Popłynę twoim żaglowcem, tylko do reszty nie stracimy głowy, zgoda«? Jestem dla ciebie zbyt prostacka.

W jego oczach koloru morza pojawiło się zainteresowanie.

- No nie, tego jeszcze nie słyszałem.

Keale został na pierwszej części jej występów, potem wyszedł. Wszyscy oglądali mecz bejsbolowy, ale Dany przyciągała ich oczy i uszy.

Godzimy się na kłamstwa Zgadzamy się na mniej i mniej aż nic nie zostanie do stracenia.

Kuchnia duszy 217

Wyśpiewywała słowa między akordami, między rytmami rwącej muzyki.

Dziecinne marzenia i żabki baśniowe, fosę przepłynęłam, a księżę umknął i tak.

Grała i śpiewała do drugiej w nocy, po czym powędrowała do domu. Nie bała się iść sama, a gdyby ktoś spróbował ruszyć jej gitarę, zabiłaby.

Do wrotkami można było wejść z dwóch stron - od zaułka i frontowymi drzwiami. Teraz zaułek opanowali pijacy, snujący się, przewracający, przeklinający i zaczepni, wyobcowani nawet wśród swoich. Ginger i Celeste musiały znaleźć sobie lepsze miejsce do spania.

W ciemności na balkon budynku naprzeciw miejsca, gdzie znajdowały się umocowane na stałe parasole, a gdzie teraz zgromadzili się włóczędzy i bezdomni, wyszedł mężczyzna.

Wysoki, szczupły, bez koszuli. Dany policzyła piętra i pomachała do niego. Mężczyzna oparł ręce na balustradzie, a wiatr od oceanu rozwiewał jego kruczoczarne włosy. Sądziła, że ją dostrzegł, ale on nie odwzajemnił powitania, a odległość między nimi wynosiła dwa piętra i setki metrów pożądania, oczywiście tylko z jej strony.

218 *Margot Early*

To jego „Witaj” nic nie oznaczało. Zaśpiewała cichutko do siebie:

Dziecinne marzenia i żabki baśniowe, fosę przepłynęłam, a księżę umknął i tak.

Kiedy, przyciskając futerał z gitarą, przecinała deptak, z mroku wypadła zjawka na łyżworolkach. Nie uniknęłyby zderzenia, ale postać wyminęła ją z akrobatyczną wprawą i zniknęła w ciemnościach. Przez chwilę słychać było jeszcze zniekształconą muzykę ze słuchawek.

Zaskrzypiały drzwi. Scooter, konserwator wrotkami, polewał wężem bruk. Właśnie Dany włożyła klucz do zamka, kiedy usłyszała kroki. Ktoś deptał jej po piętach, więc wykonała pół obrotu i spojrzała za siebie.

- Ty suko. - To była Rhondą, jedna z kobiet koczujących pod parasolami. Tleniona blondynka z dreadami, w dżinsach oberwanych do kolan, bosa i z czerwonymi śladami na gołych ramionach. Cpunka. Dany znała ich wszystkich - ich imiona i zwyczaje, i trochę opowieści z ich życia, bo byli tam zawsze, codziennie, tak jak ocean. Rhondą zachwiała się na nogach, kurczowo przyciskając do piersi butelkę w papierowej torbie.

Kuchnia duszy 219

- Ty suko, powtórz im, co powiedziała Rhonda. Powtórz im.

- Jasne.

- Nie zadziera się z Rhondą, słyszysz¹? Klucz przekręcił się i drzwi ustąpiły, a Dany wyczuła po drugiej stronie obecność pitbulli matki.

Wsunęła czubek wysokiego do kostki buta nike, żeby uchylić drzwi tylko tyle, by wejść, nie dotykając niczego.

- Ta suka dobiera się do mojego chłopca! Nikt nie zadziera z Rhondą! Powtórz im, co powiedziała ci Rhonda.

- Okej. Dobranoc, Rhondą. - Dany wyjęła klucz i wślizgnęła się do ciemnego pomieszczenia, gdzie stały kolorowe automaty do gry we flippera, a w rogu, blisko baru, gry wideo. Od rzędu okrągłych plafonowych lamp i wielobarwnych jarmarcznych światełek przy barze utworzyła się fosforyzująca poświata na tyle jasna, że widać było murale i zdjęcia na ścianach, które przyciągały turystów i rolników z deptaka do Rolleramy.

Jimi Hendrix. Bob Dylan.

Janis Joplin ze słowem „perła” wypisanym poniżej jej...

W środku pachniało jeszcze prażoną kukurydzą. Matka zawsze zostawiała klucz w zamku od

220 *Margot Early*

wewnątrz i teraz Dany też go przekręciła, zabezpieczając Rolleramę. Kiedy to zrobiła, coś warknęło u dołu. Cholera.

- Cześć, Bingo.

Pitbulle to najcudowniejsze psy na świecie, z wyjątkiem ostatniego bezpańskiego szczeniaka, wybranego jak wszystkie inne przez Scootera.

- Spoko, słyszysz?

Uchyliły się drzwi obok stoiska z łyżworolkami i akcesoriami. Snop światła padł na snack-bar, utworzył też długi jasny tunel w samej wrotkami.

- Dmuchawiec?

I znów to warczenie. Dany usłyszała kapanie śliny na podłogę.

- Bingo! Spokój - powiedział ten sam głos co przed chwilą.

Dany odwróciła się powoli w stronę Jenny. Kręcące się włosy matki sięgały za ramiona, a światło przeświecało przez jej długą zwiewną spódnicę, padając też na bosc stopy.

Towarzyszył jej zapach papierosa i paczuli. Gdyby nie fakt, że ta kobieta nigdy nie słyszała o Alanis Morissette ani nawet o Madonnie, nikt by nie uwierzył, że Jenny ma pięćdziesiąt lat.

- Witaj, mamó.

Psy dobiegły do jej stóp i sapiąc, obwąchiwały dzinsy i buty.

Jenny dwukrotnie sprawdziła drzwi, więc Dany zasugerowała:

- Nie sądzisz, że elektroniczny system alarmowy powstrzymałby ich wszystkich od korzystania z progu naszych drzwi jak z toalety?

Jenny tylko na nią popatrzyła, i Dany zreflektowała się, że matka nigdy nie widziała włączki sikającego u wejścia do wrotkami - albo trzylatki i jej matki wybierających resztki na kolację z koszy na śmieci - chyba żeby to miało miejsce przed 7 lipca 1971 roku, dniem, w którym świat dowiedział się, że Jim Morrison nie żyje, dniem, w którym Jenny postanowiła nie opuszczać nigdy budynku wrotkami.

- Jak ci poszło¹? - zapytała Jenny. Chodziło o grę w lokalu przy Kanale. Czy matka ma nadzieję, że Dany kroczy do sławy i że zyska nieśmiertelność jako poetka? Ze pewnego dnia powie światu, że jest córką Jima Morrisona?

Nie ma mowy. Co prawda mieszka w Venice, ale jeszcze nie zwariowała.

- Świetnie.

O drugiej w nocy nie mogła przecież powiedzieć matce, że wyjeżdża, i tym razem na dobre. W mieszkaniu, w kuchni z jej muralami z kamyczków - jeden nad zlewem z napisem

222 *Margot Early*

„Kuchnia duszy³”, drugi nad kuchenką - Dany stała bez ruchu i wyobrażała sobie kąt swojej szafy, gdzie ukryła butelkę Jacka Daniel'sa, na wszelki wypadek. Jenny nigdy nie była pijaczką i nie zgadzała się, żeby jej trzydziestojednoletnia córka piła, ale poszła już spać, a jej trzydziestojednoletnia córka i tak robiła zawsze to, co chciała.

Noc była dobra, żeby się napić. Dany wciąż czuła miejsce, gdzie dotykał jej Gabe. Było jak oparzenie słoneczne, tak jak myślała.

Potrafi poprzestać na jednym drinku. Ma silną wolę. Każde napicie się jest wyborem, więc może w każdej chwili przestać.

Często nie przestawała, ale mogła, jeśli chciała.

Poirytowana, zaczęła wyławiać wzrokiem szczegóły mieszkania od frontu - kuchni połączonej z małym dziennym pokojem. Pałace się kadzidełko na stoliku. Albumy The Doors w narożniku kanapy. Czarno-biała fotografia Jima Morrisona z jego podpisem. Taras, niedostępny dla ludzi z zewnątrz, na którym matka lubiła zażywać kąpieli słonecznych, i prowadzące tam szklane drzwi.

³ Kuchnia duszy - w oryginale Soul Kitchen - tytuł piosenki The Doors. Utwór jest hołdem dla restauracji „OHvia”, znajdującej się na plaży w Venice, w której autor tekstu, Jim Morrison, lubił jadać. Mawiał, że jedzenie to przypomina mu jego rodzinny dom, przez co rozgrzewa duszę. (Przyp. tłum.)

Kuchnia duszy 223

Udała się do swojego pokoju. Wyjazd z Kea-le'em Johnsonem jest dobrym powodem, żeby nie pić, ale nie dzisiaj. Zabrała butelkę do kuchni i nalala porcyjkę do szklanki, którą mógł dotykać on. Golnęła sobie jedną. Potem następną. I jeszcze następną. Och tak, tak. Teraz jest lepiej, znacznie lepiej. Starła się wymazać z pamięci to, czego była świadkiem w drodze do Kanału. Ginger i jej dziecko.

Musi się wydostać z Venice. Tutaj nigdy nie pozna porządnego mężczyzny, nigdy nie wyjdzie za mąż i nie będzie miała dzieci. Po prostu zestarzeje się. Keale Johnson jest jej ostatnią nadzieją.

Wdrapała się na dach. Noc kołysała się razem z oceanem. W mroku poruszały się postacie, a ona przyglądała się badawczo każdej, póki nie upewniła się, że jest sama.

Trzymając kurczowo butelkę, papier i długopis, dotarła po omacku do miejsca, skąd było widać pomost, z którego kolejka górską zabierała pasażerów. Specjalna poręcz chroniła czekających ludzi przed upadkiem na beton z wysokości dwóch i pół metra, choć z tej wysokości nie spadałoby się długo.

A z drugiej strony wystarczyło, żeby się zabić na miejscu.

Dany piła, bo whiskey wprawiała ją w dobry nastrój, który jednak nigdy nie trwał długo.

Jutrzejszy smutek był jak sztorm, który nie dotarł

224 *Margot Early*

jeszcze do brzegu, ale jutro było iluzją, a dzisiejsza noc rzeczywistością, jej najcenniejszą własnością.

Ręce objęły jej ramiona.

Zadrżała i potknęła się, a ręce złapały ją, kiedy zachwiała się na krawędzi dachu, ponad pomostem. Whiskey wylała się na kurtkę dżinsową i zachlapała sweter.

- Cholera!

Dotyka jej. Drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Ciesz się, że to nie ktoś, kto chciałby ci zrobić krzywdę.

- Akurat zależy ci na mnie. - Nie pomachał jej z balkonu.

- Co robisz?

- Mam kryzys osobowości. Dopóki nie oddalam się za bardzo od parasoli, wiem, kim jestem. Dopóki nie oddalam się za bardzo od dzieła mojego utalentowanego znajomego, który zwie się Gabe Lucerno. - Napotkała jego wzrok i pociągnęła z butelki. Był bez koszuli, więc powiedziała: - Chłopie, załóż się, że Pooch leci na ciebie. - Nieopatrznie. Nigdy nie chciała, żeby się domyślił, co do niego czuje.

Och, ale tak bardzo chciała, żeby tamto „Witaj” coś znaczyło.

Gabe złapał za przód jej kurtki, kiedy zrobiła krok w tył, prawie poza brzeg dachu.

Odciągnął ją i zaraz puścił.

Kuchnia duszy 225

Usiadła na dachu z nogami w powietrzu i położyła obok przybory do pisania. Tym razem Gabe nie ingerował, a kiedy zobaczył, że przykłada butelkę do ust, wyłączył w sobie tę część, która chciała ją powstrzymać, która chciała, żeby Dany była trzeźwa. Tę samą część, która raz po raz pragnęła, żeby inna kobieta w jego życiu nie sięgała po alkohol.

Co cię tu przyniosło, Gabe?

Erekcja na drabinie. Kolejna po tym, kiedy ją złapał, gdy zwałił się pomost. Mężczyzna, który proponował jej podróż dookoła świata.

Powinien trzymać się od niej z daleka, powinno go odrzucać od jej zapachu. Nie znosił zapachu whiskey, tak jak nie cierpiał wszystkich tanich narkotyków, najtańszych, na jakie stać pijaka.

- Po co pijesz?

Dany zastanowiła się. Przecież wyjeżdża. Naprawdę wyjeżdża. Czemu więc nie miałyby mu powiedzieć?

- Spalam się z pożądania do ciebie, a dotknąłeś mnie dzisiaj pierwszy raz w życiu. Piję, żeby zapomnieć, więc się nie przejmuj. Zapomnę i wyjadę z Keale'em Johnsonem.

Tutaj, na dachu, kolejka górską rzucała długie cienie. Zawsze tu były, przez wszystkie lata, podczas których Gabe Lucerno ani razu jej nie pocałował.

- Co będzie z twoją matką?

226 *Margot Early*

- Może wyjdzie na dwór i poczuje zapach smoły na plaży.

Spalam się z pożądania do ciebie... Pomyślał, że Dany nie powinna była tego mówić.

Nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Chciał, żeby weszła na pokład tej łodzi i odpłynęła. On nigdy nie pił, żeby zapomnieć, a jego dobre wspomnienia z Dany skończyły się bardzo dawno temu, kiedy zaczęła ostro sięgać po kieliszek.

Spalam się z pożądania do ciebie...

Ukucnął obok niej i odstawił butelkę, a oczy Dany zrobiły się wielkie, kiedy wędrowały od jego twarzy do rąk. On też przyglądał się swoim rękom, gdy, trzymając Dany za ramiona, kładł ją na plecach na brzegu dachu.

- Pokaż mi tę sztuczkę, którą robiłaś dzisiaj językiem.

Nie mogła oddychać. Powiedziała tylko jedno słowo:

- Tak.

- Chcę coś spróbować. Nazwijmy to eksperymentem.

Trawił ją ogień. Ale było już za późno. Przyparł ją do dachu, wszedł między nogi, ocierał się i uwodził biodrami i kolanami. Głos w niej krzyczał: „Przestań, przestań!”, ale inna część chciała znacznie więcej. Długie palce wplotły się w jej włosy.

Kuchnia duszy 227

Poczuła gorące wargi Gabe'a, a jego język wykradł jej duszę, o czym przekonała się już później. Przyciskał kurczowo jej głowę, jakby lubił też jej umysł, jej sposób myślenia. Jego rzęsy były piękne, falujące w rytmie uderzeń pociemniałego oceanu.

Przestali się całować, a jego głowa została przy jej głowie.

- Zaraz spłonę. - Przepełnęła fosę i złapała go. Tak miało być. To było to, czego chciała. - Zawsze wiedziałam, że kiedy mnie dotkniesz, spłonę.

- Za późno.

- Nie zostanę tutaj. Nie spędzę reszty życia na słuchaniu Doorsów i zajmowaniu się matką, która nigdy nie widziała bankomatu. - Nie zostanę nawet dla ciebie, bo wiem, że to tylko jedna chwila. Wcześniej nigdy nie zasłużyłam na więcej, czym więc miałabym zasłużyć teraz.

- Wszystko mi jedno, czy zostaniesz, czy nie. Obyś nie odeszła teraz. - Uśmiechnął się skąpo i kąśliwie, jakby tylko tyle jej się należało.

Nie uwodził jej, i nawet prezerwatywa, którą miał przy sobie, była nie na miejscu. Wszystko było niewymuszone, wymagało tylko usunięcia przeszkadzającego ubrania i wejścia w nią przy dźwięku skrzypiącej kolejki górskiej, w kolorowym pulsującym świetle neonu.

Dany zagryzła wargę. To wymagało siły i było trudne. Wchodził w nią nie jednym pchnięciem,

228 *Margot Early*

ale wieloma, tak jak tego chciała, tak jak bolesne jest życie, w którym matka upiera się, że jej ojcem jest nieżyjąca gwiazda rocka, zapomniany poeta, jeden z nieśmiertelnych. Potem ból minął i została tylko szorstkość papieru ściernego i Gabe w niej, ogień, część jego ciała i część jego duszy, której nigdy nie poznała i nadal nie zna. Krzyknęła cichutko, a on odnalazł jej usta i językiem wykradł tę resztkę jej samej.

- Rób sobie, co chcesz. - Ratunku. Kocham... Zamknęła oczy. Proszę. Zawsze. Wiecznie.

- Mogę ci też wylizać. Wyobrażałaś sobie kiedyś, jak cię liżę? Pewnie tak.

Nie. Nie. Nie.

- Tak. - Lizanie ognia.

- Powiedz, a to zrobię.

- Nie ma mowy. Nie będę cię prosić. - Przycisnęła się do niego bliżej i mocniej, otworzyła się szerzej. Gabe. Po jaką cholere muszę się dowiadywać, jak to jest?

Poruszał się. Robił to powoli. Tarcie mogłoby zapalić podpałkę.

- Nigdy nie będę przy tym szczytować - powiedziała.

- Twoja strata.

- Przestań - jęknęła. Dach zatrzęsł się, kiedy Gabe zadrzał i wybuchł nad nią nagłym ogniem.

Dopalały się ostatnie płomienie, kiedy poczuła zapach smoły. Dach podrapał jej pośladki.

Kuchnia duszy 229

Nie pomógł jej się ubrać. Ubierali się sami jak dwa odrębne byty, dzielące tylko to samo skrępowanie. Nie zastanawiała się, jak by to było, gdyby zasnęła w jego ramionach, ponieważ taka przyszłość nie wchodziła między nimi w grę.

Dopięła dzinsy, zebrała nienapisane wiersze i spojrzała na niego.

- Wyjeżdżam. A jak na razie, odchodzę. Schylił się, podniósł butelką Jacka DaniePsa i podał jej.

- Więc nie zapomnij o tym.

*Jest trudniej, niż się wydaje
stać nieruchomo całe dnie
godzinami w różnych pozach zamierać
na rauszu myśleć*

o locie

0 tańcu

lub o upadku nawet ale trwając wciąż

1 wciąż

Dmuchawiec Polny, „Kelnerka”

ROZDZIAŁ DRUGI

Będzie, co ma być

Nie mogła zasnąć. Została wykorzystana przez mężczyznę, którego zawsze chciała bardziej niż jakiegokolwiek innego. Wiedziała, że jej nie kocha, a zachowywała się tak, jakby to było możliwe. Płacz urągałby jej dumie, jedynej rzeczy, której jeszcze mu nie oddała. Zamiast tego napisała wiersz.

To ją powstrzymało przed włożeniem łyżworolek i pojechaniem do Keale'a, przed sięgnięciem po butelkę Jacka DaniePsa. Oczywiście mogłaby pisać po pijaku, ale wylała whiskey, bo wiedziała, że do rana musi wytrzeźwieć, że musi zachować trzeźwość, jeżeli zamierza odpłynąć tym szkunerem.

A chciała strasznie.

Rano nie miała kaca, tylko była zmęczona. Przed świtem zastała Jenny karmiącą psy na

Kuchnia duszy 231

tarasie odgrodzonym wysokim płotem, który zasłaniał deptak przy Ocean Front Walk i zaułek oraz wszelkie oznaki roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego.

Było jeszcze ciemnowo, więc Jenny spoglądała na córkę spod przymrużonych powiek, natomiast Doris, John i Bingo, merdając ogonami, dopadły żarcia.

- Byłaś w nocy na dachu?

- Przez chwilę.

Jenny pokiwała głową, jakby wszystko wiedziała.

- Czy Jake ci powiedział, że wypływam z nimi"?

- Powiedział, że Keale go zapytał, czy mogłabyś popłynąć. - A teraz, mówiły jej oczy, widzę, że wypływasz.

Obchodząc psy, Jenny weszła z tarasu do mieszkania przy wrotkami, a Dany udała się za nią, uciekając przed smrodem zaułka. Śmieci, mocz i rzygowiny.

Wyjadę stąd na zawsze.

Godzimy się na kłamstwa Zgadzamy się na mniej i mniej aż nic nie zostanie do stracenia

Ponieważ mieszkanie było dosyć ciemne, płomień zapalniczki Jenny wydał się bardzo jasny. Dany cieszyła się, że matka przestała „ekspery-

232 *Margot Early*

mentować z prochami", nawet jeśli nadal co do joty trwała przy tym, co miało związek z latami sześćdziesiątymi. Wszystkie rady udzielane córce przepuszczała przez podkolorowany filtr swojej religii, którą była nowa epoka odrodzenia, tym razem umiejscowiona w dwudziestym wieku.

- Chyba będziesz musiała korzystać z pomocy Scootera. - Dany próbowała wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało życie osamotnionej matki, mającej do pomocy jedynie konserwatora wrotkami, który będzie robił zakupy, wypożyczał książki i wyprowadzał psy.

A jednak Jenny nie zostanie sama. Tak było w przeszłości, kiedy Dany wyszła za mąż i zamieszkała w Laguna Beach z Brettem Hetheringtonem i jego rodziną - ludźmi, którzy produkowali filtry słoneczne am-fib z najwyższym faktorem 80.

Nie, Jenny nie zostanie sama, nawet jeśli się nie zda na Scootera. Dany wiedziała, kto w przeszłości przychodził do matki na tej samej zasadzie, na jakiej zaglądał do starszych ludzi w budynku, którym zarządzał. Tak, na pewno i tym razem Gabe będzie o niej pamiętał.

Jenny, ubrana w kimono, które ofiarował jej Jake, podeszła do stereo. Na talerzu gramofonu leżała płyta. Jenny włączyła konsolę i ostrożnie ustawiła igłę.

„Czekając na słońce". Album rozpoczynał utwór „Hej! Kocham cię". Dany marzyło się, żeby zdjąć

Kuchnia duszy 233

igłę z płyty i włączyć odtwarzacz płyt kompaktowych, choćby z Indigo Girls, Nirvaną, z Shawn Colvin czy z The Minutemen. Nawet zespół Bee Gees byłby bardziej na czasie.

- Chcesz o tym porozmawiać?- zapytała matkę, nakładając się na jego głos.

Hej! Nie kocham cię i nie wytrzymuję kłamstwa, w którym żyjemy.

Jenny odwróciła się, zaciągnęła papierosem i wypuściła dym. Szczupła sylwetka i długie włosy sprawiały, że nadal przypominała tamtą, nieznaną Dany osobiście, dziewiętnastolatkę. Śliczną i jarzącą dziewczynę z Venice.

- O czym?

- Czy będziesz jeść?- Czy tylko będziesz się żywiła papierosami i pepsi? - Nie zamierzałam zadawać tych pytań. Nie zamierzałam się o to troszczyć.

- Dmuchawiec, jestem dorosłą kobietą. Nie przejmuj się mną. - Po namyśle dodała: - Keale jest miłym facetem. Może akurat wyjazd z nim okaże się tym, czego ci trzeba.

- Niczego mi nie trzeba, - Wystarczają mi słowa i muzyka. Jestem córką nieznanego ojca.

Zacisnęła wargi do bólu, żeby powstrzymać strumień czczej retoryki.

Jenny zaśmiała się nisko i chrapliwie. Miała cudowny głos i cudownym głosem powiedziała:

- Nie miałam na myśli niczego konkretnego,

234 *Margot Early*

Dany. Prawdę mówiąc, nie uważam, żeby podróż dookoła świata była tym, czego potrzebujesz. Uważam, że wszystko, czego szukasz i potrzebujesz, tkwi w tobie. Zawsze tak było, jest i będzie.

Jak to się stało, że rozmawiają o niej? Przecież chciała się tylko upewnić, że matka da sobie radę, gdy ona stąd zniknie.

Ale matka była ufna we własne siły i Dany wiedziała, że będzie jej dobrze podczas nieobecności córki. Zawsze to wiedziała.

Nic jej nie powstrzyma od wyjazdu. Nic nie stanie jej na drodze.

Poza tym, że wyjazd będzie zgodzeniem się na mniej.

- Wiesz co, mamó? Nie musiałabym wyjeżdżać, gdybyś tylko przyznała jedną rzecz, jedną rzecz, która by mi pozwoliła zachować poczytalność. Król am-fibu nawet w przybliżeniu nie był księciem, ale to cud, że znalazł się choć jeden mężczyzna, który był na tyle szalony, by zdecydować się na spędzenie życia z kobietą, której matka wpisała Jima Morrisona jako ojca w jej metryce urodzin.

- Mówiłam ci, że nie miałam pieniędzy na sprawę o ustalenie ojcostwa. Wydawało mi się, że takie rozwiązanie będzie najprostsze. I musisz przyznać, że było.

Dany miała ochotę coś rzucić.

- Nie jestem jego córką! To mógłby być jakiś

Kuchnia duszy 235

żart, poza jednym drobiazgiem, że to wcale nie jest zabawne. Jest okropne i żałosne. Matka, jak zawsze w podobnych sytuacjach, spojrzała na nią z wyrazem, który oznaczał: „Co więc chcesz, żebym z tym zrobiła?”.

Dany ścisnęła pasek szlafroka, minęła psie posłanie i omal nie zderzyła się w korytarzu z Jakiem Donahue, o którego obecności w domu zapomniała.

Przywarł do ściany, pozwalając jej przejść.

- To również twoja sprawka.

- Mylisz się.

Chciała go zabić, a najchętniej ich oboje - Jenny za to, co zrobiła, a jego za to, że podziela i aprobejuje sposób, w jaki Jenny postrzega świat.

Służbowe ubranie, które wkładała do pracy w „Whole Earth Cafe”, było brązowe i miało vintage'owy charakter, żeby nadać kawiarni styl retro. Nie znosiła go, bo było z poliestru i wyglądała w nim jak przechodzona. Psy odprowadziły ją przez całe mieszkanie i wrotkarnię do drzwi. Scootera jeszcze nie było, kiedy Dany wyszła na dwór.

Kwietniowe słońce oślepiało. Najbardziej lubiła poranki w Venice, kiedy promienie wschodzącego słońca odbijały się od powierzchni wody i zabarwiały pianę na różowo, a deptak robił wrażenie prawie czystego. Nieruchome postaci

236 *Margot Early*

rozwalone na plaży pod parasolami przypominały krajobraz po bitwie. Panna Buffy wędrowała deptakiem i taszczyła swoje skarby w kartonie z supermarketu. Po Ginger i Celeste nie było śladu.

Jack z Salonu Tatuażu zamiatał deptak przed swoim oknem, zgarniając trochę potłuczonego szkła. Był również właścicielem karuzeli i Tarantuli, sklepu z osobliwościami. Marzyła mu się też kolejka górską Gondolier, należąca do pewnego producenta filmowego, który jeszcze nie wpadł na pomysł, jak by przekształcić Venice Beach w rodzinne przedsiębiorstwo.

Uliczni sprzedawcy i domokrażcy powoli przygotowywali się na kolejny dzień handlowy. Gabe przysiadł na schodach swojego domu. Miał na sobie postrzępione sportowe szorty, był już po kąpieli w oceanie i popijał kawę.

Dany najpierw popatrzyła na niego, a potem zrobiła nieprzyzwoity gest, wystawiając środkowy palec przez równo obciętą grzywkę.

Uśmiechnął się szeroko.

- Powiedz tylko kiedy i gdzie.

Jego odpowiedź, tak jak jej gest, były obrazą dla piękna jej uczuć i rozdzierającego bólu miłości.

Musiał to wyczuć, bowiem zmienił wyraz twarzy, podniósł się ze schodów, a jej serce zaczęło walić bardzo mocno. Kobieta odziana

Kuchnia duszy 237

w paskudny mundurek, nie pierwszej już młodości, trawiąca lata na obsłudze stolików w Venice Beach, pragnąca mieć męża i trójkę dzieciaków, która to wszystko olała, gdy była młodsza i ładniejsza.

Olała to wszystko, bo nie mogła mieć tego tak, jak tego chciała, czyli z Gabe'em.

- Dmuchawiec.

Kropla słonej wody z jego włosów wylądowała na jej przedramieniu. Nie zatrzymała się.

- Co ci się nie podoba?-

Przystanąła. Powinna to z nim załatwić i mieć już za sobą. Patrząc mu w oczy, wyraziła dobitnie to wszystko, co miała mu do powiedzenia.

- Mnie się spodobało - wyznał. - Tobie też.

- Jestem uczuciowa. Wykorzystałeś to. - i jestem w tobie zakochana. - Umówmy się, że nic się nie zdarzyło, okej?

- Co takiego?

- Chcę o tym zapomnieć. Nic się nie zdarzyło, rozumiesz?

- Kogo ja widzę! Witaj, królowo wrotkarni. - Mijał ich Mędrzec, który chętnie przyłączyłby się do rozmowy.

- Cześć, Mędrzec - powiedział Gabe, cały czas patrząc na Dany.

- Nie powinnaś tego robić - powiedział bezdomny włóczęga.

238 *Margot Early*

- Nic ci do tego - warknęła. Mędrzec poszedł dalej, zaśmiewając się.

- Rób, jak uważasz, królowo wrotkami. Gabe zaszedł jej drogę.

- O co mu chodzi?- zapytała. - Ze nagle zrobiłam się na blond?

- Nie.

Dotknął jej włosów i tutaj, na deptaku, przywarł ustami do jej warg. Całowanie się z Gabe'em z samego rana, przy Ocean Front Walk, było jak wyznanie miłości - albo, na odwrót, jak wypowiedzenie wojny.

Wyjadę, wyjadę stąd natychmiast. Cholera, on mi złamie serce.

Teraz, w przeciwieństwie do wczorajszej nocy, jego język poruszał się delikatnie.

Aż by się chciało poflirtować i powiedzieć: „Jeszcze pomyślę, że chcesz mnie zatrzymać w Venice”.

Mizdrzenie się byłoby czymś niestosownym.

Była wiosna i był poranek, ocean na wyciągnięcie ręki, a także we włosach Gabe'a. Życie rozmienione na drobne w Venice Beach jawiło się słodko. Właśnie w mieście zaczął się karnawał, jakiego jeszcze nie było, a Dany chciała przejechać się kolejką górską i poczuć zawrót głowy podczas największego spadania.

Karnawałem były oczy Gabe'a, a on sam był górską kolejką.

Kuchnia duszy 239

- To nie tylko się zdarzyło... - uśmiechnął się do niej - ...ale znów się zdarzy.

Serce Dany zaczęło bić jak szalone. Rozpływała się z miłości. To było nieznośne. Odpłynie stąd, odpłynie na pewno, choćby ze zgiętym masztem.

- Spotkamy się, kiedy skończysz robotę. Pracuję dzisiaj w Salonie Tatuażu.

To znów się zdarzy.

Chciała, żeby to się zdarzyło, tak bardzo tego chciała, że pomyliła dwa zamówienia, co jej się nigdy nie zdarzyło. Śniła na jawie, kiedy zobaczyła Ginger i Celeste w swoim rewirze.

Pośpieszyła w ich stronę.

Obie miały porządne fryzury. Włosy Celeste jaśniały jak włosy kukurydzy, natomiast Ginger była ciemną blondynką. Były jednak brudne; trudno być czystym, kiedy walczy się o przetrwanie i nie ma się domu.

- Potrzebujecie pieniędzy?

Ginger zapytała wzrokiem, co mogłaby zrobić dla Dany za te pieniądze.

Człowiek udaje, że nie widzi takiego spojrzenia. Ogarnia go uczucie strasznej samotności, kiedy daje mu się do zrozumienia, że jest ostatnią przyzwoitą istotą w Venice. Dany wiedziała, że nie jest ani lepsza, ani gorsza od swoich sąsiadów.

Dobrzy są dobrzy, tutaj i wszędzie.

Zapytała:

240 *Margot Early*

- Kawę? Jesteś wegetarianką czy wszystko ci jedno?

- Wszystko mi jedno - odpowiedziała Ginger. Dany nagryzmoliła zamówienie - specjalne śniadanie dla Ginger, płatki i sok dla Celeste.

- Nie przejmuj się, biorę to na siebie. - Ze niby może oszukiwać kawiarnię. Teraz Ginger unikała jej wzroku. - Jeśli komuś powiesz, nigdy ci nie wybaczę. - W Venice nie można zacząć pomagać ludziom. Każdy był w potrzebie...

Dany podeszła do kontuaru, gdzie podała zamówienie. Kucharz uniósł brwi.

- Tylko nic nie mów.

- O czym miałbym mówić? O tym, że pomoc społeczna wypłaca pięćset dolarów miesięcznie samotnej kobiecie z dzieckiem? - powiedział. - Próbowalaś choć raz wynająć za to jakieś mieszkanie?

- Oczywiście, że nie - warknęła Dany. - Czy wyglądam na matkę korzystającą z zasiłku? Kiedy przyniosła jedzenie, zostawiła na stoliku czterdzieści sześć dolarów - całą gotówkę, jaką miała przy sobie, która może wystarczy, żeby sobie kupić spokojny sen. Ginger zgarnęła je ze stolika.

- Dziękuję.

Dany nie poczuła się lepiej.

Jej zmiana trwała do drugiej po południu, do

Kuchnia duszy 241

czasu przewalania się tłumu ludzi spożywających lunch.

Potem znów wyszła na deptak.

Nie udała się prosto do domu.

Żeby tam dojść, musiałyby przejść obok Salonu Tatuażu i spotkać Gabe'a malującego mural.

Zdjęła buty i poszła plażą. Piasek ranił, jakby się szło po rozżarzonych węglach. Pooch urządzał przyjęcie, faceci smarowali sobie plecy emulsją do opalania. Jeden z nich był ratownikiem, z którym kiedyś chodziła.

Próbowała sobie przypomnieć Laguna Beach i to, co zapamiętała ze zjazdów rodzinnych Bretta, kiedy się upijała i przed domem jego rodziców wchodziła na golasa do morza, a potem, rozebrana do naga, tańczyła w falach na płytkiej wodzie. Ubierała się w mokre morskie trawy i pozowała, jak rzeźba, w pianie, aż jej mąż musiał ją stamtąd zabierać.

- Nie znoszę twojego pozerstwa - stwierdził.

- To się rozwiedzmy - odpowiedziała. Zmieniła się od tamtego czasu. Traktowała uczucie Keale'a Johnsona głębiej i poważniej.

Keale ją ujarzmi. Będzie musiał, bo Gabe powiedział: „To znów się zdarzy”. Powiedział: „Kochaj mnie dwa razy”.

I ona to zrobi.

Zostanie w Venice, dopóki Gabe będzie ją chciał.

242 *Margot Early*

Brodząc po wodzie, szła na wschód, niosąc buty i skarpetki. Zerknęła na deptak i zobaczyła Mędrca balansującego na murku z jajkiem na głowie i przyklaskującą mu jego ferajnę. Za murkiem aktorzy uliczni w trykotach w paski wykonywali przerzuty i przewrotki. Słońce grzało jej ramiona przez zniechęcony poliester. Czuła się szmatławo po godzinach obsługiwanie klientów.

Będzie musiała powiedzieć Keale'owi, że zostaje... To nie znaczy, że nigdy nie opuści Venice Beach. Oczywiście, że opuści. Czy nie po to oszczędzałaś Nadal ma swoje konto na czarną godzinę. W każdej chwili może wyjąć gotówkę i jechać, dokąd zechce.

Tyle, że już nigdy nie będzie żadnego statku ani przystojnego mężczyzny o turkusowych oczach. Keale naprawdę ją lubi. To szansa na miłość, a ona, zamiast tego, woli mężczyznę, który wypieprzył ją nad górską kolejką, mężczyznę, który prawdopodobnie nie uznaje małżeństwa, ponieważ, tak jak ona, nie widział nigdy szczęśliwej pary.

Pomyśl, co robisz, Dany. Jeśli zostaniesz...

Z Gabe'em nie może się udać.

Ale to nie ma znaczenia.

Najważniejsze, że czuje i żyje! I nie przepuści tej okazji, gdyż byłby to rodzaj samobójstwa.

Musi poczuć i przeżyć każdą chwilę.

Kuchnia duszy 243

To miłość.

Dany nie zgodziłaby się na mniej.

Trzeba wciąż być pijanym. To cały sekret, w tym tkwi wszystko. Żeby nie czuć straszliwego ciężaru Czasu, który miażdży wam barki i zgina grzbiet ku ziemi, musicie wciąż się upijać.

Czymt Winem, poezją albo cnotą, wedle upodobania. Byle się upić.

Charles Baudelaire „Upijajcie się”⁴

⁴ Przekład Ryszarda Engelkinga, Łódź 1993. (Przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ TRZECI

Kobieta z Los Angeles.

- Postanowiłam tu zostać.

- Co się stałoś - Keale oparł ręce na biodrach nad pasem z narzędziami.

Wiedział, że Jenny nigdy nie opuści wrotkami. To była jedna z pierwszych rzeczy, o której powiedziała mu Dany, kiedy poznali się przed dwoma miesiącami. Pokiwał wtedy głową, podumał chwilę, a kiedy zostali sobie przedstawieni podczas jednej z sesji w Rolleramie, wcale nie traktował Jenny jak dziwaczkę.

Dany wzruszyła ramionami.

- Właściwie nic, ale gdybym pojechała, nie byłoby to w porządku wobec ciebie -

powiedziała Keale'owi. - Wobec siebie też nie byłabym w porządku, gdybym pojechała.

- Aha. - Popatrzył na burtę prawie ukończonego szkunera. Jutro go odholują do hangaru

Kuchnia duszy 245

lotniczego, gdzie wykonają prace wykończeniowe.

Dany wiedziała, że Keale wie, w czym rzecz. Po prostu jest ktoś inny.

- Dziękuję za propozycję.

- Zaproszenie jest nadal aktualne. - Powiódł niebieskimi oczyma po jej twarzy. - Zawsze.

- Znienawidziłbyś mnie na morzu. Mam bardzo trudny charakter.

- Tak też mówił Jake. Nie mogłem się doczekać, żeby się przekonać, jak to wygląda.

Był rezolutny, a z tego, co mówił o swojej rodzinie, zorientowała się, że wszyscy Keale'owie mają równo pod sufitem i kochają się nawzajem.

- Muszę już iść - powiedziała. - Dziękuję. Dziękuję ci za wszystko.

Była w połowie drogi do bramy stoczni, kiedy Keale złapał ją za ramiona.

- Dany, ja naprawdę cię lubię.

- Naprawdę to ty mnie nie znasz. - Odeszła.

Kiedy wracała do wrotkami, przed Salonem Tatuazu nie było drabiny, a mural był nieskończony. W kiosku z wypożyczalnią łyżworolek siedziała nastolatka o imieniu Kelly.

Musiała zauważyć, że Dany spogląda na mural.

- Jeśli szukasz Gabe'a, to właśnie się zwinął i odpłynął z Jeremym, który po niego przybiegł.

Dany spięła się bardzo.

246 *Margot Early*

Trochę ponad dziesięć lat temu, kiedy pewnego popołudnia weszła do domu, zastała matkę i Gabe'a siedzących na kanapie. Gabe płakał, a Jenny głaskała go po plecach. To wtedy jego siostra połknęła paracetamol. Męczyła się kilka dni, zanim umarła. W szpitalu nie mogli nic dla niej zrobić.

Jenny. Zawsze zwracał się do Jenny - nigdy, nawet gdyby tonął, nie zwróciłby się do Dany.

- Dzięki - powiedziała do Kelly i udała się do domu.

Jenny razem ze swoim wieloletnim didżejem, Thomasem, i otaczającymi ją psami, majstrowała przy aparaturze nagłaśniającej.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała do Thomasa.

- Nic z tego.

- Mogłabyś się przetrzucić na płyty kompaktowe - nie omieszkała wtrącić Dany. Rollerama pracowała wyłącznie na winylowych. - Pożyczyłabym ci nawet mój odtwarzacz.

- O co chodzi, Dany? - Matka wyglądała na zmęczoną.

Zmęczoną mną. Zmęczoną moim piciem i narzekaniem.

Pomyślała, że musi poczekać na lepszy dzień, odłożyć na później zasadniczą rozmowę z

Jenny, zanim przechyli szalę zwycięstwa w tej wojnie trzydziestoletniej na swoją stronę.

Złapała matkę za rękę i odciągnęła ją na bok. Powtórzyła jej słowa Kelly.

Kuchnia duszy 247

- Może trzeba do niego zajrzeć? - po namyśle zasugerowała Jenny.

- Może, ale moja wizyta nic nie da. Szkoda, że ty nie możesz. Jesteś dla niego jak matka.

- On ma matkę. - Jenny zapatrzyła się w smugę światła między podwójnymi drzwiami wrotkami. Czyżby matka tęskniła za światem? - Nie, to by było zbyt piękne. Jej matka jest łagodna i spokojna i żyje w swojej Rolleramie jak Willy Wonka⁵ w swojej fabryce czekolady.

- Nie korci cię nigdy, żeby stąd wyjść? Nie korci cię, żeby znów wykąpać się i popływać w oceanie?

Jenny delikatnie potrząsnęła głową.

- Dlaczego?

- Miłość.

Dany czuła awersję do tego typu rozmów. Uważała, że obsesja matki nie ma nic wspólnego z miłością. Miała powody, żeby tak uważać, ale spieranie się oznaczałoby...

- To był nihilista - nie wytrzymała. - Nie potrafił kochać. Nie doceniłby faktu, że zostałeś jego kapłanką. Nad wszystko przedkładał hedonizm. Mówisz o człowieku, w którym siedział demon wielkości King Konga. A jeśli już musisz czcić jego pamięć, powinnaś wyjść na zewnątrz

⁵Willy Wonka - właściciel olbrzymiej fabryki czekolady, bohater powieści dla dzieci „Charlie i fabryka czekolady” Roalda Dahla. (Przyp. tłum.)

248 *Margot Early*

i zacząć żyć. Zajrzeć do najbliższego whiskey-baru. Wyciąć jakiś numer.

Jenny popatrzyła na córkę z ironią.

- Wystarczy mi, że ty to robisz. - Wyjęła papierosa z paczki, którą nosiła w kieszeni powiewnej spódnicy. - Nie poszłabyś się dowiedzieć, czy Gabe nie potrzebuje pomocy?

Pytanie zabrzmiało jak wyzwanie. .- Pójdę, ale obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie.

Biorąc prysznic, Dany przekonywała siebie, że na świecie istnieje sprawiedliwość, i dlatego właśnie Gabe'owi nic się nie stało.

Kiedy była gotowa do wyjścia, odruchowo złapała gitarę i skierowała się do drzwi.

Dzięki staraniom Gabe'a budynek był czystszy i bezpieczniejszy niż większość tego typu domów.

Wbiegła po schodach, bo nie miała zaufania do wind w takich miejscach.

Na plakietce z numerem „312” widniał napis „Gospodarz domu”. Ktoś dopisał czymś ostrym: „Anioł”.

Dany nigdy nie była w środku. Zapukała nieśmiało i po chwili usłyszała kroki.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Jest, jest w domu. Lecz jak zareaguje na tę nieproszoną wizytę?

Otworzył drzwi. Z tyłu za nim dostrzegła jego

Kuchnia duszy 249

przyrodnie siostry. Jedna była w pokoju, druga na balkonie, a najmłodsza, Magda, cała we łzach, siedziała na podniszczonym krześle. Brat Jeremy, wychylony przez poręcz balkonu, krzyczał do kogoś na dole.

Gabe nie poprosił jej do środka, a kiedy dotarło do niej, że wcale nie zamierza tego zrobić, przełknęła gorzki smak odrzucenia.

- Przepraszam. Nie chciałam przeszkadzać. Zobaczył jej gitarę.

- Idziesz do pracy?

- Nie. Zajrzałam, a tak przy okazji. To... do zobaczenia.

W odpowiedzi skinął tylko głową.

Wykluczył ją. Był zajęty czymś, co działo się po drugiej stronie, za zamkniętymi drzwiami.

Powiedziała sobie, że to nie dotyczy ich osobistych spraw.

A jednak... Chociaż zamknął drzwi, dopiero kiedy się odwróciła, to czuła się tak, jakby je zamknął przed jej nosem. Zbiegała w dół, omijając śmieci, których wcześniej nie zauważyła, a także odnotowując dziurę w ścianie, którą ktoś wybił pięścią. Dlaczego nie potraktował jej jak człowieka, który czuje się zaniepokojony¹?

Nic się nie zmieniło. Gdyby musiał, zwróciłby się do Jenny, nie do niej.

Na stopniach budynku zebrali się pijaczkowie, a Mędrzec skłonił się przed nią głęboko.

250 *Margot Early*

- Królowo wrotkami, zagraj nam coś, zaśpiewaj, królowo.

Czemu nie?

Podchodząc do murku przy deptaku, uśmiechnęła się przez ramię do typków na schodach, którzy jak jeden mąż podążyli za nią. Otworzyła futerał i przycisnęła gitarę, która była kolekcjonerskim okazem, o czym wiedziały tylko Dany i jej gitara.

Nie można jej było tutaj podłączyć, musiała więc udawać gitarę akustyczną.

Zrzuciła sandaalki, usiadła pod murkiem i przy bluesowych dźwiękach zaśpiewała piosenkę Erica Claptona o dzieciach bez matki.

Jak powiedziała Jenny, Gabe, jego brat i siostry nie były osierocone przez matkę, poza okresami, kiedy przez alkohol i narkotyki była nieobecna. Mieszkała w pobliskim osiedlu i wiecznie zmieniała lokale, a jej dzieci - poza Gabe'em- przemieszczały się wraz z nią. Dany spotkała ją raz. Od tamtej pory twarz tej kobiety prześladowała ją jak odbita w lustrze przyszłość.

Do grupki dołączyła Rhondą i z miejsca zaczęła się czepiać jednego z pijaczków.

- Mamy teraz lekcję wychowania muzycznego, Rhondą, więc się zamknij! - usłyszała w odpowiedzi.

- No, no, tylko nie każ mi się zamykać, ty cieniasie!

Kuchnia duszy 251

Dany śpiewała.

Przystawali turyści, a jeden z nich rzucił dolca do otwartego futerału. Panna Buffy zataaszczyła swój karton pod parasole i całym ciężarem potężnego ciała rozwalila się na ławeczce.

Gdzie są Ginger i Celesteś- Dany miała nadzieję, że wyjechały. Ale czterdzieści sześć dolarów to mało. Tylko cud mógłby je uratować.

Kiedy zagrała ostatni akord, myślami będąc przy matce, która nie wyjdzie na dwór, by posłuchać jej gry, Mędrzec powiedział:

- Jakie to ładne. Ślicznie grasz, królowo wrotkami.

Znów dostroiła gitarę, a potem wybrała melodię w tonacji molowej i zaśpiewała pełnym głosem własny tekst:

Zajrzyj w siebie i poszukaj kłamstw

Zajrzyj'w siebie, czy nie mieszka tam strach

Zgadzamy się na kłamstwa

Godzimy się na mniej i mniej

Aż nie zostanie nam nic do stracenia

Ludzie stawali i słuchali. Dany ich nie potrzebowała, ale oni potrzebowali jej - a tego ona potrzebowała. Potem zagrała kawałek w tradycyjnym stylu.

Po nim znów swojego bluesa:

252 *Margot Early*

Wszystko będzie lepiej, kiedy słońce wstanie Wszystko będzie lepiej, gdy skończy się noc W dzień wszystko wygląda inaczej W dzień wszystko wygląda jak trzeba.

Śpiewając, nie myślała o tym, co powiedziała Keale'owi, a powiedziała, że nie wyjeżdża, i nie czuła tego, co poczuła, kiedy Gabe zamknął przed nią drzwi. W pewnej chwili zerknęła na balkony drugiego piętra i odnalazła ten, który należał do niego.

Czternastoletni Jeremy stał tam nadal i wpatrywał się w nią z wielkim przejęciem. Pod pewnym względem byli do siebie podobni - nigdy nie było wiadomo, co myślą.

Ktoś włożył kolejny banknot do futerału, a wtedy panna Buffy schyliła się, żeby zgarnąć kasę.

- Ani się waż - powiedziała Dany. Pomaganie Ginger i Celeste było wyjątkiem. Musi zasilać swoje konto na czarną godzinę.

Panna Buffy zachichotała i zmyła się.

Przystojny czarny mężczyzna z dreadami przystanął obok. Podniósł futerał i unióśł brwi.

Dany pokiwała głową i już po chwili grali songi Boba Marleya. On śpiewał, a ona mu akompaniowała.

Kiedy ludzie zaczęli tańczyć na deptaku, Dany dostrzegła Ginger. Trzymała córeczkę na ręku, śpiewała jej i kołysała w rytmie muzyki.

Kuchnia duszy 253

Słońce padało na uśmiechnięte twarze i na deptak, gdzie zapanowała zbiorowa radość, a Dany starała się nie myśleć, gdzie Ginger i Celeste spędzą noc.

Kiedy słońce zeszło jeszcze niżej, zobaczyła jego sylwetkę. Obejmował ramieniem Magdę, swoją najmłodszą siostrę, tę, która płakała.

A kiedy po skończonej piosence zapakowała gitarę i weszła w tłum z zamiarem powrotu do domu, liczyła na to, że Gabe ją zatrzyma.

Nic z tego.

- Poszła stąd przez nas - powiedziała Magda.

Gabe nie od razu odpowiedział. Magda, Carissa i Jeremy znali Dany może od pięciu lat, jeszcze sprzed jej powrotu do Venice. Żadne z nich nie darzyło jej szczególną sympatią.

Nie dał im szansy, by mogli ją polubić. Była alkoholiczką. Alkoholizm przybiera różne postaci. U niej wyrażał się w nagłych wybuchach i traceniu panowania nad sobą, w zmianach nastroju, a nawet osobowości. Poprzednia noc nie była niczym innym. Odpłynęła w seks. Nie, kiedy Dany puściły ostatnie cugle...

Pytanie, czy daje się z tym żyć. Czy chce się tego.

Gabe nie chciał, nie chciał też, żeby jej osoba zakłóciła już i tak popaprane życie jego brata i sióstr. Na twarzy Magdy widniały jeszcze ślady łez. Z nich wszystkich jeszcze tylko ona

254 *Margot Early*

zachowała wrażliwość. Jeremy wzruszył ramionami i powiedział:

- Magda, nic się nie stało. Carissa dodała:

- No i co?

Ale Magda straciła najlepszą koleżankę.

Natomiast matka Gabe'a była rozdrażniona, a dzieci czuły, że za chwilę pójdzie w cug, więc się wyniosły.

- Prawda, że ona nas nie lubi?- Magda przesypywała piasek na betonie dużym palcem stopy pomalowanym niebieskim lakierem.

- Nie chodzi o was, ale o mnie.

- Możemy dzisiaj zostać na noc?

- Zawsze możecie.

- A możemy pojeździć na rolkach? Musiał się zastanowić. Powiedział rano Dany, że to znów się zdarzy. Był tego pewny, dopóki nie przybiegł po niego Jeremy. Magda cię potrzebuje.

Tym samym niestosowność zatrzymania Dany przy sobie w charakterze partnerki sama się wyjaśniła.

Cóż, nie uda mu się jej unikać. Venice jest na to za małe.

Będzie musiał sprostować i załagodzić sprawę, powrócić do tego, co było.

- Jasne. Poślizgamy się.

Kuchnia duszy 255

Nie będzie piła. Nawet gdyby miała się poczuć Bóg wie jak źle, nie wypije. Coś musiało być w miejscu obok parasoli, że od czasu do czasu przestawała pić i dochodziła do wniosku, że mogłaby się stoczyć i przyłączyć do koczujących tam pijaczek.

Coś musiało być, że od jakichś dwudziestu czterech godzin czuła niesmak.

Weszła do domu od strony zaułka i, ku własnemu zadowoleniu, nie natknęła się na matkę. Jenny wysłała ją do Gabe'a.

I za każdym razerreilekroć próbuję mu pomóc, spotyka mnie to samo: zatrzaśnięte przed nosem drzwi.

To prawda, że rzadko próbowała. Gabe nie potrzebował ani jej wsparcia, ani jej przyjaźni.

Umyła się i ubrała na wieczorną sesję

- w dżinsową spódnicę zapinaną z przodu i w stosowną czerwono-czarną bluzkę z misternym haftem. Nałożyła makijaż i swoje rolki

- zrobione na zamówienie czerwone buty z czarnymi kółkami i metalicznymi sznurowadłami.

Kiedy już była gotowa, pomyślała, że należy sobie drinka. Wcześniejsze twarde postanowienie gdzieś się ulotniło.

Udała się do kuchni po szklanekę lodu i wróciła do swojego pokoju po Jacka Daniel'sa.

Parę minut później czuła się znacznie lepiej.

256 *Margot Early*

Już miała wejść ze szklanką do wrotkami, kiedy napatoczyła się Jenny w stroju hippiski

- nierówno uf arbowana spódnica, hinduska bluzka i koraliki na szyi.

- Co to, to nie. Żadnego alkoholu na sali

- ostrzegła.

- Więc wypiję przed wejściem - odpowiedziała Dany ze słodkim uśmiechem, który ją sporo kosztował.

- Albo pijesz, albo pracujesz. Wybieraj.

Mierzyły się wzrokiem, po czym Dany pociągnęła łyk, rozsiadła się na kanapie i założyła nogę na nogę.

- Okej. - Będzie piła. Niech Kelly obsługuje sklepik, albo Jenny, skoro aż tak bardzo kocha to miejsce.

Kiedy matka wyszła, Dany dopiła drinka i wstała, żeby przyrządzić sobie kolejnego. Wypiła połowę, resztę zostawiając na potem, i udała się na salę. Właśnie zaczynała się sesja. Jak co dzień, był to wieczór Dóorsów. Thomas puścił na początek „Przebij się”.

Poczuła w powietrzu zapach dymu, a kiedy przechadzała się dokoła, zobaczyła całą ich czwórkę. Płacili i brali rolki. W porę zdążyła odwrócić się plecami do Gabe'a.

„Hello, I love you”, tak brzmiał tytuł następnego kawałka, przy którego dźwiękach pojawili się Jake i Keale Johnson. Skinęła głową, ale

Kuchnia duszy 257

opancerzyła się. Skończyła z Keale'em. Ale nie zamierza nikogo krzywdzić. Zostanie sama. Będzie dobrze. Nie skończy pod parasolami.

Ma swoją poezję.

To jej wystarczy - i nie zgodzi się na mniej.

Gabe wodził za nią zbyt spragnionym i zbyt namiętym wzrokiem, kiedy zręcznie przekładała długie nogi i ślizgała się w rytmie „Twentieth Century Fox”.

Zatrzęsło dachem, kiedy kolejka górską minęła wierzchołek, i na chwilę dźwięki Gondoliera zlały się z Doorsami.

- Ostrożnie! - zawołał didżej. - Ślizgamy się powoli i uważamy na innych.

Z głośników popłynął utwór „Rozpal we mnie ogień”.

Gabe dogonił ją kilkoma susami, złapał za rękę, obrócił ku sobie. Poczuł, że piła, i aż się skrzył w środku.

Przytrzymał jej dłonie. Były suche i tak lekko go dotykały. Widział zarys jej piersi pod bluzką. Między nią a opuszczoną talią spódnicy wystawało gołe ciało. Dotknął jej tam, ponieważ to było Venice, ponieważ byli na parkiecie i ponieważ był późny wieczór, a ona była pijana, do czego on się nigdy nie przyzwyczai, ale może to wykorzystać.

- Mam nadzieję, że u was wszystko w porządku.

258 *Margot Early*

- Najlepsza koleżanka Magdy wyprowadziła się do San Jose.

Popatrzyła na niego z ulgą, a on starał się nie myśleć o niepokoju Dany, o jej trosce..

„Rozpal we mnie ogień" było długą piosenką. Ogień zapłonął.

- Chcesz się dzisiaj kochać? - zapytał.

- Chcę.

Zaśpiewała do wtóru następnej piosenki. Zwała się „Spojrzałam na ciebie". Pocałował ją na parkiecie wrotkami. Nie było odwrotu.

Nie mogę mieć Tego co chcę A to co mam Chciałam mieć kiedyś

Robię wymianę

Na konie wspólnie kradzione

Me życie

Na twoje wspomnienia Które

Pamiętają mnie

Dmuchawiec Wilde, „Aukcja charytatywna"

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kres nocy

Ślizgali się razem do późna przy dźwiękach Doorsów, pod jego śpiew. Zostawiła szklanę z whiskey w mieszkaniu.

Teraz - ponieważ teraz było coś do stracenia.

Keale nie zabawił długo, ale wystarczyło, żeby zrozumiał, o co chodzi, i Dany była zadowolona, że tak się stało, skoro przekroczyła punkt, z którego nie ma już powrotu.

Postanowiła igrać z ogniem, więc teraz tliła się, tańczyła, ślizgała się z Gabe'em. Dotykając go.

O jedenastej, po skończonej sesji, Jeremy, Carissa i Magda poszli do domu Gabe'a, żeby zamówić pizzę, a Gabe udał się z Dany do mieszkania przy wrotkami. Było ciemno od dymu papierosowego. Ani Jake, ani Jenny, którzy siedzieli przy kuchennym stole, nie uśmiechnęli się do nich.

260 *Margot Early*

Początkowo Dany myślała, że gniewają się na nią, ale okazało się, że chodzi o Gabe'a. Jeszcze nigdy Jenny nie patrzyła w taki sposób na Gabe'a. Bingo, jakby coś wyczuł, przywarł do jej nóg i warknął.

- Bingo - skarciła psa Jenny.

Doris obwąchała buty Gabe'a, a on ją lekko pogłaskał.

- Nie wyszlibyśmy na taras? - zapytała go Dany.

- Chętnie - odpowiedział ze spokojem, unikając wzroku Jenny.

- Więc nie wypływasz z nami, Dany - zauważył mimochodem Jake.

- Nie.

Przeszła dalej i otworzyła szklane drzwi na taras. Psy zostały w środku, a Gabe z Dany odizolowali się od reszty w smrodzie zaułka i w słonym powietrzu morskim.

Kolejka górską skończyła swoją działalność, podobnie jak wrotkarnia, a oni ułożyli się na bliźniaczych ogrodowych leżakach.

- Matka raptem przestała cię lubić.

- Zauważyłem.

Dotknij mnie, dotknij mnie, Gabe.

Zrobił to. Podniósł się, ukląkł przy niej i pochylił się, żeby ją pocałować, dotykać jej ciała, kochać ją.

Gabe...

Kuchnia duszy 261

Kochał ją. Naprawdę ją kochał. W tym śnie o miłości otworzyła oczy, żeby popatrzeć na Gabe'a, a wtedy on ją puścił.

Poczuła skurcz w żołądku. Z góry wiedziała, co usłyszy. Obyczajność nie była cnotą Gabe'a, ale był lojalny wobec jej matki, a Jenny wiedziała, co mu chodzi po głowie, i...

Nie, Dany, on cię nie kocha.

- Mamy cię, pedrylu! Polujemy na ciebie przez cały wieczór.

- Okej, chłopaki, wyluzujcie. - To był głos Poocha.

Dany przewróciła oczami. Czy naprawdę muszą tego słuchać

- Nie, nie nadajesz się, fagocie. Nie potrzebujemy takiego.

Kiedy do smrodów z zaułka doszedł zapach benzyny, Dany i Gabe znieruchomieli.

Gabe poderwał się, podbiegł do płotu i wdrapał się po drucianej siatce jak kiedyś, gdy byli dziećmi.

- Hej, spieprzajcie! Wynocha stąd. Dany, wzywaj gliny.

Rozległ się bezładny tupot nóg, a po chwili za płotem błysnął ogień.

Pooch wdrapywał się z drugiej strony siatki jak pająk, umykając przed płomieniami, przed punkami albo przed jednym i drugim. Zeskoczył z góry, kiedy Gabe susem wpadł z powrotem na taras.

262 *Margot Early*

- Dzwon na 911! - zawołała Dany do matki. Gabe minął ją w biegu i zerwał gaśnicę ze ściany. Potrząsnął nią i pobiegł do drzwi wychodzących na zaułek.

Na zewnątrz włączył się alarm pożarowy.

- Nie otwieraj tych drzwi! - ryknęła Dany. Gabe dopadł innych i odwrócił się do Jenny i Jake'a.

- Szybko, tędy, przez wrotkarnię. Jenny nie ruszyła się z miejsca.

Jake zapalił kolejnego papierosa i wstał.

- Chodźmy, dziecinko.

Jenny uśmiechnęła się pobłaźliwie i potrząsnęła głową.

- Zabierz psy.

- Mamo! - wrzasnęła Dany.

Na szklanych drzwiach pojawiła się czerwona poświata. Palił się płot.

- Straż przybędzie na czas. Przecież chodzi o kolejkę - stwierdziła Jenny.

Dany wiedziała, że nie ma żartów, bo ogień może się błyskawicznie rozprzestrzenić. Dym szczypał w oczy.

Ale nikt się nie ruszył.

Kiedy Gabe popchnął ją wolną ręką w stronę drzwi prowadzących do wrotkami, zawołała:

- Nie ruszę się bez niej!

- Matka już idzie. - Jake jednym szarpnięciem poderwał ją na nogi.

Kuchnia duszy 263

- Idź sobie sam! - zawołała Jenny. - Zostaw mnie w spokoju, łobuzie. Nie dotykaj mnie w ten sposób.

- Strasznie zabawne. - Wargi Dany drżały. Jej matka raczej pozwoli, żeby wrotkarnia spłonęła i runęła na nią, niż ją opuści.

Jake zachował zimną krew. Wykręcił ramię Jenny do tyłu, drugie zaś trzymał pod niewygodnym kątem. Kopnęła go, a po chwili ucichła i zbladła, dotknięta tym, jak ją traktuje.

- Otwórz drzwi, Dany - powiedział spokojnie, nie wyjmując zlist papierosa, który zwisał z kącika jego ust.

Tak też zrobiła.

Jake zatrzymał się jeszcze, by zgarnąć torebkę Jenny i zdjąć podpisaną fotografię Jima Morrisona ze ściany. Gwizdnął na psy, które popędziły przodem, a oni wszyscy - przy akompaniamencie wyzwisk, jakimi Jenny obrzucała Jake'a - w pośpiechu ruszyli w stronę wrotkami i do głównego wyjścia.

Dany przyszło do głowy, że powinna zabrać swoją torebkę, ale Gabe jej nie pozwolił.

- Daj spokój, Dany.

Wystarczyło jedno słowo - jej imię wypowiedziane jego ustami - żeby była gotowa do daleko posuniętej współpracy.

Wymaszerowała z mieszkania, Gabe za nią, z gaśnicą w ręku.

264 *Margot Early*

Minęli sklepik. Minęli snack-bar. Drzwi frontowe były otwarte na oścież; to Pooch wypadł przed wszystkimi i nie zamknął ich. Również psy gdzieś czmychnęły.

Mędrzec i inni będą pod parasolami.

I właśnie wtedy przypomniała sobie, czego nie wzięła. Ogień jeszcze nie mógł ogarnąć mieszkania.

Odwróciła się i pocałowała Gabe'a w brodę, bo wyżej nie sięgnęła.

- Kocham cię - zawołała i zawróciła na pięcie, a on nie mógł jej zatrzymać, bo miał zajęte ręce, a poza tym pędziła szybko, w samych skarpetkach, bo po ślizganiu się nigdy nie wkładała butów.

Wpadła do mieszkania, które na razie było bezpieczne, popędziła do swojego pokoju i chwyciła futerał z gitarą. Żaden problem. Zawróciła do kuchni duszy Jenny i zasalutowała przed ułożonym z kamyczków portretem Jima Morrisona.

Ogłuszył ją huk, więc puściła się pędem przez wrotkarnię, ścigana przez jakąś kulę ognistą, która pojawiła się znikąd, potknęła się o jedną ze swoich łyżworolek, więc złapała obie, ale zaraz je zgubiła, kiedy potężny podmuch rzucił ją do przodu. Czarny cień gnał razem z nią i razem z nią wypadł na zewnątrz, gdzie upadła na beton i potoczyła się jak kłoda, podczas gdy jej gitara

Kuchnia duszy 265

w futerale brzdąknęła, biorąc dziwny akord, kiedy głowa Dany zderzyła się z deptakiem. Zobaczyła gwiazdy, a przez załzawione oczy ujrzała Gabe'a. Trzymał ją mocno, niemal rozkraczył się na niej i miał taki wzrok, jakby chciał ją uderzyć, ale nie zrobił tego, tylko po prostu trzymał ją mocno i wyrzucał z siebie niekontrolowane słowa:

- Ty... głupia... pijaczko. Płacząc, potrząsnęła głową.

- Zachowujesz się tak, jakby twoje życie nie było gówna wartej Nienawidzę takich ludzi. Nienawidzę ciebie. Nienawidzę, bo pijesz i jesteś głupia.

- Zamknij się. - Gwałtownie odepchnęła jego ręce i usiadła.

Usłyszała ocean i wyjące syreny, i zobaczyła pijaczków w pomarańczowej poświacie ognia w zaułku. Bolała ją głowa. Bolało i piekło wszędzie. Podczołgała się do futerału z gitarą. Tlił się, ktoś rzucił na niego kawałek szmaty, ale rączka była zimna.

Złapała go i wstała.

Zamroczona, zatoczyła się przy karuzeli i poleciała na murek przy deptaku. Ktoś ją podtrzymał. To był Gabe.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób - mruknęła. - Skoro mnie nienawidzisz, zostaw mnie w spokoju. - Odepchnęła go.

266 *Margot Early*

Przy kasie z biletami Jenny stała zapatrzona w blask ognia na deptaku, którego nie widziała od 1971 roku. Rzuciła nienawistne spojrzenie Ja-ke'owi, który tylko się uśmiechnął. Jeszcze miał swojego papierosa. Po chwili Jenny podeszła, żeby także zapalić.

Dany pochyliła się nad futerałem. Gitara była nienaruszona.

Zobaczyła cienie, zaglądnące jej przez ramię. Podniosła wzrok i powiodła nim od bosych stóp matki, przez spódnicę, aż zatrzymała go na jej twarzy.

- Czyja to gitara? - zapytała Jenny. - Do kogo należałaś

Dany nigdy z nikim nie rozmawiała o tej gitarze. Nigdy nikomu nie powiedziała, że to kolekcjonerski okaz, skarb znaleziony w lombardzie, symbol, ważny symbol.

- Do Briana Jonesa. - Dany zamknęła futerał. Śmiech Jake'a był najbardziej przyjaznym odgłosem tej nocy.

Kiedy Gabe podał mu futerał, syreny wyły blisko. Zajeżdżały wozy strażackie.

Gabe poprowadził Dany za murek, przez plażę i dalej, jak najdalej od płomieni.

- Jeśli Gondolier spłonie - powiedziała - chciałabym to zobaczyć.

- Jeśli Gondolier spłonie, zobaczą to nawet w San Diego.

Kuchnia duszy 267

Przełknęła łzy. Nie warto płakać. Nazwał ją głupią pijaczką i powiedział, że jej nienawidzi.

To są tylko słowa. Tylko słowa. Nienawiść chodzi w parze z miłością.

Znaleźli miejsce przy molo i ułożyli się na wilgotnym piasku.

- Kto to taki Brian Jones?- zapytał Gabe.

- Nieżyjący gitarzysta Rolling Stonesów. Obok podpełzł krab. Dany wytrzepała piasek ze skarpetek i palcami szesała do tyłu włosy, z których odpadły zwęglone kawałki.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że się paliła i że wyszła z pożaru. Nagle przypomniała sobie Ginger i Celeste. Gdzie śpiąś Czy pożar je obudził-

- A jak umarłś Och, Brian Jones.

- Utonął w basenie, kiedy miał dwadzieścia siedem lat. Poparzyłam się.

Pozwoliła Gabe'owi obejrzeć tył głowy i plecy.

- Nie wygląda to groźnie - powiedział. - Ale nie zaszkodzi pokazać paramedykom.

A potem sobie poszedł.

Strażacy skierowali węże na kolejkę. Mieszkanie było zniszczone, razem z kuchnią duszy Jenny. Płomienie strawiły mural na zewnętrznej ścianie Rolleramy.

Jenny płakała. Mędrzec podał jej butelkę w torbie z szarego papieru. Potrząsnęła głową i przytuliła się do Jake'a.

268 *Margot Early*

Stojąc koło karetki pogotowia, gdzie opatriono jej głowę, Dany szukała wzrokiem Gabe'a. W końcu wypatrzyła jego rodzeństwo w tłumie gapiów na deptaku, przypatrujących się pożarowi kolejki. Jack polewał wężem Salon Tatuażu, w końcu dał spokój, wychodząc z założenia, że ubezpieczenie pokryje straty. Wyniósł z salonu przenośne stereo i nastawił płytę Doorsów jako requiem dla miejsca, w którym spał Jim Morrison.

Gdzie jest Gabe?

Opatrzona - skończyło się na paru opatrunkach z tyłu ramion i na karku - ruszyła na poszukiwanie. Minęła matkę przytuloną do Jake'a i stojący obok nich futerał z gitarą. Ktoś ofiarował im trochę sznura do bielizny - na smycze dla trzech psów.

Jim Morrison śpiewał „Kryształowy statek” jak pożegnalny pocałunek.

Przez trzydzieści lat Jenny kochała go, a teraz pomnik jej pamięci dla niego płonął.

Ktoś pociągnął Dany za sweter. Odwróciła się niechętnie, pewna, że to Mędrzec albo jeden z włóczęgów.

To był Gabe.

Z tyłu, za nim, runął dach wrotkami. Nie usłyszała, co powiedział, raczej zobaczyła: -
Chodźmy stąd.

Kuchnia duszy 269

Jego rodzeństwo szło przed nimi. Jake obiecał zaopiekować się Jenny i zabrać ją na przystań, do swojej dżonki Lien Hua. Przyciskając gitarę, Dany wspinała się po schodach jak otępiała, mając ciągle przed oczami pożar, drewniane wsporniki Gondoliera, walącą się wrotkarnię.

- Nie wsiądę więcej do kolejki - powiedziała. Ale on zabierał ją do domu.

Jeremy otworzył szklane drzwi, bo miał zamiar przespać się na balkonie. Dziewczynki zaczęły sobie robić posłanie po dwóch stronach dużej kanapy w kształcie litery L.

- Zagrasz na tymś - zapytała Magda, wpatrując się w gitarę, a Dany, nie traktując tego poważnie, wzruszyła ramionami.

Ale Jeremy uniósł brwi.

- Jasne - zapalił się.

Usiadła na krześle z uszkodzoną tapicerką, otworzyła futerał, wyjęła instrument i dostroiła gitarę. Nadal zamroczona, zagrała „Kuchnię duszy”. Kuchnię Jenny.

Ostatnia piosenka.

Ostatni utwór wielkiego finału.

Potem odłożyła gitarę i udała się za Gabe'em do jego sypialni.

Tylko materac i rama ze sprężynami na podłodze, i puste ściany, nie licząc odwróconych do ściany płócien.

Gabe wyszedł na chwilę.

270 *Margot Early*

Słyszała, jak rozmawia z dziewczynkami po hiszpańsku. Kiedy wrócił, zamknął drzwi i przekręcił klucz. Potem zgasił światło.

Oczyma duszy zobaczyła wrotkarnię i pędzącą nad nią kolejkę górską. Świat, który podarowała jej Jenny, dzieciństwo w krainie z bajki, której nie doceniała.

Rozbierali się w ciemności. Dany niepotrzebne było światło, żeby widzieć Gabe'a. Zawsze miała go tuż pod powiekami. Obojętnie przyjęła fakt, że położył się obok niej na materacu.

Dopiero kiedy sięgnął po nią, kiedy odszukał wargami jej usta, powiedziała:

- Słowo „przepraszam” znacznie poprawiłoby sytuację.

- Przepraszam.

Nie poczuła się usatysfakcjonowana.

W przeciwieństwie do fizycznych doznań.

Ty mnie nie kochasz.

Była zła na siebie, że jej na tym zależy. Nieodwzajemniona miłość nie pasowała jej. Odwzajemniona, niestety, również.

Nie wiedziałyby, co zrobić, gdyby ktoś naprawdę się w niej zakochał.

Pewnie by tego kogoś odprawiła, tak jak odprawiła Keale'a.

- Dany, odpreź się.

Pod czułym dotykiem jego ręki stopniowo się otwierała. Robił to inaczej niż wtedy, gdy byli na

Kuchnia duszy 271

dachu. Kiedy pierwszy raz jęknęła z rozkoszy, uprzytomniła sobie, że dotąd wstrzymywała oddech. Smagał językiem jej uda... Gabe... Robił te rzeczy tak, jak tego zawsze pragnęła. Tłumiła krzyk. Zatrzymał się nad nią, a sposób, w jaki wciągał gumkę, też był inny tym razem. Całował Dany, kiedy w nią wchodził.

Boże, byli kochankami.

Pieścił jej twarz, a ich pocałunki były wilgotne jak plaża, a pachniały i smakowały seksem. Powiedział coś, czego nie chwyciła.

- Co?

- Dobrze się czujesz?

- Tak.

Pomyślała, że stara się być czuły i że nie idzie mu to najlepiej, choć i tak był w tym bardziej naturalny, niż kiedy pozwalał jej na czułość wobec siebie.

- Jaki jesteś - zapytała - kiedy idziesz na całość?

- Nie idę. - Odpowiedzi towarzyszył uśmiech.

Pocałowała Gabe'a. Nigdy by mu nie dorównała w kontrolowaniu emocji i dawkowaniu rozkoszy. Kiedy porwał ją rytm seksu, nie mogła się zatrzymać, a on powiedział:

- Dzielna dziewczynka.

A kiedy szczytowała, przytrzymał ją, tulił, a potem przeturlał na plecy, pod siebie, i wtedy na wpół zerkając na niego, ale głównie czując jego

272 *Margot Early*

ciężar, poczuła kołyszący się ruch w sobie, aż i Gabe'a przeszedł spazm rozkoszy.

Chwilę później usiadł na brzegu łóżka, jakby się zastanawiał, co dalej.

Zamknęła oczy, pragnąc, żeby położył się przy niej i znów trzymał ją w ramionach.

Wszedł do łazienki, wyszedł po krótkiej chwili i wsunął się do łóżka.

Odwróciła się w jego stronę, przysunęła, poczuła i zobaczyła, jak zdejmuje kosmyki włosów z jej twarzy. Przyciągnął jej biodra do siebie. Pocałował ją. Pocałował. Nie odrywał od niej ust.

Och, nie przestawaj.

Gdzieś z dala słyszała szum oceanu... i upajała się jego smakiem. Gabe...

Nie składał żadnych obietnic, ale znów delikatnie ją kochał. Raz i drugi.

Trzy razy.

A potem było już widno, a ona nie mogła sobie przypomnieć, czy spała, bo zdołała zapamiętać tylko tyle, że przez całą noc go dotykała. Nie rozdzielili się ani razu.

Wrotkarnia zniknęła.

Żadne z nich nie opuściło łóżka. Jego oczy były ciemnobrązowe, bardzo ciemnobrązowe, ciemniejsze niż jej.

Kuchnia duszy 273

Jego ręka leżała między jej udami.

- Dzieciaki poszły do szkoły.

Czekała, kiedy się ruszy, żeby wstać. Nie doczekała się. Trącił ją.

- Nie masz nic lepszego do roboty - Nie wypadło to tak nieprzyjemnie, jak zamierzała.

Rozśmieszyła go.

- Nie.

Wyszli z domu w południe i poszli się kąpać. Nie dotykali się w wodzie ani po wyjściu.

Dany umościła się na ręczniku i przyglądała się nadpalonej kolejce górskiej. Koniec od strony wrotkar-ni częściowo runął, drugi pozostał nietknięty.

- Ciekawe, jak tam matka.

- Jeśli chcesz, mogę cię zawieźć do stoczni, bo tam pewnie jest.

I pozbyć się mnie.

- Właściwie, to...

Poszli do „Common Grounds”, gdzie Gabe kupił jej lunch i kawę, po czym wrócili do domu i z powrotem do łóżka.

- Czy to coś znaczyć - zapytała.

- Tak.

- Trochę mnie to przeraża.

Skotłowana pościel zsunęła się niezauważenie na podłogę. Zaszło słońce. Do tego czasu zdążyli poznać nawzajem swoje oczy i przekonać się, że

274 *Margot Early*

miłość im służy. Kiedy powtórzyła, że to wszystko ją trochę przeraża, nie uspokoił jej, nie powiedział, że nie ma powodu.

- Właściwie, to... Cóż... - To była cała jego odpowiedź.

Poruszyła nowy temat:

- Twoje rodzeństwo nie wróciło.

- Pewnie w domu jest w porządku.

- Dlaczego nie weźmiesz ich do siebie na stałe?

- Najgorsza matka jest lepsza niż żadna.

- Mówisz tak, jakbyś nie wiedział, jak jest naprawdę.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam wielkiego zaufania do sądu. Jestem mozaikarzem i cieciem, czyli takim prawie nikim. Skończy się na tym, że oddadzą je komuś pod opiekę i porozsyłają po całym hrabstwie. A tak mają matkę, nieważne, jaka jest, mają mnie, no i mają siebie.

Przygotował kolację, a kiedy zjedli, Dana sięgnęła po gitarę.

Przy otwartych drzwiach balkonu zagrała palcówkę - melodię Beatlesów „Zrobię to” - i zaśpiewała mu słowa o miłości, nie patrząc na niego ani razu.

Kiedy skończyła, obejrzała się. Stał oparty o barenki, bez koszuli, i wpatrywał się w nią.

- O czym myślisz?

Kuchnia duszy 275

Poruszył ustami, zanim w końcu powiedział:

- Jesteś śliczna. Spodziewała się czegoś innego. Przystroiła gitarę na bluesa.

Ukucnął obok niej, bardzo blisko, i wziął gitarę z jej rąk.

- Wracajmy do łóżka.

Wieczorne odgłosy od strony deptaka przypomniały Dany, że jeszcze nie widziała się z matką, nie poszła też zobaczyć wrotkami. Kiedy napomknęła o tym Gabe'owi, usłyszała w odpowiedzi:

- Ona wie, gdzie cię szukać.

- Nie wie, gdzie mieszkasz.

- Powiedziałem jej. Jake się nią zaopiekuje. A ja opiekuję się tobą.

- To by dopiero była nowość, gdybyś pozwolił, żebyśmy, w rewanżu, od czasu do czasu, zaopiekowała się tobą!

Martwa cisza.

Znów trzeba zmienić temat, udawać, że jest świetnie.

- Nie miałeś być dzisiaj w pracy? U Jacka?

- Robienie muralów w Venice to poważna sprawa. Myślę, że nikt się nie zdziwi, kiedy się nie pokażę. - Kolejna cisza. - O co ci chodzi, Dany?

- O nic. - Nienawidziła siebie. Drżał jej głos. - Sądziłam, że chcę wyjechać z Venice. Myślę, że

276 *Margot Early*

po prostu chciałam ciebie. **Zawsze** korci... żeby zgodzić się na mniej. Ale chyba robienie tego jest też grzechem.

Jego oczy wyrażały zainteresowanie, ale niczego nie przekazały.
Żadnych obietnic.

O, wy dopiero, wy mroczni i nocni, tworzycie ciepło z tego, co świeci!

*O, wy dopiero spijacie mleko i pokrzepienie z wymion światła!*⁶

Friedrich Nietzsche „Tako rzecze Zaratustra”

⁶Przekład: Sława Lisiecka i Zdzisław Jaskuła, Warszawa 1999. (Przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dziki Dziecko

Wieczorem pojechali samochodem Gabe'a do stoczni, gdzie na dziobie dżonki zastali Jake'a i Jenny z pitbullami.

Jake zaproponował Dany kieliszek daiquiri, ale odmówiła. Tak, teraz ma coś do stracenia.

Była gotowa przestać pić. Chciała Gabe'a, a miłość dodawała jej sił.

Próbowała dopatrzeć się jakiejś zmiany w matce. Od dwudziestu pięciu lat pragnęła, żeby Jenny opuściła Rolleramę. Teraz zmusił ją do tego pożar.

Czy jest inna?- Może trochę nerwowa. Ale wesola. Czulo się w niej jakąś energię i werwę.

Jesteś piękna, mamó.

Jake wodził za nią oczyma.

Tak, matka pozostała dawną Jenny - długie włosy, powłóczysta spódnica - miała swój własny, niepowtarzalny styl.

278 *Margot Early*

- Widziałam się dzisiaj z facetem od ubezpieczeń. - Jenny strząsnęła popiół z papierosa do wody. - Wystarczy na odbudowę.

Dany poczuła skurcz żołądka.

- Odbuduję albo zainwestuję w jakiś interes - dodała Jenny.

- To już jest jakiś pomysł - powiedziała Dany. Gabe, który siedział nieco dalej, podniósł się, podszedł i dotykając jej lekko, stanął za nią z tyłu. Dany zapragnęła znowu znaleźć się z nim sam na sam.

- Albo wzniesiemy nowy pomnik na cześć wielkiego Jima Morrisona - dodała, sprowokowana chłodnym spojrzeniem matki.

- Dany - mruknął Gabe.

Jak wtedy, kiedy powiedział: „Daj spokój, Dany”.

Nie cierpiała tej obłudy, jej cierpliwość była na wyczerpaniu. Strasznie chciała się napić, ale obiecała Gabe'owi, że nie będzie piła, więc stłumiła pragnienie. Ale to wszystko było takie ohydne, tyle w tym było fałszu.

- Założę się, że nawet z nim nie spałaś.

- Wróciłaś do wrotkami po gitarę Briana Jonesa - zauważyła Jenny - podczas gdy cały czas nosisz w sobie geny Jima Morrisona. To o czymś świadczy, nieprawdaż

- Sugerowanie, że mogę być jednym z jego pomiotów, uważam za ohydne. Dlaczego nie

Kuchnia duszy 279

porozmawiamy o tym, kto naprawdę jest moim ojcem?

- A jakie kłamstwo chciałabyś ode mnie usłyszeć? - zapytała Jenny.

Prawdę!

- Kłamstwo, z którym mogłabym żyć! - Tak bardzo chciała się napić. Whiskey ubarwia świat, czyni je radośniejszym.

Matka odchyliła się, oparła na poduszkach ratunkowych i z zadowoleniem zaciągnęła się papierosem.

- Dlaczego muszę być jego córką? - awanturowała się dalej Dany. - Dlaczego nie jestem jak Atena, która wyskoczyła Zeusowi z głowy? Nie mogłabyś wymyślić czegoś w tym rodzaju? Cokolwiek, tylko żebym mogła być sobą!

- Och, jesteś sobą - mruknęła Jenny. - O to się nie martw.

- Mam pomysł na nową ślizgawkę - ożywiła się Dany. - Disco, a może Elvis. Nazwiemy ją Graceland Skateland.

- Po co poprawiać coś, co idzie dobrze?

- Idzie dobrze? Lata sześćdziesiąte to porażka, a nie żaden sukces! Całe szczęście, że wam się nie udało, w przeciwnym razie cały świat byłby jak Venice. „Wszystko ujdzie”, to była wasza dewiza. Lata sześćdziesiąte to początek zachwiania fundamentów moralności w tym kraju. - Wcale tak nie uważała, ale powiedziała

280 *Margot Early*

to z przyjemnością, co więcej, nie poprzestała na tym. - Roi się tu od gejów i samotnych matek-dziwolągów, takich jak ty. To okropne. Ludzie bez pracy, ludzie na zasiłkach. Ludzie, którzy sikają po bramach. - Wydało jej się, że słyszy śmiech Jake'a. - Starzy faceci z długimi włosami - dodała natychmiast.

Jenny uśmiechała się dziwnie, jakby zobaczyła ducha.

- Nie powinnaś odbudowywać tej ślizgawki. Powinnaś inwestować na giełdzie.

Matka zaśmiała się na cały głos.

- Chcesz posłuchać czegoś o moralności?

- Wiem, że jesteś w tym dobra. Chodzi ci o świat według Jamesa Douglasa Morrisona?

- Dany, świat dzieli się na świat ludzi tolerancyjnych i na świat tych drugich, a ja wiem, do którego z nich należę i który z nich jest lepszy.

- Oczywiście, i dlatego nie zareagowałambyś, gdyby na twoich oczach trzyletnie dziecko musiało... - Nie, nie będzie teraz opowiadać o tym, co dzieje się w ich zaułku.

- Musiałaś być więc szczęśliwa w Laguna Beach. Żadnych ćpunów. Żadnych pijaczków. Żadnych oszołomów.

Jenny wiedziała, w jakie miejsce uderzyć, żeby zabolalo. Nie darowała sobie i oczywiście uczyniła aluzję do nieudanego małżeństwa Dany i jej

Kuchnia duszy 281

nieumiejętności dostosowania się do rodziny męża. Jakby gang amfibów to byli sami normalni ludzie! Sugerowała, że Venice jest jedynym miejscem dla Dany i jej pieprzonych genów, że jest dziczką, która nie może się ustatkować i wieść normalnego życia. Której nikt nie chce i do której nikt nie ma cierpliwości. Nikt, z wyjątkiem Jenny.

- A czy z tobą można rozmawiać? - zapytała Dany. - Jesteś szalona. Nigdy nie usłyszałam od ciebie żadnej sensownej i pożytecznej rady, tylko same hippisowskie dyrdymały. Nic dziwnego, że moje małżeństwo się rozpadło. Zachowujesz się tak, jakby miłość do nieżyjącego faceta, który najprawdopodobniej nie pamiętałby twojego imienia, o ile w ogóle go znałaś, miała usprawiedliwiać fakt, że nigdy nie spróbowałaś dostosować się do tego, co cię otacza. Nawet do zwariowanego Venice.

- Dany - ostrzegł ją Jake. Posunęła się za daleko. Niezrażona kontynuowała:

- Jeśli naprawdę spałaś z Jimem Morrisonem, opowiedz, jak do tego doszło. Gdzie był wtedy dziadek? Gdzie to się odbyło?

Jenny zgasła papierosa.

- Na dachu.

Dany zaczęło walić serce.

- Gdzie był wtedy dziadek? - Dziadek umarł,

282 *Margot Early*

kiedy Dany miała osiem lat, do tego czasu prowadził wrotkarnię. - Gdzie był?

- Podróżował.

Dany nie za dobrze pamiętała dziadka. Był barwną postacią, właścicielem najstarszej deski surfingowej w Venice, w każdym razie z dumą tak twierdził.

Nigdy się nie dowiem. Nigdy się nie dowiem, czy ona kłamie.

Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. Niewiarygodna, ale głośno ją wypowiedziała:

- Dziadek.

Mowa ciała Jenny zaprzeczyła temu.

- Chryste Panie! Już sama nie wiesz, co powiedzieć, byle usłyszeć jakieś kłamstwo! - Jenny spokojnie przeniosła wzrok na portową latarnię.

Z głośników Jake'a popłynęła „Whiskey Bar” Doorsów.

Roztrzęsiona Dany poderwała się z miejsca.

- Tak. Jeszcze jak chcę. Rozpaczliwie! - Chwiejąc się na rozkołysanym pokładzie dżonki, powoli odnajdywała drogę na ląd.

Gdzie jest Gabe?

Wynurzył się z ciemności, rzucił parę słów Jake'owi na odchodne, ukłonił się Jenny i ze-skoczył na ziemię.

Dany sztywnym krokiem szła przed nim.

Whiskey bar...

W gęstej mgle dotarli do samochodu Gabe'a.

Kuchnia duszy 283

Dany zamknęła oczy, wystawiła twarz na morski wiatr i tak jechała do Venice.

- Nie bądź taka niemą dla matki - powiedział Gabe, zatrzymując się na światłach.

- To dziedziczne.

Na schodach jego domu zebrali się ulicznicy, a koło parasoli paru wyrostków nękało pannę Buffy. Gabe wrzasnął na nich i zagroził, że wezwie policję.

W budynku, pod schodami, zaszył się rozdygotany młody człowiek. Gabe zapytał go o coś po hiszpańsku, na co mężczyzna pokiwał głową.

Po wpuszczeniu D*any do mieszkania, Gabe zbiegł z kocem.

- Przepraszam, mam wrażenie, że to schizofrenik - powiedział po powrocie, zamykając drzwi na zasuwę.

Dany nie powiedziała Gabe'owi, jak strasznie chciałaby się napić.

Otworzył szklane drzwi i przyniósł gitarę, z którą Dany usiadła na kanapie.

- On nie grał na instrumencie, tylko śpiewał. To widać na wszystkich taśmach wideo z koncertów na żywo. Czasami po prostu tylko tam stoi. Kiedy indziej recytuje wiersze. Ale to wszystko było... takie... prawdziwe. Byli zgranym zespołem, porozumiewali się bez słów, jakby wzajemnie czytali w swoich myślach. Niektóre ich utwory są tak złożone, wielowarstwowe, jak muzyka symfoniczna.

284 *Margot Early*

Gabe zgasił światło. Siedzieli prawie wtopieni w siebie.

- Zupełnie jakbym ją słyszała. Potrafi o nim mówić godzinami. - Zniesmaczona postanowiła zmienić temat. - Myślałeś kiedyś, żeby zamieszkać gdzieś, gdzie nie ma karaluchów?

- To byłby mój pierwszy raz, ale czemu nie? A jak to jest?

Przypomniała sobie dom, w którym mieszkała z Brettem.

- Samotnie.

Roześmiał się, a po chwili powiedział:

- Może to, co mówi twoja mama, nie jest prawdą, ale ona... daje to, co może. Tak też było ze mną.

- To znaczy?

- Załóżmy, że nie wie, kto jest twoim ojcem. Załóżmy, że nie pamięta. Załóżmy, że brała narkotyki i po prostu nie wie, co się wydarzyło. Więc wymyśliła opowiadanie na twój użytek.

Ofiarowała ci jakąś... historię. Może powinnaś ją przyjąć taką, jaka jest.

- Zgodzić się na kłamstwo?

- Posłuchaj. Twoja mama ma... osobowość.

- O, jeszcze jaką! I to niejedną.

- Robi to, co uważa za najlepsze dla ciebie. Musisz przyznać, Dany, że stara się wychodzić ci naprzeciw, nie zostawia cię też w potrzebie.

- Czyżbym była taka uciążliwa?

Kuchnia duszy 285

- Bywasz trudna. Chcę powiedzieć, że jeśli Jim Morrison nie jest twoim ojcem, to i tak nigdy się tego nie dowiesz. Twoja mama wybrała osobę, którą podziwiała...

- Ja go nie podziwiam. Gabe uniósł brwi.

- Ofiarowała ci pewien mit, twoją własną historię stworzenia. I nigdy ci jej nie odbierze, Dany. Nie zrobiłaby ci tego.

Walcząc ze łzami, nie do końca wiedząc, z jakiego powodu, Dany powiedziała:

- To brzmi nadzwyczaj interesująco, ale na nic mi się nie zda.

- Spróbuj to wykorzystać.

- Jakż

- Na przykład kiedy grasz, kiedy patrzysz na słuchających cię ludzi. Może wszyscy jesteśmy dziećmi tych, którzy coś zostawili, coś podziwiali.

- To jest zbyt metaforyczne - warknęła - i nadal do niczego nie służy.

- Więc znajdź coś na swoją miarę. - Uśmiechnął się z wyżyn swojego doświadczenia. -

Lubisz siebie, Dany?

- Oczywiście, namiętnie! - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Świetnie, przynajmniej to uzgodniliśmy. No to spróbujmy pójść dalej. Matka ciągle ci mówi, że jesteś córką Jima Morrisona. Czy nie chciałabyś, chociaż troszeczkę, żeby tak było?

286 *Margot Early*

Przełknęła ślinę. Nazwał rzecz po imieniu, wypowiedział na głos powód, dla którego drżała. Czują, że zaraz się rozbeczy.

- Nie tylko troszeczkę...

W ciemności założyła nogę na nogę i nastroiła gitarę, czując się w zgodzie z sobą, grając na ślepo, próbując nowych akordów. Niektóre znała doskonale, ponieważ słyszała je przez całe życie.

„Przebij się”. Jej własna akustyczna wersja. Zaczęła śpiewać, ale nie mogła, nie mogła grać, więc przestała.

Teraz chodziło o to, żeby się nie rozplakać.

- Ja jej nie rozumiem. Nie rozumiem kobiety, która nie zjawia się na ślubie córki, ponieważ nie może opuścić wrotkami.

- Może nie lubiła faceta. A wracając do przeszłości, myślę, że w tamtych czasach twoja mama nie czuła się fajnie w charakterze samotnej matki. Może nie było jej lekko z własnym ojcem?

- Chciałabym, żeby mi to powiedziała.

- Mamy lata dziewięćdziesiąte. Psychologia, w tym psychoanaliza, poczyniła wielkie postępy. Powiedz, co cię boli. - Był prawie zły. - Masz trzydzieści jeden lat. Ona pięćdziesiąt. Dlaczego nie miałabyś zacząć jej kochać od teraz, tak jak ona kocha ciebie. A ona naprawdę bardzo cię kocha. Ona... - nie dokończył.

Przypomniała sobie, ile serdeczności Jenny

Kuchnia duszy 287

okazywała Gabe'owi, kiedy miał dwanaście, trzynaście lat.

- Gabe. Czy kiedykolwiek... rozmawiałeś z nią o swoim ojcu i o tym, co ci robił

. Gabe wzruszył ramionami.

- Tak... rozmawiałem z nią.

- I nikomu z was nie przyszło do głowy, żeby porozmawiać o tym ze mną?

- Twoja mama wiedziała, ile jesteś w stanie unieść.

- Zawsze mogłeś przyjść z tym do mnie. Zawsze.

- Dany, miałaś dwanaście lat.

- Wtedy. - Nie zauważał jej przez kolejnych dwadzieścia lat. - Mnie nigdy nie pozwoliłeś sobie pomóc, a mamie tak.

- Twoja matka nie żłopie Jacka Daniel'sa.

- To wykręt.

Pomyślała, że za bardzo go kocha, żeby się obrazić i go odtrącić. Więc kiedy przysunął się do niej, kiedy zaczął ją rozbierać, kiedy wsunął gumkę i był coraz bliżej i bliżej, a wreszcie kiedy w nią wszedł i kochał się z nią, zatraciła się zupełnie. Potem Gabe wstał, a ona pomyślała, że zaraz wyjdzie i że zostawi ją samą, tymczasem wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni, zostawiając otwarte okno dla światła nocy, dla światła na deptaku Venice. Trzymał jej głowę i patrzył jej w oczy, a wokół wszystko wirowało.

288 *Margot Early*

- Gabe - wyszeptała - chciałabym, żebyś czasami to powiedział. - Nawet jeśli tego nie czujesz.

- Słowami tego nie wyrażę. - Po chwili wyszeptał: - Powinnaś od czasu do czasu spojrzeć na siebie jej wzrokiem. Polubiłabyś siebie bardziej.

- A jak ty mnie widzisz?

- Jesteś jak roślina o jaskrawożółtych jak słońce kwiatach, która zawsze się odradza.

Noc odbijała się w jego oczach. Na czułościach zeszły im minuty, godziny. Wiedziała swoje. Wiedziała, że może nigdy nie będzie próbował jej ochraniać, może nigdy nie będzie się o nią bał, kiedy sama będzie szła deptakiem, może nigdy nie zaproponuje jej małżeństwa, może nigdy nie usłyszy od niego tego, co chce usłyszeć, i że na pewno nigdy nie zwróci się do niej, kiedy będzie potrzebował pomocy.

Ale wiedziała też, że ją kocha i że na swój sposób zawsze będzie ją kochał.

Jake i Keale wyruszają za dwa tygodnie.

O tym fakcie poinformowała mimochodem Jenny, kiedy obie z Dany stały przy metalowej siatce odgradzającej deptak od nadpalonego Gondoliera.

- Zagalopowałam się wczoraj. Przepraszam za moją gruboskórność - powiedziała Dany.

Było jej przykro, ale nie znosiła przeproszać.

Kuchnia duszy 289

- Sądzę, że wiem, co i kiedy mówisz szczerze, i jakie są twoje intencje.
 - Jestem bardzo szczerą. Szczerą po swojemu.
 - Wiem.
 - Chodź, mamó, postawię ci kawę. Latte.
 - Z przyjemnością. - Słodki uśmiech Jenny mówił, że uznała espresso za dobry wynalazek lat dziewięćdziesiątych dwudziestego stulecia.
- Usiadły w oddalonym kąciku kawiarni „Common Grounds”, po czym Dany poszła złożyć zamówienie. Jenny lubiła kawę latte.
- Kiedy przyniosła obie kawy do stolika, zapytała matkę:
- Czy Jake zaproponował, żebyś popłynęła razem z nim?
 - Nie. - i znów Jenny skwitowała uśmiechem romantyczny pomysł córki. - Mogę tu zapalić?
 - Nie. W ogóle nie powinnaś palić.
 - Dlaczego?
 - Umieranie na raka jest czymś strasznym.
 - Wezmę to pod uwagę. Powiedz mi, jakie masz plany, Dany. Jake powiedział, że możemy zamieszkać na „Lien Hua”, jeśli zapłacimy przystani opłatę postojową.
 - Cóż za wspaniałomyślna dusza! - Przypomniała sobie słowa Gabe'a na temat mitu, który ofiarowała jej matka. — Mówiłaś, że nie opuszczasz wrotkami z miłości. Co chciałaś przez to powiedzieć?

290 *Margot Early*

Jenny upiła łyżek latte.

- Może trudno będzie ci to zrozumieć, ale czasami, kiedy otrzymujesz dar w postaci wielkiej miłości, nie chcesz pozwolić jej odejść. Musisz ją jakoś uhonorować.

Serce Dany zabiło gwałtownie. To tak, jak z jej uczuciem do Gabe'a. I choć wiedziała, że on kocha ją mniej, nie potrafiła porzucić swojej miłości do niego. Zawsze tego się strasznie obawiała.

- Zgadzą się na mniej i mniej, aż nic już nie pozostanie do stracenia - zaśpiewała cichutko.

- To prawda.

Nawet nie zauważyła, kiedy wzięła Jenny za rękę. W jakim momencie trzymanie matki i patrzenie jej w oczy z przekonaniem, że Jenny zawsze starała się kierować ją ku prawdzie, stało się takie oczywiste i zgodne z jej odczuciami? Kto, jak nie Jenny, zagrzewał ją zawsze do muzyki i poezji z przekonaniem, że to jej zapewni jakąś godność, da coś, czego będzie się mogła uczyć ?

Chcę więcej, mamo, kocham Gabe'a. Nie przeszło jej to przez gardło. Ale było coś innego, co chciała powiedzieć matce.

- Już nigdy nie będę narzekać. Nie będę wieszać psów na moim ojcu. Jestem... jestem z niego dumna.

Para niebieskich oczu wpatrywała się w nią wnikliwie, jakby próbując odczytać, co naprawdę

Kuchma duszy 291

znaczą te słowa, i z czym naprawdę pogodziła się Dany.

W końcu Jenny sięgnęła po filiżankę i wypila łyżeczek kawy.

- To dobrze. - Wzrok matki powędrował ponad córką. - A oto i twój przyjaciel.

Po chwili dołączył do nich Gabe i uściskawszy Dany, usiadł za nią w kąciku. Od tego momentu toczyła się luźna rozmowa. Dopiero po jakimś czasie Jenny powiedziała mimochodem:

- Gabe, chcę wam złożyć ofertę. Istnieje możliwość wykupienia udziałów we wrotkami. Moglibyście tam zamieszkać z Dany.

Dany zamarła. Matka zarzuca przynętę na Gabe'a, żeby jej nie porzucił.

Ręka Gabe'a na jej ramieniu nie drgnęła, ale jakby ubyło jej trochę prądu, tego intensywnego sprzężenia z nią.

- To miła oferta, Jenny - odpowiedział.

- Jesteś miłym facetem.

Dany była speszona. Czy jestem aż taka do niczego, że matka musi przekupywać Gabe'a, aby mnie zatrzymał przy sobie?

Znowu zapragnęła napić się czegoś mocnego. To było tak, jakby w środku miała jakiś bojler.

Mogła tak trzymać dniami, tygodniami, miesiącami. Któregoś dnia eksploduje. Któregoś dnia eksploduje, a kiedy to się stanie, z Gabe'em wszystko się skończy.

292 *Margot Early*

Nie znosiła sytuacji, które przypominają ultimatum, ani ludzi, którzy je stawiają. Nie znosiła, kiedy ją osądzano. Jedyne rodzaje miłości to miłość bezwarunkowa. Reszta nie jest miłością.

Godzinny program z muzyką reggae dobiegł końca, i w radio zaczęli puszczać „stare złote przeboje”, zaczynając od bluesowej piosenki „You were on my mind”.

Jenny zawtórowała i upiła łyk kawy.

- Zamówisz mi kawę, Dany?

- Jasne.

Wstała, przecisnęła się między stolikiem i Gabe'em i zostawiła ich samych. Sporo czasu upłynie, zanim Jenny i Gabe zorientują się, że opuściła kawiarnię.

Kupiła sobie whiskey.

Zaraz poczuje się przyjemnie. Nikt, ale to nikt, nie ma prawa wtrącać się w moje sprawy.

Żyjemy w wolnym kraju.

Trzymając przy sobie butelkę w torbie z szarego papieru, kazała Mędrcom nie dotykać jej.

- Sama to wypiję.

Nastroiła gitarę, a potem zagrała i zaśpiewała „Passionate Kisses” Mary Chapin Carpenter.

Turyści zatrzymywali się, żeby posłuchać, a jakiś dobrze ubrany mężczyzna wrzucił dziesięć dolarów do futerału.

Kuchnia duszy 293

- Dziękuję bardzo. Jestem córką Jima Morrisona - powiedziała Dany, grając refren.

Mężczyzna cofnął się i popatrzył na nią z politowaniem. Takim spojrzeniem obrzuca się ćpu-nów i innych popaprańców.

Wyśpiewała swój cały repertuar piosenek Doorsów. „Kuchnia duszy”, „Przebij się”, „Whiskey Bar”.

Jim Morrison studiował psychologię tłumu. Kiedy Dany była nastolatką, próbowała robić to samo, po to tylko, żeby zobaczyć, co czytał. Trudno było o odpowiednie książki. Trudno było ukrywać przed matką, co robi.

Nawiązywała kontakt wzrokowy z tłumem, jej oczy uśmiechały się do ludzi promiennie.

Śpiewała piosenki Roberta Johnsona. Country i western. Swoje piosenki. Wlewała w siebie whiskey, które paliło gardło, i nie wypatrywała Gabe'a na deptaku. Było jej wszystko jedno, co o niej pomyśli.

Coraz częściej nie trafiała w struny, ale nie przestawała grać. Ktoś zabrał pieniądze z futerału. Widziała to i nie zaprotestowała, bo poplątały się jej język. Roześmiała się.

Zatrzymał się przed nią jakiś umięśniony łysy byczek.

- Rzygać się chce od twojej muzyki. Nie mogłabyś się zamknąć? - powiedział.

Nie pamięta, co mu odpowiedziała. Próbowała

294 *Margot Early*

go walnąć, ale miała gitarę na szyi. Włożyła ją do futerału i poniosła razem z butelką w stronę domu Gabe'a.

Siedział na schodach. Zaśmiała się na jego widok.

Otworzył przed nią drzwi i poszedł za nią na górę.

Mieszkanie wirowało. Odstawiła gitarę i ułożyła się na kanapie na kolejnego drinka.

Gabe wybrał krzesło, jedyne, z rozprutą tapicerką.

- Jesteś gnojkiem - powiedziała. - Nienawidzę takich jak ty.

Potał twarz, wstał i wyszedł na balkon, zamykając za sobą szklane drzwi.

Nic tu się nie trzymało kupy. Dany wstała i ruszyła w stronę drzwi wyjściowych.

Gabe otworzył balkonowe drzwi i znów wszedł do mieszkania.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Popływać. Chcę być sama.

- Żeby zrobić jakąś scenę? Myśli, że ją rozumie.

- Jesteś gnojkiem - powtórzyła. - Chodzi ci tylko o seks. Tylko tego chcesz. Moja matka o tym wiedziała. Jake to wiedział. Wyobraź sobie, że i ja wiedziałam. Może ja też tylko tego chcę. Nie potrzebuję żadnego tandetnego drobnomieszczańskiego ślubu. Już to brałam.

Kuchnia duszy 295

Bełkotała. Wiedziała, że za dużo wypła, ale miała to gdzieś.

Nie odzywał się, tylko gapił się na nią.

- O czym myślisz? Wiem, że nigdy mi nic nie powiesz. Chcesz, żeby inni byli słabi, ale sam nigdy nie okażesz słabości. Nie ze mną. Pieprzę cię i każdego takiego jak ty. - Otworzyła drzwi i uderzyła się nimi w głowę.

Gabe'owi nie było do śmiechu.

- Nic ci nie jest, Dany?

- Nic. - Odwróciła się gwałtownie. - Mam się świetnie. W ogóle jest świetnie.

- Będiesz miała podbite oko. - Dotknął jej twarzy.

Miał taką minę, jakiej jeszcze u niego nie widziała.

Odepchnęła go i wyszła.

Kochał ją do szaleństwa, ale nie poszedł za nią, tylko oparł głowę o ścianę. Wypróbowuje go, świadomie czy nie. Wiedział, że to nie ma nic wspólnego z ich przyszłością, która była jedną niewiadomą. Dany mogłaby chociaż spróbować. A nuż się uda. Przecież i tak mogliby w dalszym ciągu pozostać sobą. Zawsze pozostałby obszar - jej słabość do folgowania sobie - o czym niekoniecznie musieliby rozmawiać. Co nie zmienia faktu, że zawsze będzie chciał, żeby więcej nie piła. W przeciwnym razie nie dopuści do niej swojego rodzeństwa. Może będzie

296 *Margot Early*

musiał poprosić, żeby się wyniosła. Może to na nią jakoś podziała, a może nie. W każdym razie wszystko zależy od niej.

Może powinien pójść za nią? W tym stanie jest bezbronna. Może zostać zgwałcona, może się utopić. Ktoś ją może zamordować dla pieniędzy, których nie ma przy sobie.

Czuł do tego odrazę, ale musiał za nią pójść.

Nie chciał się nią opiekować w ten sposób.

Nie chciał też, żeby ona troszczyła się o niego. W jakikolwiek sposób.

Wziął klucze, wyszedł na korytarz i przekręcił zamek w drzwiach.

Poeta czyni się jasnowidzem przez długotrwałe, bezmierne i świadome rozprężenie wszystkich zmysłów. Wszystkie formy miłości, cierpienia, szaleństwa [...] Nieopisana tortura, w której trzeba mu całej wiary, całej nadludzkiej siły, w której staje się wśród wszystkich wielkim chorym, [...] wielkim przeklętym - i najwspanialszym Uczonym! Bo dociera do n i e z n a n e g o! [...] Niechaj kona w swoim skoku...⁷

Arthur Rimbaud, list do Pawła Demeny'ego

⁷Przekład. Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego, Kraków, 1993. (Przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ujrzałem cię

- Idź do domu, Dany, jesteś pijana. Lavinia, jedna z koleżanek z „Whole Earth Café”, zatarasowała jej drogę.

- Powiedz Spudowi, żeby może sobie wsadzić gdzieś taką pracę. Jestem córką Jima Morrisona. Jestem największą żyjącą poetką w Venice i nie zamierzam spędzić reszty życia na obsługiwaniu klientów. Nie godzę się na kłamstwa, nie zgadzam się na mniej
Czy nie ma prawdziwej miłości?

- Dany, proszę, idź do domu, zanim wróci Spud - prosiła Lavinia.

- Ona idzie do domu - odezwał się z tyłu chropawy głos Jenny.

Dany odwróciła się błyskawicznie. Co matka tu robisz Przecież nigdy nie opuszcza wrotkami. Och, ale przecież wrotkarnia spłonęła.

298 *Margot Early*

Wyszły na słońce i na plażę. Dany łyknęła sobie, kiedy piasek sparzył jej gołą stopę. Miała wrażenie, że nadepnęła na żarzącego się peta.

- Powiedz mi tylko jedno. Tylko jedno. Gabe mówi, że podarowałaś mi Jima Morrisona. Że to jest prezent. Czy to prawda?

Plaża wirowała, więc Dany usiadła. Jej matka również usiadła i wylała Jacka Daniel'sa.

- Nie dałam ci go. On mi dał ciebie. Próbowała spojrzeć matce w oczy, doszukać się w nich prawdy.

Jakie to proste. Gabe ma rację. Jenny nigdy nie wycofa swojego kłamstwa. O ile to kłamstwo. Nigdy nie zmieni swojej opowieści. Ponieważ mnie kocha.

- Dany, kochasz Gabe'a?

- Jasne. - Nie potrafiła tak szybko przestawić się nowy temat.

- To nie jest odpowiedź. Pytam poważnie. Czy Gabe jest właśnie tym jedynym?

Fale dopływały do nich, więc chyłkiem się oddalały.

Jenny westchnęła:

- Zdaje się, że jestem w błędzie.

- On jest wszystkim, czego zawsze pragnęłam. Od wieków. Nie zdawałam sobie sprawy, że to właśnie jego pragnę. Ale prawdziwa miłość... Zawsze pragnęłam prawdziwej miłości, a ty za-

Kuchnia duszy 299

wsze mówiłaś, że istnieje wiele rodzajów prawdziwej miłości.

- Tak mówiłam? Jenny zamyśliła się.

- Może - powiedziała po chwili - miałam na myśli to, że prawdziwa miłość przybiera różne postacie. Nie zawsze przywdziewa identyczne szaty.

- Nie chcę go, jeśli mnie nie kocha w taki sam sposób. Nie godzę się na mniej.

- Musisz dać mu szansę, żeby cię pokochał. Musisz też wiedzieć, że nie ma na świecie dwojga ludzi, którzy kochają w taki sam sposób. Zastanawiam się, czy specjalnie nie zrażasz go do siebie. Czy nie upijasz się po to, by dać mu pretekst, żeby cię nie kochał.

- Wszystko jest lepsze od jego uporczywego niekochania mnie.

- Jeśli nie on, to może ktoś inny cię pokocha. Wykluczone. Nikt poza Gabe'em nie wchodzi w rachubę.

- Nie to nie - powiedziała nagle Dany stanowczym tonem. - Jeśli się zmienię, zrobię to dla siebie, nie dla niego. Dla mojej poezji. Mając taki dar, nie potrzebuję miłości. - Wstała i skierowała się w stronę murku przy deptaku. Nagle odwróciła się i skłoniła przed matką. - Córka Jima Morrisona, do usług.

- Dany.

300 *Margot Early*

Poczuła pot i sól, i spojrzenia ludzi na deptaku. Matkę przytrzymującą jej twarz.

- Wiesz, czyją jesteś córką? - mówiła Jenny. - Moją. Kocham cię. Zaufaj temu, co widzisz, i trzymaj się tego. Jesteś moją córką i kocham cię, Dany.

Poczuła, że lecą jej łzy. Nie była córką Jima Morrisona. Była miejscową pijaczką.

A kiedy się wyszłochała, Gabe nadal jej nie kochał.

Nie było jej pod parasolami, nie było jej na plaży.

- Nie widziałeś królowej wrotkami? - zapytał Gabe Mędrca.

- Nie, gościu. A ty znasz królową wrotkarni?

- Nie - powiedział Gabe i poszedł dalej, w kierunku spalonej Rolleramy.

Tam ją znajdzie.

Nie szukał jej dlatego, że to była Dany, ani dlatego, że ją kochał. Szukał jej z powodu chorobliwej zależności, jaka wytwarza się między ludźmi, którzy piją, i ludźmi, którzy ich kochają.

Dostrzegł je. Siedziały na ławce przed ogrodzeniem z drucianej siatki. Dany obejmowała się ramionami i wyglądała jak ponury komentarz do życia. Obok niej Jenny wydmuchiwiała dym z papierosa w stronę morza. Tłum ludzi na deptaku nie zauważał dwóch kobiet na ławce. Jenny

Kuchnia duszy 301

zdawała się patrzeć gdzieś ponad nimi - na fale, na grzywy, na cumujące łodzie.

Na ławce, obok Jenny, było wolne miejsce.

- O czym myślisz, Jenny? Zamrugła, otrząsnęła się.

- O niczym.

O oceanie. O Jake'u. Jenny Wilde nie była za stara na marzenia.

- Jeśli chcesz odejść, mogę tu posiedzieć - zaproponował Gabe.

Opryskliwe milczenie Dany mówiło o tym, jak bardzo jest urażona. Wiedział, dlaczego zaczęła pić. Nie chodziło o alkohol. Nawet nie chodziło o znieczulenie siebie. Chodziło o bezwarunkową miłość i o przyrzeczenia na całe życie. To był jej sposób wyrażania siebie. Był tylko jeden problem. Dany nie musiała wypijać całej butelki, żeby się przekonywać o jego miłości. Wiedział, jak to jest z alkoholikami. Wiedział, że nie ma żadnych gwarancji.

Postarasz się chociaż spróbować, Dany?

Bo jeśli nie...

Wstał i spojrzał na nią.

- Chodźmy do domu.

Dany obudziła się z dolegliwościami żołądka.

Spośród różnych dźwięków Venice wyłowiła dźwięk wiatru, czuła smrody Venice. I smród farby.

302 *Margot Early*

Wszystko, co pamiętała, a co docierało do niej jak przez mgłę, było przykre i bolesne. No i co, zrobiłaś to, co chciałaś, Dany. Pokazałaś mu, że nie zmienisz się dla niego. Gratuluję, masz potężnego kaca.

Spróbowała usiąść. Na dworze było ciemno, ale w pokoju obok paliło się światło. Wygrzebała się z łóżka. Pomimo strasznych mdłości dotarła do drzwi. Gabe malował. Jakąś abstrakcję.

Nie, była tam jakaś postać.

Gabe miał na sobie szorty i nic więcej. Wyprostował się i spojrzał na nią.

- Przepraszam - powiedziała.
- Nie dziwię się. - Zaczął wycierać pędzel.
- Mogę coś dla ciebie zrobić?
- Poradzę sobie sama.

Dotarła do kanapy i padła na nią, kładąc się na boku.

- Chciałam, żebyś zobaczył. I chciałam zobaczyć, co zrobisz.

Wskazał ręką na płótno, jakby mówił: „Oto, co robię”.

Spróbowała wszystkich kłamstw:

- Nie chcę mieć dzieci. Nie chcę żadnych obietnic. - Powiedz, że mnie kochasz. Proszę.
- Chyba sądzona mi jest samotność.
- Być może.
- W każdym razie nie sądzona mi jest być z tobą.

Kuchnia duszy 303

- A to dlaczego? Podniosła się na duchu. Wzruszyła ramionami.
 - Kochamy niejednakowo. Milczał długo, jakby to potwierdzał.
 - Uważam, że łatwiej byłoby to sobie powiedzieć.
 - Niż co?
 - Niż się rozstać.
 - Nie kochasz mnie tak, jak ja ciebie kocham.
 - Jesteś alkoholiczką - wyrzucił z siebie. - Jak moja matka. Wiesz, ile zła z tego wynika? Możesz potrącić kogoś samochodem i zabić. Albo umrzeć we własnych rzygowinach. Albo stracić przytomność w ryszotku, a ktoś, cofając się, wjedzie na ciebie. Albo przestaniesz panować nad sobą i wyrznisz mnie, a ja przestanę panować nad sobą i ci oddam. To nie żarty.
 - Nawet gdybym przyrzekła, że nigdy nie tknę alkoholu, nie uwierzyłybyś.
 - Przecież przyrzekłaś.
 - Tylko tak sobie. Czy byłbyś usatysfakcjonowany, gdybym poszła na odwyk do kliniki? Nie. Bo okłamujesz samego siebie. Może bym i rzuciła picie, ale nie dla mężczyzny, który mnie nie kocha.
- Przymknął oczy, jakby nie mógł tego dłużej słuchać.
- Twoja sprawa.

304 *Margot Early*

- Chcesz, żebym sobie poszła?

Zakrył twarz rękami, a kiedy podniósł na nią wzrok, miał czerwone oczy.

- Tak.

- A jeśli przestanę pic? Moglibyśmy spróbować od nowa?

- Zamilknij! - Nie zamierzał krzyczeć. Dalsze słowa popłynęły same: - Robisz to z jakiegoś powodu. To nie ma nic wspólnego ze mną. - Zamknął oczy. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że jeśli ją wyrzuci, może skończyć jak jedna z tych kobiet pod parasolami.

Doskonale o tym wiedział.

Zresztą, jeśli tego nie zrobi, może się skończyć tym samym.

- Kocham cię, ale nie chcę cię zbierać z ulicy. To nie mój problem. Nie chcę, żeby moje całe życie obracało się wokół tego. Znajdę sobie jakąś kobietę z problemami, ale to nie będzie ten problem. Będzie jędzą, będzie rozrzutna albo będzie mnie zamęczać błahymi sprawami. Ale nie będzie robiła tego.

Dany pokiwała głową.

- Zejdę ci z oczu, jak tylko dojdę do siebie. Godzimy się na kłamstwa. Zgadząmy się na mniej, aż nic już nie pozostanie do stracenia.

Udała się do łazienki, gdzie znalazła jedną ze swoich szminek. Napisała na lustrze: „Chcę mieć dzieci, zależy mi na obietnicach, chcę ciebie”.

Kuchnia duszy 305

Następnie, zawstydzona, próbowała to zetrzeć, ale nie do końca się udało.

Na wpół drzemała na kanapie, a on nie zbliżył się do niej. Wyszedł z domu, jakby liczył na to, że po powrocie jej nie zastanie.

Starła się nie płakać i rozpamiętywała ostatnie wydarzenia.

Ginger, patrzącą na nią w taki sposób, jakby chciała powiedzieć: „O Boże. Ty także”.

Matkę, która niemal przyznała, że Jim Morrison nie był jej ojcem, i że ofiarowała Dany swój własny mit stworzenia.

Jenny interpretującą powody pijaństwa córki. Zachęcającą ją do sprawdzenia, czy zachowując trzeźwość, nie zdobędzie miłości Gabe'a.

Odważ się kochać i być kochaną, Dany.

Nie żądaj więcej.

Jej konto na czarną godzinę do niczego nie służy. Nie ma dla niej ucieczki, nawet gdyby gdzieś wyjechała. Niech się tylko pozbiera, a odnajdzie Ginger i odda jej wszystko.

Przynajmniej na to ją stać.

Niech jej pieniądze posłużą dobrej sprawie.

Jesteś zwykłą pijaczką, Dany.

Płakała i cieszyła się, że Gabe tego nie widzi.

Nie chciała, żeby kiedykolwiek się nią opiekował.

306 *Margot Early*

Następnego ranka odwiózł ją na przystań razem z ubraniem w torbie na zakupy i gitarą w futerale. Nie wysiadł z samochodu, nie pocałowali się.

- To, co mówiłaś o tym, że... nie pozwalałem ci się zbliżyć... to prawda. Tak jak i cała reszta.

Dany odruchowo dotknęła deski rozdzielczej.

- To chyba nie ma znaczenia. Że niby potrzebowałeś dwudziestu lat, żeby się do mnie dostawić¹? Nie łudźmy się. Nie godzę się na mniej, niż chcę, Gabe.

- Tobie to też zajęło dużo czasu. Nigdy nie lubiłem oglądać cię w towarzystwie innych facetów.

- Nie godzę się na mniej, niż chcę.

- Może powinnaś zgodzić się na to, co masz. Po co chcesz więcej <?

- Przekonasz się, że mam rację, kiedy odkryjesz to na własny użytek.

- Mylisz się.

Jenny i Jake znajdowali się na rufie dżonki, a kiedy Dany zobaczyła, jak z sobą rozmawiają, zatrzymała się i chciała zawrócić. Ale oni zauważyli ją pierwsi. Jake pomachał do niej ręką.

- Pozwól, że porozmawiam z moją córką w cztery oczy - powiedziała Jenny, kiedy Dany weszła na pokład i zbliżała się do nich.

Jake pocałował jej matkę, a mijając Dany, powiedział:

Kuchnia duszy 307

- Zajrzyjcie później do doku obejrzeć szkuner. Jenny, widząc w jej ręku futerał z gitarą i torbę,

popatrzyła z troską na córkę.

- Wszystko w porządku - zapewniła Dany. - Możesz mi wierzyć.

Jenny pozostawiła to bez komentarza, tylko przez chwilę badawczo na nią patrzyła.

- Sądzisz, że dałabyś radę zarządzać milionowym majątkiem i nie zawaliła sprawy ?

- Co proszę?

- Będziesz się musiała użerać i targować z tym skurwielem, do którego-należy Gondolier.

Wiesz, jak bardzo nie lubię tych właścicieli kolejki, jak i zarządzających nią ludzi.

- Do czego zmierzasz?

- Jake chce, żeby z nim popłynęła, więc ci proponuję, żebyś została moją współpracowniczką.

- Co takiego?

- To, że wrotkarnia zostanie odbudowana i że mogłabyś ją poprowadzić.

Zawalę to jak nic. Tak, ale to jest pierwszy przypadek, kiedy matka okazuje zainteresowanie czymś poza Rolleramą w Venice, poza dawno zapomnianym jednorazowym występem Doorsów.

I nie chodzi jej o podróż dokoła świata, ale o Jake'a. O miłość.

Miała nadzieję, że matka nigdy nie zgodzi się na mniej.

308 *Margot Early*

- Okej. Zajmę się tym do twojego powrotu. Matka wyciągnęła rękę. Uścisnęły sobie dłonie i pocałowały się.

- Pomóż mu przywrócić wiarę w siebie - szepnęła przy okazji Jenny. - On cię kocha.

- Dziękuję, mamo.

Przez większość życia narzekała na matkę.

Przez cały czas Jenny była jedyną osobą, która w nią wierzyła. Pokazała jej też, że można czekać - czekać na miłość, która będzie prawdziwa i taka, jak trzeba, czyli odwzajemniona.

Ze nie należy tracić wiary i godzić się na mniej.

Gdyby oczyścić drzwi percepcji,

każda rzecz jawiłaby się, jaka jest: nieskończona.

William Blake, „Zaślubiny Nieba i Piekła”

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czekając na słońce

Dany zobaczyła Gabe'a w dniu, w którym odpływał szkuner. Przybył do portu razem z Magdą. Nie widywała go często. Mieszkała na przystani, spała na pokładzie „Lien Hua” razem z psami matki. Teraz trzymali się z daleka od siebie.

Przygotowania i pożegnanie przeciągały się, a kiedy szkuner odbił od brzegu i zaczął się oddalać, Dany usiadła na ławce, żeby poczekać, aż Gabe i Magda odejdą i wrócą do Venice. Uświadomiła sobie, jak bardzo jest sama i zdana na własne siły. Przyszłość jawiła się w ciemnych barwach.

Na koniec wstała i skierowała się do doku.

Jakże mocno zabiło jej serce, kiedy zobaczyła stojącego tam i czekającego na nią Gabe'a! Ich spojrzenia spotkały się.

310 *Margot Early*

Dany przystanąła, a on przyglądał się jej przez jakiś czas.

- Podwieźć cię?
- Zostaję na dżonce. Mam rower.
- Hej, Mag, pozwól, że porozmawiam chwilę z Dany.

Po odejściu siostry Gabe ociągał się chwilę, zanim zdecydował się coś powiedzieć.

- Chodzi o te rzeczy, na których ci zależy.
- Nie zasługuję na nie. Potrząsnął głową.
- Właśnie że tak.

Była bliska płaczu. Zasługuje na nie, ale nie dostanie ich od niego. Pocałował ją w usta.

- Tęsknię za tobą. Tęsknię za nami... takimi, jacy byliśmy, kiedy byliśmy dziećmi.

A kiedy ją znów pocałował, kiedy objął za szyję, czuła, że to nie tylko sen, że jej marzenia mogą się ziścić, i to jej w tej chwili wystarczyło.

Odwzajemniła pocałunek, potem przesunęła się na bok.

Gdy dołączyła do nich zniecierpliwiona Magda, Dany skorzystała z pretekstu.

- Fajne buty - powiedziała, patrząc na converse'y all stars. - Mam podobne.
- Dziękuję - powiedziała Magda.
- Mogę do ciebie zadzwonić? - zapytał Gabe.
- Za... jakiś czas. Jak... się upewnisz.

Kuchnia duszy 311

Obejmując się ramionami, Dany ruszyła przed siebie, oddalając się od nich i wracając w pośpiechu na przystań, gdzie cumowała „Lien Hua”.

Sprawiasz, że żyję.

Nie zadzwonił, a Dany pogodziła się z tym. Nie piła i wypełniała puste przestrzenie.

Kołysaniem dżonki w nocy. Deptakiem i jego aktorami ulicznymi w dzień. Wrotkarnią.

Takie sprawy wypełniały niezagośpodarowaną przestrzeń.

Matka chciała, żeby Gabe odtworzył murale, a Dany obiecała, że do niego zadzwoni, ale nie zadzwoniła.

W końcu zapytała matkę, czy nie mogłaby się rozejrzeć za innym artystą.

Inny artysta nigdy nie będzie taki sam. - Nie ma sprawy, Dany, rób to, co uznasz za słuszne - powiedziała Jenny.

Drugiego sierpnia nocowała pierwszy raz w częściowo wyremontowanej wrotkami. Za łóżko służył jej jedyny mebel, jaki wstawiła, a mianowicie kanapa, którą kupiła w „Pokochaj mnie dwa razy”.

To taki sklep, który nazwę wziął od piosenki Doorsów.

Psy matki dotrzymywały jej towarzystwa, reagując warczeniem na odgłosy dochodzące

312 *Margot Early*

z deptaka, merdając ogonami i zapędzając się na nieskończoną arenę, gdzie nie położono jeszcze podłogi.

Zległa na kanapie o dziesiątej, a gdzieś w środku nocy usłyszała szczekanie psów. Usiadła.

Te psy nigdy nie szczekają. Czy ktoś próbuje się dostać do środka*?

Szybko się ubrała, minęła mieszkanie i wbiegła do wrotkami. Doris stała przy podwójnych drzwiach prowadzących na zewnątrz. Radośnie powarkiwiała i merdała ogonem.

- Spokój, Doris. - Pewnie jakiś pijak używa progu drzwi jako męskiej toalety.

Obudziła się na dobre.

Może wyjdzie na dwór i pogra na gitarze. Jest druga rano, ale to jest jej świat, którego się nie boi. Nawet nie zamknęła drzwi od środka, co zawsze robiła jej matka.

Narzuciła kurtkę na krótko obcięte džinsy i na podkoszulek, wyjęła gitarę z futerału. Psy jak szalone biegały dookoła niej. Wzięła trzy smycze. Przywiąże je do ławki.

Otworzyła nowe drzwi na tętniący życiem o tej porze deptak, gdy ktoś odezwał się znad wnęki:

- Są rzeczy znane i nieznanne, a między nimi drzwi.

Psy obwąchiwały postrzępione brzegi nogawek jego džinsów.

Kuchnia duszy 313

Chyba pachniał farbą.

Neon Gondoliera świecił tak, jakby kolejka górską miała ruszyć tego lata, choć tak nie było.

Powiedzieli jej, że zaczną we wrześniu.

Wysunęła się ostrożnie, żeby nie porysować gitary drzwiami, i zamknęła je za sobą.

- Wybrałaś sobie dziwną porę - powiedziała do Gabe'a.

Obok przemykali pijaczkowie, chwiejący się i hałaśliwi.

Odłożył pędzel.

- Nie podobał mi się twój nowy wystrój. Banalny.

Zadzierając brew, ciągnięta przez psy, Dany wyszła z budynku, odwróciła się i spojrzała na ścianę.

Wróciła stara legenda, w tym samym miejscu, tym samym charakterem pisma: *Tu spał Jim Morrison.*

Cała reszta była większa i tak szkaradna jak ten nastolatek zalecający się do ślicznej dziewczyny i pociągający ją za warkocz.

Erotyczny, stosowny do osoby wiersz:

No, Dany, rozpal we mnie ogień.

Dalej było coraz gorzej, wręcz paskudnie i bardzo osobiście. Odnalazł swoje powołanie z farbami w spreju. Czego innego mogła się być spodziewać?

- Bardzo mi to pochwala...

314 *Margot Early*

Wędrując wzrokiem w prawo, natknęła się na słowa:

Kocham cię, Dmuchawcu. Wyjdiesz za mnie? Gabe patrzył na nią badawczym, niepewnym wzrokiem.

- To zależy, jak szybko przemasujesz tę ścianę. Roześmiał się i podszedł bliżej.

- Kocham cię - powiedział.

- Godzisz się na mnie?

- Mówiłem ci, że nie patrzę na to w ten sposób. Kocham cię.

Przywarł do jej ust.

Chwiejąc się na nogach, minął ich Mędrzec.

- Kiedy wraca Jim? - zapytał, patrząc na ścianę. Gabe oderwał się na moment od Dany.

- Wkrótce. Naprawdę wkrótce. - Uśmiechnął się do niej. - Jestem bardzo szybkim malarzem.